

ZWIADOWCY

KSIĘGA 16



UCIECZKA Z ZAMKU FALAISE

JOHN FLANAGAN

JOHN FLANAGAN

ZWIADOWCY

KSIĘGA 16

UCIECZKA Z ZAMKU
FALAISE



Tłumaczenie: Małgorzata Kaczarowska



Tytuł oryginału: *Ranger's Apprentice The Royal Ranger 5: Escape from Falaise*
Text Copyright © John Flanagan, 2021
First published by Penguin Random House Australia Pty Ltd.
This edition published by arrangement with Penguin Random House Australia Pty Ltd.

Wydanie pierwsze w tej edycji, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2021

Redakcja: Anna Pochłódka-Wątopek
Korekta: Katarzyna Malinowska, XYZ
Skład i łamanie: Robert Majcher

ISBN 978-83-8266-046-3

Cover illustration by Jeremy Reston
Cover design & illustration © www.blacksheep-uk.com
All rights reserved.

Copyright for the Polish edition © 2021 by Wydawnictwo Jaguar

Książka dla czytelników w wieku 11+

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

Wydanie pierwsze w wersji e-book
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2021

SPIS TREŚCI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Pamięci mojego brata, Petera Flanagana, 1940–2019



1

Z wiązać ich – polecił baron Lassigny. – Są aresztowani.

Maddie i Will stali w milczeniu, a dwaj żołnierze Lassigny’ego podeszli do nich, wyciągnęli im saksy z pochew i odrzucili je na bok. Następnie szybko związali im z przodu ręce. Maddie spróbowała napiąć nadgarstki, żeby więzy lekko puściły, kiedy rozluźni mięśnie, ale żołnierz znał tę sztuczkę. Trzepnął ją grzbietem dłoni po przegubach.

– Nie rób tak – rzucił szorstko.

Maddie rozluźniła ręce, a żołnierz zacisnął ramię, uniemożliwiając wszelkie manewry. Niedługo poczuła, że dłonie zaczynają mrowić z powodu utrudnionego dopływu krwi.

Lassigny wskazał księcia Gilesa, który wydawał się lekko oszołomiony i zaskoczony szybkością, z jaką potoczyły się wydarzenia.

– Odprowadzić go do jego komnaty – polecił.

Trzeci z żołnierzy chwycił Gilesa za przedramię i pociągnął go ze sobą. Książę poszedł z nim bez protestu. Lassigny przeniósł swoją uwagę z powrotem na Willa i Maddie.

– Tych dwoje zabrać do lochów! – rozkazał.

Will i Maddie wymienili spojrzenia. Zwiadowca wzruszył ramionami. Nie mogli stawiać oporu, ponieważ zostali związani i pozbawieni broni. Żołnierze, którzy spętali im ręce, obnażyli teraz sztylety i stanęli za dwójką zwiadowców. Lassigny zobaczył, że

więźniowie nie próbują sprawiać kłopotów, więc schował miecz i wskazał schody.

– Ruszać! – nakazał.

Will ociągał się przez chwilę, ale poczuł, jak ostry czubek sztyletu przyciska się do jego pleców. Pojął tę wskazówkę i ruszył w kierunku stopni. Maddie szła obok niego, a dwaj zbrojni trzymali się tuż za nimi. Lassigny i pozostali trzej żołnierze maszerowali kilka metrów z tyłu.

Zeszli po schodach i minęli znajdującą się na wysokości blanków wartownię, z której wyrzało kilku ziewających strażników przyglądających się z ciekawością małej procesji. Na parterze wyszli na dziedziniec. Więźniowie zawahali się, niepewni, dokąd się mają dalej udać. Kolejne trącenie ostrzem skierowało ich do donżonu.

– Wystarczyło powiedzieć – zaprotestował spokojnie Will.

Sztylet był ostry, a szturchnięcie niezbyt delikatne.

– Zamknij się – usłyszał.

Znów wzruszył ramionami i podszedł do ciężkich wrót prowadzących do donżonu. Tym razem, aby uniknąć kolejnego dźgnięcia, chwycił związanymi dłońmi żelazny pierścień zastępujący klamkę i otworzył drzwi, a potem jako pierwszy wszedł do środka.

– Dokąd teraz? – zapytał, kiedy wszyscy znaleźli się wewnątrz donżonu.

– Na dół – powiedział strażnik, wskazując schody na środku ogromnej sali.

Will ruszył, ale zanim zdążył dojść do pierwszych stopni, zatrzymał się, słysząc głos Lassigny’ego.

– Zamknijcie ich we wschodnim bloku – polecił baron. Żołnierz pomrukiem potwierdził przyjęcie rozkazu, a Lassigny po raz pierwszy od zejścia z wieży zwrócił się do Willa i Maddie: – Porozmawiamy za kilka dni – zapowiedział.

– A mamy o czym rozmawiać? – zapytał Will.

Lassigny uśmiechnął się bez najmniejszego śladu rozbawienia.

– O, sądzę, że tak – oznajmił lodowato. – Zobaczymy, czy kilka dni w celi nie sprawi, że staniesz się bardziej gadatliwy. Może znowu dla mnie zaśpiewasz.

Odwrócił się i ruszył po schodach na wyższe piętro donżonu, do swoich komnat. Will znowu poczuł dźgnięcie w plecy.

– Dobrze, dobrze – powiedział i zaczął schodzić do podziemi.

Żołnierz jak cień ruszył za nim, a zaraz po nich poszli Maddie i jej strażnik. Pozostała trójka zbrojnych także im towarzyszyła, tupiąc buciorami po drewnianych schodach. Na niższym poziomie stopnie zrobiono z surowego kamienia, a powietrze stało się wyraźnie chłodniejsze i wilgotniejsze. Zeszli jeszcze dwa poziomy, a potem więźniowie zostali skierowani na prawo.

Mury zbudowano tutaj z grubo ciosanych kamieni. Płonące pochodnie w uchwytach na ścianach rzucały słabe światło na wąski i niski korytarz, którym przeszli do żelaznych drzwi.

– Zatrzymaj się! – nakazał Willowi strażnik. Najwyraźniej sztylet przydawał się tylko przy poleceniach dotyczących poruszania się, a nie zatrzymywania. – Mariusie! Jesteś tam? – zawołał żołnierz, a jego głos odbił się echem w kamiennym korytarzu.

Z ciemności w głębi lochu usłyszeli przytłumiony głos, chwilę potem z głośnym skrzypieniem otworzyły się drzwi, a na ściany padła smuga żółtego światła lampy. Z wnętrza wyłonił się zwały mężczyzna, który pochylił głowę pod niskim sufitem i poczłapał ciężko w ich stronę.

– Idę, idę! – zawołał burkliwym, gardłowym głosem.

Zbliżył się, dziwacznie powłócząc i szurając nogami, aż wreszcie się zatrzymał, żeby zlustrować nowo przybyłych. W świetle najbliższej pochodni więźniowie zobaczyli jego twarz o grubych łukach brwiowych i poplątaną, skołtunioną brodę. Nos mężczyzny został dawno temu złamany, zapewne mocnym ciosem, i nie nastawiono go prawidłowo, więc był teraz spłaszczony i przekrzywiony lekko w jedną stronę. Pod krzaczastymi brwiami lśniły czarne oczy pozbawione litości.

Uśmiechnął się, odsłaniając liczne luki w uzębieniu.

– Ach, rozumiem, że przybyli nowi goście – powiedział i się roześmiał.

To nie był przyjemny dźwięk, a ten wybuch wesołości sprawił, że pęk wielkich kluczy zwisający z szerokiego skórzanego pasa zabrzączał głośno.

Stojący za Willem żołnierz przestąpił z nogi na nogę. Zwiadowca odnosił wrażenie, że zbrojny nie czuje się szczególnie pewnie w obecności strażnika więziennego.

- Otwórz nam szybko i wpuść ich – powiedział krótko.
- Nie ma pośpiechu, Ramonie – odparł strażnik ochrypłym szeptem.

Wybrał ciężki żelazny klucz z pęku przy pasie i uchylił drzwi, żeby wpuścić ich na kolejny korytarz.

- Popatrzmy, kogo tutaj mamy – stwierdził.

Podszedł do Willa i przyjrzał się jego twarzy. Z bliska smród niemytego ciała strażnika i jego cuchnący oddech były nieznośne.

- Proszę, to nasz skowroneczek – zdumiał się teatralnie mężczyzna. Potem zbliżył się także do Maddie, żeby jej się przypatrzeć. – Oraz jego urocza córeczka.

Maddie nie ruszyła się z miejsca, kiedy strażnik przykucnął i przybliżył pokiereszowaną twarz do jej twarzy.

- Witam w moim ślicznym domu – oznajmił i roześmiał się znowu głośno.

Maddie wbrew sobie drgnęła.

- Otwórz celę – powiedział z naciskiem Ramon.

Po obu stronach korytarza znajdowały się cele odgródzone od przejścia kratami.

Strażnik więzienny odsunął się od Maddie i włożył ten sam klucz w zamek w drzwiach jednej z cel. Kratownica zaskrzypiała głośno, kiedy popchnął ją, żeby się otworzyła. Mężczyzna drwiąco pochylił się w udawanym pokłonie i wskazał dwojgu więźniom pomieszczenie.

- Proszę, mili goście, czujcie się jak u siebie w domu.
- Do środka – polecił krótko Ramon.

Było jasne, że chce jak najszybciej wydostać się stąd i uwolnić od towarzystwa strażnika.

Will i Maddie nie potrzebowali dodatkowej zachęty. Weszli do środka, a Marius zatrzasnął za nimi skrzypiącą kratę, zabrzączał kluczem w zamku i szarpnął kilka razy pręty, żeby się upewnić, że drzwi są dobrze zamknięte.

- Ręce – powiedział Ramon, wskazując poziomą lukę pomiędzy kratami.

Will zrozumiał, o co mu chodzi, i wysunął na zewnątrz związane nadgarstki, żeby żołnierz mógł sztyletem przeciąć więzy. Maddie pospiesznie zrobiła to samo i odetchnęła z ulgą, gdy szorstki

rzemień opadł jej z przegubów, a krew zaczęła z powrotem napływać do rąk.

– Bądźcie z nim ostrożni – szepnął Ramon, ruchem głowy wskazując wielkiego, potarganego strażnika więziennego. – Zabije was za byle krzywe spojrzenie.

– Dziękujemy za ostrzeżenie – odparła przyciszonym głosem Maddie.

Pocierała nadgarstki i krzywiła się z bólu, który towarzyszył przywróconemu krążeniu krwi.

Ramon spojrzał na stojącego za nim zwalistego strażnika.

– Uważaj na nich – ostrzegł Mariusa. – Baron będzie chciał z nimi porozmawiać za kilka dni. Chce, żeby mogli mu odpowiadać.

Strażnik znowu udał, że się kłania, zamiatając dłonią kamienną podłogę.

– Och, oczywiście, oczywiście – zapewnił z przybraną maską zatroskanego. – Rozkażę służącym, żeby przynieśli im gorący posiłek, napoje i ciepłe, miękkie posłania. – Raz jeszcze ryknął śmiechem i odwrócił się, żeby wrócić do swojej izby. – Gorący posiłek i ciepłe posłania – powtórzył i znowu się roześmiał.

Nie dostali oczywiście żadnego jedzenia, a za posłanie posłużyła cienka warstwa brudnej słomy na wilgotnej, kamiennej podłodze. Celę oświetlały pochodnie z korytarza. Will i Maddie rozejrzeli się po swoim otoczeniu, choć w półmroku niewiele mogli zobaczyć.

– Witam w naszym nowym domu – powiedział Will.

Maddie zmarszczyła brwi.

– Trudno to nazwać pałacem, prawda?

Jej mentor wzruszył ramionami.

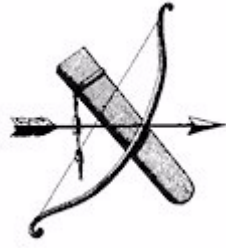
– Przynajmniej jest tu ciepło i sucho – oznajmił, ale Maddie prychnęła tylko lekceważąco.

– Tutaj nie jest ciepło i z pewnością nie jest sucho – zauważyła.

Chłód panujący w celi był nieprzyjemny i przenikliwy. Takimi warunkami cechowały się pomieszczenia znajdujące się kilka poziomów pod ziemią, na stałe pozbawione ciepła i promieni słońca. Wydawało się, że zimno sączy się z kamiennych ścian, a przyćmione światło lśniło w czarnych kałużach wody na podłodze.

Will westchnął.

– Cóż, nie można mieć wszystkiego – stwierdził.





2

Zgarnęli słomę w jedno miejsce, żeby ułożyć warstwę na kamiennej podłodze, a potem owinięci pelerynami usiedli, opierając się o ścianę. Wilgotny chłód celi szybko zaczął przenikać także przez okrycia, a słabe światło nie pozwalało przyjrzeć się otoczeniu.

Po jakiejś godzinie usłyszeli człapanie Mariusa, który przeszedł korytarzem i wymienił pochodnie. Potem drzwi do izby, w której zapewne mieszkał, zatrzasnęły się z łoskotem i strażnik więcej się nie pokazał. Nieco później Maddie udało się zdrzemnąć niespokojnym snem. Reszta nocy upłynęła im w zimnie i niewygodzie.

Po przebudzeniu, ku swojemu zaskoczeniu, zobaczyli światło dzienne. Nad jedną ze ścian celi znajdował się szyb wentylacyjny szeroki na jakieś dwa metry i sięgający aż do powierzchni ziemi. Kiedy stanęli pod murem, mogli spojrzeć w górę i zobaczyć nad sobą żelazną kratę. Od czasu do czasu przesuwał się po niej cień, kiedy ktoś przechodził obok.

– Najwidoczniej wychodzi na dziedziniec – powiedział Will.

Szyb wpuszczał do lochów światło i powietrze – jedno i drugie w ograniczonych ilościach. Niestety wpuszczał także deszcz, co tłumaczyło kilka dużych kałuż, które teraz widzieli całkiem wyraźnie. Gdy na zewnątrz zrobiło się jaśniej, zwiadowcy wykorzystali okazję, żeby rozejrzeć się po nowym miejscu. Nie było zbyt wiele do oglądania. Cella była spora, miała jakieś dziesięć na

siedem metrów, z sufitem równie niskim, jak w korytarzu obok. Podłogę ułożono z litego kamienia, ściany zaś z ociosanych kamiennych bloków połączonych bez śladu zaprawy. Jeden kąt, odgrodzony prostą ścianką, służył za ustęp. Will zajrzał tam i ostrożnie pociągnął nosem.

– Używać tylko w razie absolutnej konieczności – mruknął, wycofując się stamtąd.

Poza tym w celi nie było żadnych mebli. Ze ściany zwisało kilka par kajdan na zardzewiałych łańcuchach.

– Nie podobają mi się – zauważyła Maddie.

Will skinął głową.

– Najlepiej zrobimy, nie denerwując naszego przyjaciela Mariusa – odparł.

Sądząc po świetle dnia wpadającym przez szyb, mogli oszacować, że dochodziła ósma. Usłyszeli kroki zbliżającego się strażnika. Spojrzał na nich przez kraty i zarechotał ochryple.

– Widzę, że skowroneczki już nie śpią – powiedział. – W samą porę na śniadanie: ciepłe bułeczki i gorąca kawa.

Wsunął drewnianą tacę przez szczelinę w drzwiach, którą poprzedniego wieczoru wykorzystał Ramon, żeby przeciąć więzy zwiadowców, i ustawił ją na szerokiej żelaznej płycie stanowiącej rodzaj parapetu. Will podszedł, żeby zabrać tacę, ale kiedy to zrobił, Marius cofnął ją ku sobie.

– Powiedz „dziękuję” – zażądał, rechocząc.

– Dziękuję – powiedział Will.

Marius przytrzymał tacę tuż poza zasięgiem jego rąk.

– Dziękuję, dobry Mariusie – odpowiedział.

– Dziękuję, dobry Mariusie – powtórzył Will.

Jednak taca nadal znajdowała się poza jego zasięgiem.

– Dziękuję, dobry, wielkoduszny Mariusie.

– Dzień... – zaczął Will, ale strażnik przerwał mu w pół słowa.

– Dziękuję, dobry, życzliwy, wielkoduszny Mariusie, za to przepyszne śniadanie.

Will z najwyższym wysiłkiem powstrzymał się, aby nie okazać narastającej irytacji tą dziecienną farsą. Wiedział, że nie ma żadnego sensu drażnić tego potwora.

– Dziękuję, dobry, życzliwy, wielkoduszny Mariusie, za to przepyszne śniadanie.

Mariusz ponownie zachichotał – był to nieprzyjemny dźwięk, zupełnie niepasujący do jego zwalistej sylwetki. Tym razem jednak przesunął tacę tak, że Will mógł jej dosięgnąć, i pozwolił zabrać posiłek do celi.

– Ależ nie ma za co – oznajmił, odwrócił się i poczłapał do swojej izby w głębi korytarza, śmiejąc się do siebie.

Will pokręcił głową i w końcu westchnął z powstrzymywaną dotąd irytacją.

– Czy to naprawdę bułeczki i kawa? – zapytała Maddie i stanęła na palcach, żeby zajrzeć mu przez ramię na tacę.

– Żartujesz? – odparł ponuro Will.

Na tacy znajdowały się dwa cynowe kubki, poobijany cynowy dzbanek z zimną wodą i dwa zeschnięte rogaliki. Na jednym widać było odrobinę pleśni.

– Aha – powiedziała Maddie. – Tak myślałam, że to zbyt piękne, by było prawdziwe.

– Jesteś bardzo łatwowerianna – stwierdził Will. Wziął zapleśniały rogalik. – Ten będzie dla mnie.

Maddie skinęła głową.

– Jestem ci za to wdzięczna.

Szybko zjedli i napili się. Chociaż jedzenie trudno byłoby nazwać apetycznym, oboje byli głodni i spragnieni. Will przelał wodę, która wydawała się w miarę czysta, do kubków, pozostawiając połowę w dzbanku.

– Nie wiadomo, kiedy znowu coś dostaniemy – zauważył.

Odstawił tacę na żelazny parapet przy drzwiach i wrócił na swoje miejsce pod ścianą. Usiadł na podłodze, opierając się plecami o nierówny kamień.

– Co teraz? – zapytała Maddie.

Siedziała kilka metrów od niego w takiej samej pozycji. Nie mieli wiele przestrzeni. Przynajmniej tutaj podłoga była bardziej sucha, ponieważ podnosiła się z tej strony, a woda spływała tam, gdzie było niżej.

– Myślę, że będziemy tu siedzieć i myśleć o niebieskich migdałach, dopóki Lassigny nie zaszczyci nas rozmową – powiedział

Will.

– Niebieskich migdałach – powtórzyła Maddie, przechyliła głowę na bok i zaczęła to rozważać. – Tak się zastanawiam, dlaczego akurat niebieskich? Dlaczego nie zielonych?

– Myślenie o niebieskich migdałach to praktyka z długą tradycją – zapewnił ją Will. – A zielone może być pojęcie, którego nie mamy w kwestii tego, co się z nami stanie.

Maddie westchnęła ciężko. Poza zimnem, niewygodą i niesmacznym jedzeniem jednym z aspektów takiego siedzenia w zamknięciu była także okropna nuda. Nie mieli tu niczego do roboty, niczego do zobaczenia i niczego do posłuchania. Dla tak energicznej młodej osoby jak ona ten brak działania i bodźców był praktycznie nie do zniesienia.

To prawda, na szkoleniu uczono ją spędzać długi czas na oczekiwaniu w ukryciu, w milczeniu i bez ruchu. Jednak w takim przypadku kluczowe było właśnie „oczekiwanie”. Pozostawała nieruchoma, ale spodziewała się, że coś się zdarzy, że będzie musiała podjąć błyskawiczne działanie.

Tutaj jedynym zdarzeniem mogło być pojawienie się strażnika więziennego z kolejnym nieapetycznym posiłkiem. Trudno to nazwać czymś, czego się oczekuje.

– Zastanawiam się, co takiego planuje Lassigny – odezwała się Maddie. – Jak myślisz, jak długo zamierza nas tu trzymać? Powiedział, że chce z nami porozmawiać, prawda? Jak ci się wydaje, kiedy to będzie?

– Nudzisz się? – zapytał Will z nutą współczucia w głosie.

– Okropnie. A jeszcze nawet nie ma południa – przyznała Maddie.

Will kilka razy skinął głową.

– Może spróbujesz robić to, co ja robię, kiedy się nudzę – podsunął.

Maddie odwróciła się, żeby na niego popatrzeć.

– A co to takiego?

– Siedzę cicho i nie zawracam głowy innym.

Skarcona Maddie oparła się znowu o ścianę i poprawiła kilka razy, żeby znaleźć odrobinę wygodniejszą pozycję. Niezależnie od tego, jak się przesuwiała, jakiś występ kamienia zawsze wbijał jej się w plecy. Znowu westchnęła, ale tym razem Will ją zignorował.

Po kilku minutach odezwała się ponownie:

– Może moglibyśmy go jakoś oszukać i uciec – zaproponowała.

Will popatrzył na nią ponuro.

– Chodzi ci o tę niesympatyczną żywą górę, która siedzi tam w korytarzu?

Maddie skinęła głową.

– Jak myślisz, jak mielibyśmy to zrobić? – zapytał Will.

– Mogłabym na przykład udawać, że jestem chora. Zaczęłabym jęczeć i krzyczeć z bólu, a ty byś go zawołał, żeby przyszedł i sprawdził, co się ze mną dzieje.

– A potem?

– A potem mógłbyś go obezwładnić i ucieklibyśmy.

– Widzę dwa problemy – odparł Will. – Po pierwsze, wątpię, żeby Mariusa obeszło choćby odrobinę, nawet gdybyś jęczała i krzyczała przez cały dzień. Myślę, że raczej by go to bawiło.

Zamilkł na chwilę, żeby Maddie przemyślała jego słowa.

W końcu zapytała:

– A ten drugi problem? Powiedziałeś, że widzisz dwa.

– Jak niby miałbym go obezwładnić? Widziałaś, jakich jest rozmiarów? To prawdziwe monstrum. Jest trzy razy większy ode mnie.

Maddie zastanowiła się. Nie rozważała wcześniej takich szczegółów planu.

– Cóż, oczywiście pomogłabym ci.

Will ze znużeniem pokręcił głową.

– On jest dwa razy większy od nas obojga razem wziętych.

– Moglibyśmy go czymś ogłuszyć – zaproponowała Maddie.

Will machnięciem ręki wskazał puste wnętrze celi.

– Niby czym? Wiechciem słomy?

Maddie także się rozejrzała.

– Mamy dzbanek na wodę – zauważyła z nadzieją.

– Owszem, mamy – przyznał Will. – Gdybym oprócz tego dzbanka miał ołowianą rurę, być może zdołałbym go ogłuszyć.

Znowu zapadła cisza.

– Ciągle mam swój nóż do rzucania – powiedziała w końcu Maddie.

Will skinął głową.

– Ja także.

O dziwo, ludzie Lassigny’ego nie przeszukali ich dokładnie po aresztowaniu, zadowolili się tylko zabraniem ich saks. Will nadal miał mały nóż do rzucania przywiązany do lewego przedramienia, a Maddie – ukryty w pochewce wszytej pod kołnierzem.

– Ale nawet jeśli je mamy – ciągnął Will – to czy jesteś gotowa zamordować go z zimną krwią?

Maddie poruszyła się niespokojnie.

– Raczej nie.

Pogrążyli się w milczeniu. Tym razem, ku zaskoczeniu Maddie, po kilku minutach przerwał je Will.

– Skąd on wiedział?

Maddie popatrzyła na niego i zmarszczyła brwi.

– Kto i o czym wiedział?

– Lassigny. Skąd wiedział, że zamierzamy uwolnić Gilesa? Było widać, że się tego spodziewał. Nawet Marius nie wydawał się zaskoczony, kiedy nas tutaj przyprowadzono. Uprzedzono go, że ma oczekiwać więźniów. Więc skąd Lassigny o tym wszystkim wiedział?

– Może jest z natury podejrzliwy? – podsunęła Maddie, ale Will potrząsnął głową.

– Nie ma niczego, co łączyłoby nas z księciem Gilesem – zauważył. – Właśnie dlatego Philippe postanowił poprosić osoby z zewnątrz, żeby wykonały tę misję. – Milczał przez kilka sekund. – Ktoś musiał nas zdradzić.

– Zdradzić nas? Ale kto chciałby coś takiego zrobić? Kto zrobiłby coś takiego?

Will powoli odwrócił się i popatrzył prosto na nią.

– To jest podstawowe pytanie, prawda?



3

Wnocy szalała gwałtowna burza. Błyskawice rozjaśniały szyb wentylacyjny i pozostawiały prostokątne powidoki, które gasły dopiero po kilku sekundach. Donośne grzmoty wstrząsały nocnym niebem i sprawiały, że nawet tak głęboko pod ziemią ściany i podłoga celi drżały.

Jeszcze bardziej nieprzyjemne niż efekty towarzyszące nawałnicy były dźwięki dobiegające z izby strażnika w głębi korytarza. Marius najwyraźniej bał się burzy. Szlochał i krzyczał ze strachu przy każdym ogłuszającym łoskocie pioruna i przy każdej błyskawicy, której rozbłysk oświetlał pogrążony w półmroku loch.

W końcu, nad ranem, burza się oddaliła, a krzyki Mariusa zmieniły się w ciche zawodzenie, mimo wszystko doskonale słyszalne dla dwojga więźniów.

– Nie śpisz? – zapytał Will, kiedy rozległ się grzmot.

– Kto mógłby spać w takich warunkach? – Maddie owinęła się ciasniej peleryną.

Poza grzmotami i błyskawicami była jeszcze ulewa, która wlewała się do środka przez szyb wentylacyjny. Ogromne krople rozpryskiwały się na kamiennej podłodze, ochlapując wnętrze celi. Maddie i Will odsunęli się jak najdalej i patrzyli na kałuże powoli zagarniające coraz większe połacie podłogi.

Maddie przypomniła sobie burzę, która złapała ich w drodze do zamku Lassigny'ego. Wtedy siedziała otulona kocem w ciepłym

i bezpiecznym wozie, mogąc w każdej chwili pogłodzić nos Zderzaka znajdującego się kilka centymetrów obok niej, za płótnem. Kiedy porównała tamto doświadczenie z zimną wilgocią lochu, mimo woli się wzdrygnęła.

Zaraz po wschodzie słońca Marius przyniósł im śniadanie. Był zmęczony, a oczy miał wyraźnie zaczerwienione i pełne strachu. Najwidoczniej nadal doskwierało mu wspomnienie niespokojnej nocy. Will podszedł do kraty, zabrał tacę i cofnął się szybko poza zasięg strażnika do czekającej Maddie. Marius przyglądał im się z nienawiścią, gdy usiedli na podłodze i pochylili się nad jedzeniem i wodą. W końcu, z lekceważącym pomrukiem, odwrócił się i poczłapał do swojej nory.

Wszelkie ewentualne problemy z Mariusem zniknęły jeszcze przed południem, ponieważ w lochu pojawił się Ramon wraz z trzema żołnierzami i zawołał strażnika, rozkazując mu otworzyć drzwi. Zwalisty Marius przyszedł ze swojej izby, powłócząc nogami, i ponownie odpiął od pasa wielki żelazny klucz. Ramon popatrzył na niego drwiąco. Bez wątpienia zauważył nadal zaczerwienione oczy i niepewny wyraz twarzy strażnika.

– Podobała ci się burza? – zapytał złośliwie.

Pochylony nad zamkiem Marius spojrział na niego.

Ramon nagle zamachał szeroko rękami i zrobił krok do przodu.

– Bum! – wrzasnął i roześmiał się, kiedy Marius drgnął i odsunął się od niego.

– Ja bym go nie drażnił – ostrzegł Will.

Ramon tylko parsknął drwiąco.

– Nas jest czterech, a on jest nieuzbrojony i wie o tym – stwierdził. – Szczerze mówiąc, chciałbym, żeby spróbował nas zaatakować.

Gestem nakazał Mariusowi otworzyć drzwi celi, a strażnik posłuchał go, krzywiąc się gniewnie. Było jasne, że nie przepadają za sobą.

Will pokręcił głową.

– Pewnego dnia możesz nie mieć nad nim przewagi liczebnej – powiedział, ale Ramon tylko znowu prychnął i machnął na dwóch zwiadowców, polecając im wyjść z celi.

– Dokąd się wybieramy? – zapytał Will.

Ramon nie zamierzał dzielić się tą informacją.

– Zobaczycie – powiedział szorstko. – Wysuńcie do przodu ręce.

Pozostałych trzech żołnierzy dobyło sztyletów, kiedy tylko krata stanęła otworem. Nie spuszczała oka z dwojga więźniów, gotowi zareagować na każdą oznakę nieposłuszeństwa.

– Rób, co ci każe – powiedział Will do Maddie.

Wyciągnął przed siebie ręce skrzyżowane w nadgarstkach, a Ramon szybko i sprawnie owinął je krótkim kawałkiem rzemienia i mocno związał.

Zrobił to samo z Maddie, która także dała się skrępować, i roześmiał się, gdy zobaczył, że tym razem nie próbowała napinać nadgarstków.

– Szybko się uczysz, prawda? – Chwycił ją za ramię i bezceremonialnie odwrócił do drzwi. – Idziemy.

Dwaj żołnierze ruszyli przodem. Trzeci szedł obok Ramona, kilka kroków za Willem i Maddie. Wszyscy trzymali sztylety w gotowości o kilka centymetrów od pleców więźniów. Na szczęście tym razem nie szturchali ich ani nie dźgali, żeby zachęcić do szybszego marszu.

Weszli po schodach aż na parter. Will założył, że zostaną zaprowadzeni do gabinetu Lassigny’ego, więc chciał się odwrócić do szerokich stopni prowadzących na wyższe piętra. Ku swojemu zaskoczeniu został powstrzymany przez Ramona.

– Nie tędy – powiedział żołnierz. – Na zewnątrz.

Will otworzył drzwi i jako pierwszy wyszedł na dziedziniec. Burzowe chmury rozwiały się, a słońce świeciło nieprzyjemnie jasno – szczególnie z punktu widzenia osób, które spędziły prawie dwa dni w ciemnościach celi. Maddie i Will osłonili oczy związanymi rękami i zawahali się, niepewni, dokąd mają iść.

– Wieża północno-zachodnia – polecił Ramon, wskazując właściwą drogę.

Przebiegli dziedziniec, kierując się do baszty w jego północno-zachodnim rogu. To właśnie przy niej Maddie kilka dni temu naraziła się jednemu z zamkowych strażników, gdy próbowała się przyjrzeć dokładniej kamiennej konstrukcji. Kiedy zbliżyli się do drzwi, jeden z żołnierzy wyszedł do przodu, żeby je otworzyć i wpuścić więźniów do środka.

– Na schody – powiedział Ramon, znowu ograniczając się do lakonicznej instrukcji.

Machnięciem sztyletu wskazał stopnie pośrodku wieży.

– W dół? – zapytał Will, spodziewając się, że zostają przeniesieni do innego lochu.

Jednak znowu zaskoczyła go odpowiedź.

– W górę – rzucił Ramon, a Will wzruszył ramionami i posłuchał polecenia.

Wchodzili krętymi schodami. Maddie naliczyła po drodze osiem pięter, zanim znaleźli się na poziomie z rozchodzącym się na dwie strony korytarzem, z którego szereg drzwi prowadził do pomieszczeń po zewnętrznej stronie wieży.

– W lewo – powiedział Ramon. – Trzecie drzwi.

Zwiadowcy poszli tam, gdzie im kazał. Will zatrzymał się przy trzecich drzwiach i czekał na dalsze instrukcje.

– Otwórz i wejdź do środka – polecił Ramon.

Dwoje zwiadowców przekroczyło próg komnaty, a Ramon i jeden z pozostałych żołnierzy poszli w ich ślady. Will i Maddie rozejrzeli się po nowym miejscu. Przy zewnętrznej ścianie zobaczyli dwa drewniane fotele koło niedużego kominka. Naprzeciwko, pod oknem, stał mały stolik i dwa zwykłe krzesła. Z części wspólnej wychodziło przejście do dwóch sypialni odgradzonych grubymi zasłonami. Rzeczy Willa i Maddie, w tym mandola, zostały zabrane z niszy sypialnej we wspólnej sali w donżonie i ułożone na środku komnaty.

Ramon szerokim gestem wskazał wewnątrz.

– Rozgoście się tutaj – powiedział. – Baron później się z wami spotka.

Przeciął wieży na ich rękach, skinął na pozostałych żołnierzy i wyszedł ze swoimi podwładnymi na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Zwiadowcy usłyszeli szczęk ciężkiego zamka ryglowanego od zewnątrz. Wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Tego się nie spodziewałem – przyznał Will.

Maddie pokręciła głową i powoli obesza komnatę. Poza dwoma sypialniami było tu jeszcze trzecie pomieszczenie, oddzielone drzwiami, a nie kotarą. Kiedy je otworzyła i weszła do środka, znalazła się w niedużej łazience z toaletą schowaną za przegrodą. Zajrzała do niej i przekonała się, że jest czysta i dobrze utrzymana –

był to zdecydowany postępowanie w porównaniu do jakości ustępu w lochach Mariusa. Wróciła do głównej sali w momencie, gdy rozległ się szcęk klucza w zamku. Do środka weszło dwoje służących. Za ich plecami, na korytarzu, czekali dwaj uzbrojeni żołnierze.

Służący popatrzyli na zwiadowców, a potem zanieśli przyniesione rzeczy na właściwe miejsca. Kobieta dźwigała tacę przykrytą białą serwetą, mężczyzna natomiast wiadro gorącej wody, z którego unosiła się para. Z wyraźnym wysiłkiem zataszczył je do łazienki i ustawił na podłodze, rozlewając przy tym odrobinę. Kobieta, która postawiła tacę na stole, ściągnęła serwetę, odsłaniając miękkie rogaliki oraz talerz z pokrojoną szynką i serem. Willa i Maddie najbardziej jednak zainteresował poobijany emaliowany dzbanek, z którego unosił się wonny aromat gorącej kawy. Maddie poczuła, że ślinka napływa jej do ust.

– Umyjcie się, zjedzcie coś i się napijcie – powiedział mężczyzna.
– Baron przyśle po was za godzinę.

Z tymi słowami służący wyszli z komnaty, a klucz ponownie szcęknął w zamku od zewnątrz. Will i Maddie po raz kolejny wymienili spojrzenia.

– O co tu chodzi? – zapytała Maddie.

Will wzruszył ramionami.

– Lassigny przesyła nam wiadomość – wyjaśnił. – Będzie chciał od nas informacji. Lochy pokazały nam, gdzie się znajdziemy, jeśli mu ich nie damy. Tutaj najwyraźniej będziemy przetrzymywani, jeśli zgodzimy się współpracować. Powiedziałbym, że to klasyczna złota klatka.

Maddie popatrzyła znacząco na ciężkie drewniane drzwi.

– Ale mimo wszystko klatka – zauważyła.





4

Zdążyli się wykąpać, zjeść posiłek i przebrać się w czyste ubrania, zanim Ramon wrócił, aby zabrać ich na spotkanie z Lassignym. Tak jak poprzednio towarzyszyło mu trzech żołnierzy, a zwiadowcom związane z przodu ręce, nim wypuszczono ich z komnaty.

– Baron już czeka. Idziemy – powiedział Ramon i ruszył pierwszy korytarzem.

Zeszli za nim po schodach, a trzech żołnierze trzymali się tuż za nimi, z dłońmi opartymi na rękojeściach sztyletów. Nieduży orszak skierował się do donżonu. Najwyraźniej po zamku rozeszły się już plotki o ich uwięzieniu, ponieważ ludzie rzucali im zaciekawione spojrzenia.

Kiedy weszli do donżonu, Ramon wskazał szerokie schody główne.

– Na górę – powiedział, a więźniowie posłuchali.

Na pierwszym piętrze Will zatrzymał się, czekając na dalsze polecenia. Tu znajdował się gabinet barona, więc należało zakładać, że tam właśnie się kierują. Tym razem miał rację. Ramon, który wszedł za nimi do donżonu, wyminął ich teraz i zastukał w drzwi komnaty Lassigny’ego.

Po kilku sekundach otworzył im łysiejący mężczyzna w średnim wieku. Sądząc po jego prostym, pozbawionym ozdób ubraniu oraz po tym, że w poplamionych atramentem palcach trzymał pióro, Will doszedł do wniosku, że jest to sekretarz lub skryba na usługach barona.

– O co chodzi? – zapytał mężczyzna.

Lekceważenie w jego głosie podpowiadało, że uważał się za kogoś lepszego od prostych żołnierzy, takich jak Ramon, chociaż zapewne nie okazywałyby podobnej pogardy, gdyby baron nie znajdował się w pobliżu.

– Przyprowaǳiłem więźniów zgodnie z rozkazem barona – odpowiedział Ramon.

Wydawał się całkowicie nie zauważać wyniosłego zachowania skryby. Łysiejący mężczyzna odwrócił się do wnętrza gabinetu.

– Milordzie, więź...

Głęboki głos Lassigny’ego przerwał mu w pół słowa.

– Słyszałem, Nicolasie. Wprowadźcie ich.

Skryba otworzył szerzej drzwi, a Ramon wwiódł dwoje więźniów do komnaty. Razem z pozostałymi strażnikami ustawił się za plecami zwiadowców.

Lassigny siedział w drewnianym fotelu z wysokim oparciem za stojącym naprzeciwko drzwi ogromnym biurkiem. Jego blat był zasłany dokumentami, a baron miał w ręku pergaminową kartę. Po drugiej stronie biurka stał niewielki, tapicerowany taboret – najwyraźniej miejsce, na którym siedział Nicolas, kiedy pracował z baronem. Lassigny przywołał skrybę i podał mu pergamin.

– Zajmij się tym – powiedział krótko.

Nicolas wziął dokument i skłonił głowę.

– Oczywiście, milordzie. Czy to na razie wszystko?

– Tak. Idź już stąd i zajmij się tymi bzdurami. – Lassigny lekceważącym machnięciem ręki wskazał nieporządną stos pergaminów na biurku.

Nicolas pochylił się i szybko pozbierał dokumenty, a następnie, kłaniając się uniżenie, wycofał się. Dopiero w ostatniej chwili odwrócił się, żeby wyjść, i pospiesznie zamknął za sobą drzwi.

Przez cały ten czas Lassigny spojrzeniem ciemnych, ponurych oczu świdrował dwoje stojących przed jego biurkiem więźniów. W końcu przeniósł wzrok na Ramona.

– Przynieś dla nich krzesła – polecił.

Ramon wykonał rozkaz, przesuając do przodu dwa krzesła spośród sześciu stojących pod ścianą komnaty. Ustawił je przed biurkiem, przodem do barona.

– Siadać! – rozkazał Lassigny więźniom, którzy posłuchali. – Rozwiąż im ręce.

Strażnik skinął na jednego ze swoich towarzyszy, żeby przeciął rzemienie Maddie, podczas gdy sam zajął się Willem. Maddie rozmasowała nadgarstki i poruszyła palcami, żeby przywrócić krążenie w dłoniach. Tak jak poprzednio nacisk rzemienia sprawił, że zdrętwiały jej koniuszki palców. Lassigny wyraźnie nie spieszył się z rozpoczęciem rozmowy, więc Maddie rozejrzała się po gabinecie, żeby wykorzystać czas oczekiwania.

Głównym meblem był ogromny stół służący baronowi za biurko. Na ścianie za fotelem barona wisiał naturalnej wielkości portret arystokraty, którego rysy nosiły wyraźne podobieństwo do rysów Lassigny’ego – zapewne był to jego przodek. Po jednej stronie obrazu zawieszono dwie skrzyżowane halabardy, po drugiej zaś tarczę z herbem Lassigny’ego – stylizowanym żółtym jastrzębiem na zielonym tle. W ścianie po prawej stronie od biurka znajdował się duży kominek, w którym płonęły drewniane polana.

Jednak to po lewej Maddie dostrzegła coś, co przykuło jej uwagę. Oparty o ścianę stał cylindryczny futerał, który zostawili ukryty w boksie Zderzaka i Wyrwija – zawierający dwa należące do Maddie i Willa łuki oraz kołczany pełne strzał.

Lassigny, obserwujący ją uważnie czarnymi, nieprzeniknionymi oczami, dostrzegł, że zauważyła pokrowiec na broń.

– Podaj mi to – powiedział do Ramona, wskazując futerał.

Kiedy żołnierz wykonał polecenie, Lassigny otworzył pokrowiec i wysypał na swój stół oba łuki oraz strzały. Ramon uniósł wysoko brwi ze zdziwienia na widok tej broni. W ślad za łukami na stole wylądowały dwie saksy w pochwach owiniętych pasami, do których były przypięte, i uderzyły ciężko o blat.

– Tak sobie myślę, że to bardzo nietypowe rzeczy jak na coś, co należy do rybałta i jego córki – zauważył spokojnie Lassigny.

Przeniósł spojrzenie z Maddie na Willa, jakby oczekiwał od niego odpowiedzi.

– Czasy są niebezpieczne, milordzie. – Will wzruszył ramionami.

– Jesteśmy podróżnikami i musimy się jakoś bronić. Drogi są pełne zagrożeń i tylko głupiec przemierzałby je nieuzbrojony.

– Zaledwie kilka dni temu zostaliśmy napadnięci przez bandytów
– wtrąciła Maddie, a Lassigny spojrział znowu na nią, jakby lekko zaskoczony tym, że się odezwała.

Najwyraźniej oczekiwał, że to Will, jako starszy, a do tego mężczyzna, będzie mówić za nich oboje. Maddie westchnęła w duchu. Doskonale znała takie podejście.

– Doprawdy, młoda damo? – zapytał baron. – Czy udało wam się obronić tą straszliwą bronią?

Wyciągnął z kołczanu jedną strzałę, przesunął palcami po stalowym grocie i sprawdził kciukiem ostrość jego krawędzi.

– Nie było potrzeby – odparła Maddie. – Przejeżdżający akurat wojownik przyszedł nam z pomocą i przepędził bandytów.

– To niezwykle miło z jego strony – stwierdził baron. – A jakże się nazywał?

Maddie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, milordzie. Odjechał, ścigając bandytów, zanim zdążyliśmy go zapytać.

– Cóż za szkoda – oznajmił szyderczo baron.

Wydawało się, że sarkazm to jego standardowe podejście do świata. Przyglądał się Maddie, nie mówiąc ani słowa, więc skorzystała z okazji, aby także mu się przypatrzeć. W odróżnieniu od Willa nie miała do tej pory okazji oglądać barona z bliska, nie licząc krótkiego spotkania na dziedzińcu kilka dni temu.

W czerni jego ciemnych włosów dostrzegła pasma siwizny, a oczy, jak zauważyła wcześniej, przypominały kawałki obsydianu – czarne i nieprzeniknione. Jego twarz odznaczała się mocnymi, regularnymi rysami. Biała nieduża blizna nad lewym okiem musiała być pozostałością dawno odniesionej rany. Lassigny miał szerokie ramiona, jak można było się spodziewać po człowieku wychowywanym na rycerza. Ponieważ siedział za biurkiem, trudno było oszacować jego wzrost, ale Maddie pamiętała ze spotkania na dziedzińcu, że wysokość barona wynosiła nieco powyżej przeciętnej.

Najbardziej rzucającą się w oczy cechą tego mężczyzny był jego charakter – pogardliwe lekceważenie, z jakim zwracał się do nich i do każdej osoby, z którą rozmawiał. Nie ulegało wątpliwości, że uważa się za lepszego od innych z natury i nie czyni żadnych starań, aby to ukryć.

Baron zakończył obserwowanie Maddie i szybko przeniósł spojrzenie na Willa. Jego ruchy były gwałtowne i drapieżne, kojarzyły się z jastrzębiem widniejącym na jego herbie.

– Jesteście Aralueńczykami – powiedział.

Will już przy poprzednim spotkaniu zauważył, że baron lubi nieoczekiwanie zmieniać temat, gdy kogoś przepytuje. Taka taktyka miała na celu zaskoczenie rozmówcy i być może sprowokowanie go do nieprzemyślanej odpowiedzi.

– Zgadza się, milordzie – odparł Will.

Nie było sensu tego ukrywać. Rozmawiali już o tym, kiedy baron polecił Willowi zabawić przy obiedzie jego gości.

– Dlaczego więc pracujecie dla Philippe’a? – zapytał baron.

– Obiecał, że nam zapłaci, milordzie. – Will z obłudnym uśmiechem rozłożył ręce. – Obiecał, że nam dobrze zapłaci. – Ton jego głosu wskazywał, że to oczywista odpowiedź.

Jednak Lassigny pogłodził krótką brodę z namysłem, jakby się zastanawiał nad tym, co usłyszał.

– Czyli nie macie szczególnych powodów, aby być lojalni wobec Philippe’a? – zapytał.

Will zwrócił uwagę, że baron nie tytułował Philippe’a królem. Ponownie wzruszył ramionami.

– Pracujemy dla tego, kto nam zapłaci, milordzie – oznajmił. – Poza naszą umowę nie mamy powodów do lojalności wobec króla. Tak jak zauważyłeś, jesteśmy Aralueńczykami, a nie Gallami.

Will nagle zorientował się, do czego może zmierzać ta rozmowa. Słowa Lassigny’ego potwierdziły jego przypuszczenia.

– Czyli jesteście najemnikami. Szpiegami do wynajęcia.

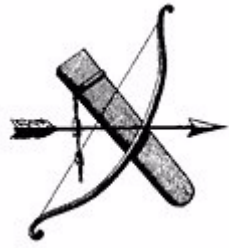
Nie było sensu zaprzeczać temu twierdzeniu, w gruncie rzeczy prawdziwemu. Jednocześnie nie było sensu tego potwierdzać, więc Will zachował milczenie. Ciemne oczy nadal go świdrowały.

– Zakładam w takim razie – odezwał się baron – że pracowalibyście dla każdego, kto by wam dobrze zapłacił.

Will skinął głową.

– Nie widzę powodów, dla których miałyby być inaczej.

– Interesujące – oznajmił obojętnie Lassigny. – Jeszcze o tym porozmawiamy. – Spojrzał na Ramona i pstryknął palcami. – Zabierz ich z powrotem do wieży.





5

Ramon i pozostali strażnicy odeskortowali więźniów przez dziedziniec do komnaty w północno-zachodniej wieży. Will i Maddie ponownie usłyszeli szcęk klucza w zamku, gdy żołnierz zamknął za nimi drzwi.

– O co w tym wszystkim chodziło? – zapytała Maddie, kiedy zostali sami.

Will z namysłem podrapał się po brodzie.

– Powiedziałbym, że nasz przyjaciel może spróbować nas zwerbować – odparł.

– Zwerbować? – powtórzyła Maddie. – Po co?

– Żebyśmy zbierali dla niego informacje. Ostatecznie spiskuje i snuje plany w celu obalenia króla, a przynajmniej tak uważa Anthony. Jeśli tak, potrzebuje wiedzy o tym, jakie stanowisko zajmą inni baronowie i arystokraci.

– Czyli chciałby nas wykorzystać, żebyśmy podróżowali po kraju i zdobywali dla niego informacje? – upewniła się Maddie.

Will skinął głową.

– Możliwe, że chodzi mu o coś takiego. Nadawalibyśmy się idealnie do tego zadania, ponieważ byłoby nam stosunkowo łatwo dostawać się do wnętrza zamków i fortec. Wydaje mi się, że jego pytania o naszą lojalność wobec Philippe’a wyraźnie na to wskazują. Podobnie jak nazwanie nas najemnikami.

– Zauważyłam, że sam mu podsunąłeś to określenie – stwierdziła Maddie. – Kiedy powiedziałeś, że pracujemy dla tego, kto nam

zapłaci.

– Czy to było zbyt oczywiste? – zapytał Will.

Maddie uśmiechnęła się szeroko.

– Dla mnie tak. Z pewnością nie pozostawiłeś wielu możliwości do wyboru.

– Cóż, to raczej logiczne, jeśli się nad tym zastanowisz. Nie jesteśmy Gallami, więc nie musimy być wierni ich królowi. Podejrzewam, że baron zamierza przez najbliższe kilka tygodni sondować nas i przeciągać na swoją stronę. – Will umilkł na chwilę.

– Coś jeszcze przyszło mi do głowy.

– Co takiego?

– Lord Anthony uważa także, że ambicje Lassigny’ego mogą się nie ograniczać do zdobycia tronu Gallii. Niewykluczone, że w dalszej perspektywie planuje najazd na Araluen. Jeśli tak, może także chcieć wyciągnąć od nas wszystko, co wiemy o aralueńskich systemach obronnych.

– Ale przecież my nic takiego mu nie powiemy! – zaprotestowała z oburzeniem Maddie.

Will przechylił głowę na bok.

– Świadomie na pewno nie. Ale jeśli on rzeczywiście ma takie zamiary, może próbować zaskarbić sobie naszą sympatię. Będzie się zachowywać przyjaźnie, by uspić naszą czujność. Zaproponuje nam hojną zapłatę, jeśli będziemy dla niego pracować tutaj, w Gallii. Im pewniej zacniemy się czuć w nowej sytuacji, tym łatwiej będzie mógł się czegoś od nas dowiedzieć. To zaskakujące, ile można zdradzić przypadkiem, jeśli się nie uważa.

– Przecież my będziemy przez cały czas uważać – powiedziała Maddie.

Will uśmiechnął się do niej.

– Owszem, będziemy. Ale on o tym nie wie. Pamiętaj, że bierze nas za najemników. Szpiegów, którzy pracują za pieniądze. Spodziewam się, że będzie się starał stopniowo zdobywać nasze zaufanie i utwierdzać nas w przekonaniu, że możemy u niego pracować, żebyśmy się zaczęli czuć swobodniej w jego obecności. Wtedy będzie mógł się dowiadywać od nas coraz więcej i więcej. Ludzie tacy jak Lassigny osądzają innych według siebie. On jest

gotów zdradzić swojego króla i zakłada, że innych cechuje podobny brak lojalności.

– Co w takim razie zrobimy? – zapytała Maddie.

– Zagramy z nim w jego grę. Będziemy udawać, że się z nim dogadujemy i jesteśmy gotowi pracować dla niego, jeśli padnie taka propozycja. Pamiętaj, że nie będzie się z tym spieszyć. Postara się uspić naszą czujność, zanim wykona jakikolwiek jednoznaczny ruch. Dlatego my będziemy grać na zwłokę, a przez ten czas może znajdziemy jakąś drogę ucieczki. A skoro o tym mowa...

Will siedział na brzegu jednego z foteli, ale teraz wstał i podszedł do okna. Nie było zaryglowane, tylko zamknięte na zapadkę, więc podniósł ją i otworzył okno, a potem wychylił się, żeby się rozejrzeć. Cofnął się z uśmiechem na twarzy.

– Przyjrzyj się temu – polecił.

Maddie podeszła i wyjrzała przez wąski otwór.

– Czemu mam się przyjrzeć?

– Kamieniom. Popatrz na nie uważnie.

Maddie posłuchała i zobaczyła, że mury wokół zostały świeżo pokryte tynkiem. Na odległość dwóch metrów od otworu okiennego – na górze, na dole i po bokach – wypełniono i wygładzono wszelkie szczeliny i nierówności między kamieniami. Ktoś, kto chciałby się po nich wspiąć, nie zdołałby znaleźć żadnego uchwytu dla ręki ani oparcia dla stopy.

To oznaczało, że nie mieli szans zejść z wieży po jej murze zewnętrznym.

– To nieprzyjemne odkrycie – zauważyła.

W głębi duszy pocieszała się wcześniej myślą, że jeśli tylko zechcą, mogą stąd uciec po ścianie w dół, tak samo jak wcześniej wspięła się po murze, żeby dotrzeć do księcia Gilesa. Teraz stało się jasne, że z tej komnaty nie było innej drogi wyjścia niż drzwi.

Zaryglowane drzwi.

– On nie jest głupi – stwierdził Will. – Z pewnością domyślił się, w jaki sposób znaleźliśmy się w komnacie Gilesa. Może właśnie dlatego przetrzymał nas na początku w lochach. Była to niezbyt subtelna sugestia, co nas czeka, jeśli nie będziemy uważać, ale przy okazji zyskał czas, żeby wygładzić ścianę.

Maddie cofnęła się od okna i usiadła przy stole. Czuła się sfrustrowana tym, że jedyna możliwa droga ucieczki została praktycznie odcięta.

– No to co zrobimy? – powtórzyła.

– Będziemy czekać. Zobaczymy, co wymyślił Lassigny. Pozwolimy mu pracować nad uspieniem naszej czujności. Podejrzewam, że będziemy się z nim regularnie widywać. Będzie się z nami spotykać, rozmawiać i starać się, żebyśmy się poczuli swobodniej. W zeszłym roku czytałem raport na temat dziwnego zjawiska, które ma miejsce, kiedy ktoś jest przetrzymywany w zamknięciu przez dłuższy czas.

– Na czym polega to zjawisko?

– Więzień zaczyna się identyfikować z osobą, która go uwięziła. Czuje się zależny od niej i z jakiegoś powodu to sprawia, że się do niej zbliża. Zaczyna jej ufać.

– To szaleństwo.

Will wzruszył ramionami.

– Może tak, może nie. Kiedy więźniowie przekonują się, że nie mają szans na ucieczkę, zaczyna ich ogarniać obojętność. Osoba, która ich więzi, na swój sposób się nimi opiekuje, zapewnia im jedzenie i dach nad głową, więc uzależniają się od niej. Możliwe, że na to liczy Lassigny.

– W takim razie się rozczaruje – oznajmiła Maddie z nowym przypływem energii.

– Możliwe – odparł Will. – Ale nie uprzedzimy go o tym.



Słońce zniżyło się nad zachodni horyzont, a cienie wydłużyły się na dziedzińcu daleko w dole. Kiedy w końcu zaszło, Will i Maddie zapalili przygotowane dla nich lampy. Obok niedużego kominka leżały polana i podpałka, więc Maddie ułożyła szczapy i roznieciła ogień. Niebawem ciepło wypełniło komnatę, a oni zajęli miejsca w fotelach obok paleniska. Will wyciągnął z futerału mandolę i zaczął cicho grać. Maddie знаła tę melodię, więc oderwała wzrok od płomieni i żarzących się polan w kominku i spojrzała na niego.

– Co to za piosenka? – zapytała.

Will podniósł głowę, ale nie przerwał grania, a jego palce nadal trafiały we właściwe akordy.

– *La Lune, elle est Mon Amour*, czyli *Księżyc jest moją ukochaną* – wyjaśnił, a po chwili dodał: – To właśnie o nią pytał mnie książę Louis, kiedy odwiedziliśmy Chateau La Lumiere.

– Prawda. Tak mi się zdawało, że ją rozpoznaję – powiedziała Maddie, ponieważ książę zaśpiewał im fragment tej piosenki, gdy zapytał Willa, czy ją zna. – Kiedy się jej nauczyłeś?

– Poprosiłem jednego ze służących w sali wspólnej, żeby mi ją zaśpiewał – oznajmił Will. – Chciałem włączyć ją do swojego repertuaru pomimo kąśliwych uwag Lassigny’ego na temat mojego akcentu.

– Jest śliczna – przyznała Maddie.

Oparła się wygodnie i zamknęła oczy, żeby rozkoszować się muzyką, a Will ćwiczył dalej, szybko nabierając wprawy w graniu nowej melodii. Maddie trochę zazdrościła mu tej umiejętności. Dzięki temu miał coś, czym mógł zabijać czas, podczas gdy ona się nudziła. Zastanowiła się, czy nie poćwiczyć żonglowania, ale odrzuciła ten pomysł. Przy kominku było ciepło, a ona nie widziała sensu rozwijania swoich talentów żonglerskich w obecnych okolicznościach. Poprawiła się na fotelu, żeby zająć wygodniejszą pozycję. Niedługo potem zasnęła.

Obudził ją szcęk klucza w zamku. Rozejrzała się, przez chwilę niepewna, gdzie się znajduje, ale zaraz wszystko sobie przypomniała. Do środka weszło dwoje służących z przykrytymi tacami. Zostawili je na stole i opuścili komnatę. Zanim drzwi się zamknęły, a klucz ponownie obrócił, Maddie zauważyła uzbrojonych strażników na korytarzu, którzy nadal ich pilnowali.

Zwiadowcy podnieśli się z foteli. Will odłożył mandolę na bok, z dała od żaru ognia, i podszedł z Maddie do stołu.

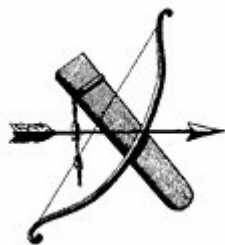
– Zobaczmy, co mamy na obiad – powiedział.

Jedzenie było proste, ale obfite i smaczne. Podano im gęstą potrawkę jarzynową i świeżo pieczony chleb, nadal lekko ciepły, chociaż został tutaj przyniesiony aż z mieszczącej się w donżonie kuchni. Na deser dostali dwa jabłka.

Maddie nie piła alkoholu, a Will kosztował go bardzo rzadko. Teraz jednak nalał sobie niewielki pucharek i spróbował wina,

przesuwając językiem po podniebieniu, żeby w pełni docenić jego smak.

– Niezłe – powiedział z uznaniem. – Naprawdę niezłe. Zdaje się, że moja teoria była prawdziwa. – Wskazał przygotowane dla nich jedzenie i picie. – Baron stara się nas zmiękczyć.





6

W miarę upływu czasu stawało się coraz bardziej oczywiste, że baronowi właśnie o to chodziło. Następnego dnia dostali równie smaczne śniadanie składające się z kawy, rogalików oraz plastrów szynki i sera. Potem, jeszcze przed południem, pojawił się Ramon ze zwykłą obstawą złożoną z uzbrojonych żołnierzy i zaprowadził ich do ogrodu tarasowego za donżonem.

– Baron powiedział, że możecie rozprostować nogi i zaczerpnąć świeżego powietrza – oznajmił.

Will i jego uczennica wymienili znaczące spojrzenia.

– Najwyraźniej mamy w nim nowego najlepszego przyjaciela – zauważył cicho zwiadowca.

Spacerowali pomiędzy rozstawionymi w ogrodzie ławkami i rabatami, rozkoszując się blaskiem słońca. Strażnicy otoczyli ich kręgiem ze wszystkich stron i szybko stało się jasne, że nawet jeśli baron zamierza ich dobrze traktować, pozostają pewne ograniczenia. Nikomu nie było wolno do nich podchodzić ani z nimi rozmawiać. Jeśli ktoś próbował – a próbowało kilka osób, ponieważ Will był już dobrze znany i popularny jako rybałt – żołnierze zastawiali intruzowi drogę i przepędzali go. Jeden ze służących, odważniejszy od innych, zadał im pytanie z odległości, kiedy go mijali.

– Co takiego przeskrobaliście? – zawołał, ale Ramon zareagował szybko, zanim Will albo Maddie zdążyli się odezwać.

– Nie odpowiadajcie! – warknął. Odwrócił się do mężczyzny, który zadał pytanie, i rzucił ostro: – A ty trzymaj gębę na kłódkę. Już cię tu

nie ma!

Położył ostrzegawczo dłoń na rękojeści krótkiego miecza, więc służący uciekł pospiesznie i schował się pomiędzy innymi, którzy przyszli tutaj, żeby pospacerować.

Maddie się uśmiechnęła.

– Najwyraźniej nasza nowo nabyta swoboda ma bardzo określone granice – zauważyła.

Zatrzymali się przy fontannie, która bulgotała wesoło niedaleko północnego muru. Otaczał ją niski kamienny parkan i niewielki placik wysypany białymi otoczakami. Maddie przysiadła na brzegu murka i zaczęła obojętnie bawić się jednym z kamieni. Był gładki i zaokrąglony przez wygładzającą go wodę rzeczną. Maddie podrzucała go lekko na dłoni.

Wydawało się to całkowicie niewinne, ale nie było pozbawione celu. Kamień, kawałek marmuru, był ciężki i twardy, a przy tym gładki i symetryczny. Will zobaczył, że Maddie przygląda się Ramonowi. Kiedy żołnierz na chwilę odwrócił uwagę, wsunęła otoczak do kieszeni i podniosła inny, bawiąc się nim w podobny sposób, a potem także ten schowała. Wzięła kolejny kamyk i tak jak poprzednio zaczęła obracać go w ręku. Ten jednak rzuciła z powrotem na ziemię.

– Nie nadaje się? – zapytał cicho Will.

Maddie pokręciła głową.

– Jest nierówny. Nie będzie dobrze lecieć.

Will skinął głową. Domyślał się, co robi jego uczennica, a jej słowa to potwierdziły. Wokół pasa miała swoją oplecioną procę umocowaną na widoku jako rodzaj ozdoby. Skórzana pętla, która mogłaby coś zdradzić, znajdowała się z tyłu, ukryta pod paskiem.

Maddie znowu podniosła kamień i odrzuciła go po kilku sekundach. Potem wzięła trzeci i czwarty, po namyśle dodając je do dwóch, które już miała w kieszeni. Will zauważył, że jeden z pozostałych strażników przygląda się im. Zachowywał się spokojnie i nie wydawało się, żeby cokolwiek podejrzewał, ale nie warto było ryzykować.

– Nie przesadzaj. Jeden z nich patrzy – powiedział półgłosem i odchylił głowę, jakby chciał się przyjrzeć gawronom krążącym wysoko nad nimi wokół wieży.

Zauważył, że strażnik także spojrzał w górę, żeby sprawdzić, co takiego obserwuje Will.

– Jutro zabiorę więcej – odparła Maddie tak samo spokojnym tonem.

Podniosła się i zaczęła spacerować po równo przystrzyżonej trawie w ogrodzie. Will poszedł w jej ślady, a eskorta ruszyła za nimi, otaczając ich luźnym kordonem. Kilka minut później Ramon sprawdził wysokość słońca na niebie.

– Czas wracać – oznajmił, wskazując donżon.

Will niechętnie zawrócił w kierunku wieży, w której znajdowało się ich więzienie – z pewnością było wygodne, ale, jak już zauważył wcześniej, to nie czyniło tego miejsca w mniejszym stopniu więzieniem.

– Możecie tu wrócić jutro – obiecał Ramon. – Baron powiedział, że jeśli chcecie, możecie codziennie wychodzić na świeże powietrze.

– Chyba w takim razie jutro przejdziemy się do wsi – zaproponował niewinnie Will.

Ramon uśmiechnął się bez rozbawienia.

– Chyba że świny zaczną latać – odpowiedział.

Wrócili do północno-zachodniej wieży. Zanim weszli do środka, Maddie poczuła, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się prędko i rozejrzała po ogrodzie. Jakies dwadzieścia metrów dalej zobaczyła człowieka ubranego na biało-niebiesko. To był siwy żebrak, który opierał się ciężko na długim kosturze i patrzył na nią.

Kiedy Ramon zrobił krok naprzód, żeby ją popędzić, starzec zniknął szybko za grupką krzątających się służących.

– Nie zatrzymuj się! – polecił Ramon.

Maddie odwróciła się do drzwi, chociaż w jej głowie kotłowały się różne myśli. W tym starszku z pewnością było coś zastanawiającego, ale nie potrafiła tego nazwać. Will zauważył jej wahanie i zbliżył się do niej, zanim weszli na schody.

– O co chodzi? – zapytał cicho.

Maddie pokręciła głową.

– Nic takiego. Wszystko w porządku – odpowiedziała.

Ramon ponownie polecił im nie zatrzymywać się i przestać rozmawiać, więc Maddie ruszyła przodem krętymi schodami. Za sobą na kamiennych stopniach słyszała ciężkie kroki strażników.

Kiedy znaleźli się z powrotem w komnacie, a drzwi zostały starannie zamknięte i zaryglowane, Maddie spojrzała na Willa.

– Zwróciłeś uwagę na tego żebraka?

Zaskoczony Will spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc.

– Jakiego żebraka?

– Tego z długimi siwymi włosami i brodą. Ma płaszcz w biało-niebieskie pasy i podpira się wielkim kosturem – wyjaśniła Maddie. Wyraz twarzy Willa powiedział jej jednak jasno, że zwiadowca nie dostrzegł staruszka. – Widziałam go wcześniej raz czy dwa na dziedzińcu. Jest w nim coś dziwnie znajomego.

Will przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami, aż w końcu odpowiedział:

– Nie wydaje mi się, żebym go zauważył. Mówisz, że gdzieś go już widziałas?

Maddie, sfrustrowana, wydeła wargi.

– Nie jestem pewna. Po prostu wydaje się jakoś... znajomy.

– Może był wśród publiczności w Entente? – podsunął Will.

Entente było położoną w górach wsią, w której występowali przed przyjazdem do Falaise.

– Nie wydaje mi się. – Maddie nie wyglądała na przekonaną. – Raczej zapamiętałabym, gdyby tam był. To takie irytujące! – dodała, ale zaraz spróbowała otrząsnąć się z rozdrażnienia. – Myślę, że sobie przypomnę, jeśli nie będę się nad tym zastanawiać.

– Tak się zwykle dzieje – zgodził się z nią Will.

Oczywiście czym innym było zapowiedzieć, że przestanie się nad czymś rozmyślać, a zupełnie czym innym rzeczywiście to zrobić. Maddie pogrzebała w swojej torbie z ubraniami, żeby znaleźć starą skarpetkę, której używała jako woreczka na zebrane otoczaki.

Przez cały czas jednak jej myśli wracały do staruszka w biało-niebieskim płaszczu.

– Może on po prostu kogoś mi przypomina – powiedziała do siebie, lecz nawet to nie pozwoliło złagodzić jej poczucia frustracji. – Ale jeśli tak, to kogo? – mruknęła.

Jednak, przynajmniej na razie, to pytanie pozostawało bez odpowiedzi.





7

Ainęły cztery dni bez jakiegokolwiek zmiany w ich harmonogramie. Codziennie Ramon i jego podwładni eskortowali ich do ogrodu na tyłach dziedzińca, żeby mogli zażyć ruchu i świeżego powietrza. Na razie nie mieli żadnej styczności z Lassignym.

– To się robi nudne – oznajmiła Maddie pewnego popołudnia.

Opierała się na łokciach na parapecie i obserwowała dziedziniec w dole oraz wejście do donżonu.

Will podniósł głowę znad swojej mandoli. Potrafił już biegle grać galijską piosenkę miłosną, której postanowił się nauczyć, a teraz pracował nad instrumentalnym przerywnikiem. Maddie pomyślała ponuro, że on przynajmniej miał coś, czym mógł wypełnić sobie czas.

Will odłożył instrument i wstał, żeby dołączyć do niej przy oknie. Z tej wysokości mieli bardzo dobry widok. Za południowym murem z ufortyfikowaną wartownią ciągnęła się grobla, a za nią znajdowała się wieś. Jeszcze dalej aż po horyzont rozpościerały się wzgórza i lasy. Mewy i gawrony unosiły się na prądach powietrza wokół zamku. Wyraźnie słychać było nieustanny szum fal załamujących się na skałach u podnóża twierdzy. Na pierwszym planie królowała przysadzista sylwetka donżonu, a jeśli spojrzano się w dół, widać było skrócone perspektywą sylwetki ludzi przechodzących przez dziedziniec i spacerujących po trawnikach po stronie północnej.

– Wspaniały widok – zauważył Will.

– Już go widziałam. Widzę go codziennie, a on nigdy się nie zmienia. To nudne. Nudzę się. Jak my się stąd wydostaniemy?

– Cóż, zejście po murze z oczywistych powodów nie wchodzi w grę. Myślę, że będziemy musieli uciec przez drzwi.

– Drzwi są zamknięte na klucz – stwierdziła Maddie. – Nie wiem, czy to zauważyłeś.

– Zauważyłem. Ale zamek można otworzyć wytrychem, prawda?

– Potrafisz otworzyć wytrychem zamek? Taki jak ten?

Will podszedł do drzwi i przyjrzał się dziurce od klucza.

– Prawdopodobnie mógłbym to zrobić, gdybym miał wygięty metalowy pręt – powiedział. – Albo kawałek grubego drutu.

Maddie rozejrzała się po komnacie za czymś, co mogłoby spełniać te funkcje. Nie zauważyła niczego takiego, więc westchnęła.

– Oczywiście mógłbym także użyć moich wytrychów – dodał Will, więc natychmiast na niego spojrzała.

– Gdzie one są? – zapytała.

– W bucie, tam, gdzie zazwyczaj je trzymam.

Maddie chwyciła go za łokieć i spróbowała pociągnąć do drzwi.

– No to już, otwieraj je! – zawołała.

Jednak mimo jej wysiłków Will nie ruszył się z miejsca.

– Jak to, od razu?

Maddie skinęła głową i pociągnęła go z nowym przypiływem energii.

– Tak! Od razu! Wydostaniemy się stąd!

– Skąd mamy wiedzieć, że na zewnątrz nikogo nie ma? – zapytał Will. Kiedy Maddie się zawahała, mówił dalej: – No wiesz, byłoby nam przykro, gdyby na zewnątrz czekało pół tuzina strażników, którzy by zobaczyli, jak wychodzimy. Przede wszystkim zabraliby mi wytrychy, a to byłoby niedobrze. Poza tym jest środek dnia i wszędzie jest pełno ludzi. Dokąd mielibyśmy pójść? Natychmiast by nas zauważono.

Maddie wypuściła jego rękę, ponieważ dostrzegła słuszność tych słów.

– To prawda – przyznała. – Może powinniśmy poczekać do nocy, aż wszyscy w zamku zasną.

– A może powinniśmy wykazać się cierpliwością jeszcze przez kilka dni – odparł Will głosem, z którego zniknęły wszelkie

żartobliwe tony.

Maddie spojrzała na niego szybko.

– Dni?!

– Może nawet tydzień – powiedział. – Maddie, chciałbym spróbować się dowiedzieć, co takiego chodzi po głowie baronowi. Sądzę, że próbuje nas przeciągnąć na swoją stronę, wpłynąć na nas i sprawić, że staniemy się bardziej nieostrożni. Prędzej czy później zechce z nami znowu porozmawiać, a my będziemy lepiej rozumieć, co planuje. Podejrzewam, że nie chodzi tylko o porwanie księcia Gilesa i zdobycie ościennej prowincji.

– Pewnie masz rację – odparła ponuro Maddie. – Ale dlaczego narobiłeś mi nadziei, opowiadając o otwieraniu zamków wytrychem?

Will uśmiechnął się do niej ciepło.

– Byłaś okropnie przybita. Chciałem, żebyś wiedziała, że mamy stąd drogę ucieczki, ale to nie jest właściwy moment, by z niej skorzystać. Musimy też przygotować jakiś plan i ustalić, jak wydostaniemy się z zamku, kiedy już uciekniemy z tej wieży.

– To nie powinno być aż takie trudne. Znajdziemy po prostu odpowiednie miejsce i przejdziemy przez mur – rzuciła lekceważąco Maddie.

– A Wyrwij i Zderzak będą się wspinać razem z nami? Czy może zamierzasz je tutaj zostawić?

Maddie usiadła naprzeciwko niego w fotelu i opuściła ramiona, kiedy cały entuzjazm uszedł z niej jak powietrze z przekłutego balonika.

– Och... – powiedziała. – No tak.

Była tak niecierpliwa i tak bardzo chciała się stąd wydostać, że całkiem zapomniała o koniach, które pozostawały na razie w zamkowej stajni. Wymknięcie się z zamku wraz z nimi będzie – mówiąc najogólniej – trudne. Oczywiście nawet do głowy by jej nie przyszło, żeby je zostawić. Zawstydzona, popatrzyła na Willa.

– Trochę o nich zapomniałam – przyznała, a on powoli skinął głową.

– Dlatego musimy wymyślić sposób, żeby mogły iść razem z nami. A na razie będziemy siedzieć spokojnie i czekać, aż Lassigny znowu zechce z nami porozmawiać.



Zostali wezwani przed oblicze barona dwa dni później. Usłyszeli kroki ciężkich butów na korytarzu, potem klucz szczęknął w zamku, a Ramon otworzył drzwi i wszedł do środka. Za nim widać było nieodłącznych żołnierzy.

- Postarajcie się wieczorem schludnie wyglądać – polecił szorstko.
- Baron powiedział, że zjecie razem z nim obiad.

Will uniósł brwi.

- Doprawdy? To bardzo miło z jego strony. Powiedz mu, że z przyjemnością przyjmujemy jego zaproszenie.

Ramon skrzywił się, słysząc ten żartobliwy ton. Poczucie humoru nie było jego mocną stroną.

- To nie jest zaproszenie. To rozkaz.

Will wyduł wargi i z namysłem pokiwał głową, a potem spojrzał na Maddie.

- Czy rozkaz przyścia na obiad to coś, co się przyjmuje?

Maddie wzruszyła ramionami.

- Myślę, że to coś, co się wykonuje – odpowiedziała.

Ramon z irytacją pokręcił głową.

- Możecie sobie przyjmować albo wykonywać, ale macie zjeść z nim obiad. Więc przygotujcie się odpowiednio.

- Niech tak będzie – zgodził się Will. – Wiesz może, jakie menu jest planowane?

– Skąd miałbym wiedzieć? Ja nie mam okazji jadać z baronem. Nie zdziwię się, jeśli podają mu jęczyczki skowronków w galarecie i cykady kandyzowane w miodzie.

Will spojrzał na żołnierza z odrobinę większym zainteresowaniem. Być może mylił się co do jego braku poczucia humoru. Ważniejsze jednak było to, że w trakcie tej wymiany zdań zwiadowca przesunął się nieznacznie, żeby lepiej się przyjrzeć korytarzowi na zewnątrz. Zobaczył tylko trzech strażników, którzy zawsze towarzyszyli Ramonowi. Najwyraźniej teraz już nikt nie pilnował ich drzwi na okrągło. To była informacja przydatna w świetle jego wcześniejszej rozmowy z Maddie.

- Przyjdziemy was zabrać o ósmej – zakończył Ramon. – Macie być gotowi.

Z tymi słowami obrócił się na pięcie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.





8

Obiad podano w małej jadalni przylegającej do apartamentów barona, a nie w wielkiej sali, w której Will występował przed podległymi Lassigny’emu rycerzami i szlachcicami. Oprócz barona obecna była jego żona, a także jeden z wyższych rangą rycerzy.

– To jest Armand – oznajmił Lassigny, przedstawiając go. – Dowódca zamkowego garnizonu.

Armand skinął lekceważąco głową w kierunku Willa i Maddie. Był po trzydziestce, miał długie ciemnoblonde włosy opadające na ramiona oraz krótko przystrzyżoną brodę. Jego niebieskie oczy spoglądały czujnie i uważnie. Gdy przyglądał się zwiadowcom, jego pełne usta były wygięte w szyderczym grymasie. Will nie pamiętał go spośród widzów ani gości przy głównym stole, kiedy kilka dni temu występował przed Lassignym. Być może Armand miał wtedy służbę.

Armand nie próbował nawet ukrywać obcesowego zainteresowania, z jakim studiował dwoje Aralueńczyków. Maddie pomyślała, że takie zachowanie graniczy z nieuprzejmością, a utwierdziła się w tej opinii, kiedy rycerz zwrócił się do Lassigny’ego:

– Jak oni się nazywają?

Lassigny skinął na Willa, polecając mu odpowiedzieć.

– Jestem Will d’Acord – odparł zwiadowca. – A to jest moja córka Madelyn. Jeśli zechcesz, sir, możesz ją nazywać Maddie.

Armand przez chwilę wpatrywał się w niego nieprzyjemnie.

– Nie zechcę – odparł obojętnie i znowu przeniósł wzrok na barona. – Dlaczego ci ludzie siedzą z nami przy stole?

Lassigny gestem nakazał seneszalowi, żeby zaczęto wnosić posiłek.

– Opowiedzą nam o Araluenie – oznajmił spokojnie.

Armand otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale przerwali mu służący, którzy zaczęli przynosić potrawy.

Trzy służki, nadzorowane przez seneszala barona, pospiesznie ustawiły na stole tace – dymiącą pieczeń schabową z chrupką skórką i kwaśnym sosem jabłkowym, a także jarzyny oraz sałatkę z ciecierzycy i siekanej czerwonej cebuli z ostrym sosem winegret. W kilku koszyczkach leżały długie, chrupiące bochenki chleba, stanowiące nieodłączną część każdego galijskiego posiłku, a białe serwety pomagały im zachować ciepło.

Przez kilka minut dalsza rozmowa była niemożliwa, ponieważ służące kroili jedzenie i nakładały je na talerze. Seneszał nalał gościom wina. Will przyjął kieliszek, ale Maddie poprosiła o wodę, czystą i zimną, pochodzącą ze źródła na pałacowym dziedzińcu.

Pomyślała, że baron zdecydowanie nie zamierza ich zagłodzić. Rozkoszowała się pierwszymi kęsami delikatnej, wybornej wieprzowiny. Odkroiła kawałek cienkiej, chrupiącej skórki, a kiedy rozpląnął się w jej ustach, wydała cichy pomruk zachwytu.

Spojrzała na siedzącego naprzeciwko niej Willa. Przechylił głowę, doceniając smak jedzenia, i wzruszył ledwie dostrzegalnie ramionami. Przypomniała sobie jego teorię, że Lassigny będzie się starał uspić ich czujność.

Pomyślała, że może sobie usypiać. Ona jest w stanie długo wytrzymać takie traktowanie.

Lassigny zauważył jej reakcję i pochylił się, żeby się do niej odezwać.

– Smakuje ci nasza kuchnia? – zapytał.

– Bardzo, milordzie. Wasi kucharze są niezwykle utalentowani.

Sięgnęła po sosjerkę z sosem jabłkowym i nałożyła go obficie na porcję mięsa na talerzu.

Baron roześmiał się krótko.

– Moi z pewnością – oznajmił. – Nie wiem, jak w pozostałej części kraju. Jakie jest jedzenie w Araluenie?

Maddie przechyliła głowę na bok i zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Bardzo syce – powiedziała. – Mamy prostsze potrawy i mocniej je przygotowujemy. Jemy więcej wołowiny i baraniny niż wieprzowiny.

– Czy zwykli ludzie także jedzą wołowinę i baraninę? – zapytała lady Lassigny, po raz pierwszy włączając się do rozmowy.

– Nie codziennie. Jadamy mięso może ze trzy razy w tygodniu. W pozostałe dni jemy jarzyny: ziemniaki, marchew i rzepę. A także sporo produktów zbożowych.

Will uśmiechnął się do siebie, ponieważ zauważył, że Maddie włączyła siebie do pospólstwa, odsuwając jakiegokolwiek podejrzenia, że może być szlachetnie urodzona. Pomyślał, że jego uczennica nie jest głupia.

– Czy Araluen ma dużą armię? – zapytał Lassigny.

Mówił całkowicie obojętnym tonem i wydawał się pochłonięty krojonym właśnie kawałkiem schabu.

Will pomyślał, że baron znowu zmienia nieoczekiwanie temat, żeby podstępem uzyskać nieostrożną odpowiedź.

Jednak Maddie popatrzyła na barona z całkowitym spokojem.

– Myślę, że na to pytanie odpowie lepiej mój ojciec. Ja przecież jestem tylko dziewczyną – oznajmiła ze skromnym uśmiechem.

Armand prychnął cicho, najwyraźniej się z nią zgadzając.

Lassigny popatrzył na Willa.

– No dobrze – stwierdził. – Opowiedz nam o aralueńskiej armii.

– Mają niewielką armię zawodową – odparł Will, dobierając formę wypowiedzi tak, żeby zdystansować się od władz Araluenu. – W każdym lennie jest oddzielna szkoła wojskowa.

– Lenna? – zainteresował się Lassigny. – Czym są lenna?

– Czymś podobnym do waszych baronii. Jest ich pięćdziesiąt, różnej wielkości. Każdym z nich zarządza baron. Szkoły wojskowe trenują młodych ludzi na rycerzy i zbrojnych. To z nich wywodzą się podstawowe, wyszkolone siły wojskowe. Jeśli to nie wystarcza, król może ogłosić pobór spośród wszystkich mieszkańców.

– Czyli będą to niewyszkoleni żołnierze? – zastanowił się Lassigny.

Will wzruszył ramionami.

– Nie do końca. Szkoły wojskowe szkolą także poborowych. W ciągu roku organizują obozy, żeby wpoić rekrutom podstawowe umiejętności w zakresie walki piką, włócznią i innymi rodzajami broni używanymi w zwarcu. W razie potrzeby z poborowych rekrutuje się zasadnicze siły piechoty.

A także łuczników, ale Will uznał, że lepiej będzie, jeśli Lassigny sam się kiedyś o tym przekona. Prawo aralueńskie wymagało od młodzieńców z każdej wioski regularnego trenowania łucznictwa, co oznaczało, że w razie wojny lub najazdu można było liczyć na tysiące żołnierzy biegłych w posługiwaniu się długim łukiem.

– Rozumiem – powiedział z namysłem baron. – Czyli armia waszego kraju jest mała, ale dobrze wyszkolona. Kiedy po raz ostatni zmobilizowano ją do obrony królestwa?

– Całkiem niedawno – odparł Will. – Pojawił się buntowniczy kult, który sprzeciwiał się naszym prawom dziedziczenia tronu.

Armand pochylił się do przodu.

– A o jakie prawa dokładnie chodziło?

– O to, że córka może odziedziczyć tron po ojcu, jeśli król nie ma starszego od niej męskiego potomka – wyjaśnił Will.

Armand wykrzywił usta.

– To absurd – mruknął. – Kobiety nie nadają się do sprawowania władzy.

Obserwująca obecnych uważnie Maddie odnotowała, że żona Lassigny’ego rzuciła rycerzowi niezyczliwe spojrzenie. Najwyraźniej nie podzielała jego niechęci do kobiet rządzących krajem.

Will zbył tę uwagę wzruszeniem ramion.

– Być może, ale takie jest nasze prawo. Bunt został szybko stłumiony. Jego siły zbrojne w dużej mierze opierały się na zaciężnych najemnikach z Sonderlandu.

Lassigny pokiwał głową, zapamiętując te informacje. Potem nieoczekiwanie zwrócił się do Maddie:

– Opowiedz o aralueńskich zwiadowcach – powiedział.

Wcześniej tego dnia Will ostrzegł Maddie przed sztuczką Lassigny’ego polegającą na nagłej zmianie tematu podczas rozmowy albo – żeby użyć bardziej odpowiedniego określenia – przesłuchania.

Maddie odpowiedziała spokojnie, nie wydawała się w ogóle poruszona tym pytaniem.

– Nie mam wiele do opowiedzenia – przyznała. – Są leśniczymi zatrudnionymi przez króla. Patrolują lasy i chronią królewskie jelenie przed kłusownikami.

To była standardowa odpowiedź członków Korpusu Zwiadowców na pytania osób z zewnątrz, a Maddie przyswoiła ją sobie niedługo po tym, jak została uczennicą. Dzięki temu Korpus wydawał się stosunkowo niegroźny i mało istotny, i nic nie naruszało otaczającej go tajemnicy.

Jednak Lassigny nie był taką odpowiedzią usatysfakcjonowany.

– Słyszałem, że to wojownicy – powiedział wprost.

Will postanowił wtrącić się do rozmowy.

– Wojownicy? Na pewno nie, milordzie. To zwykli ludzie lasu. Są oczywiście uzbrojeni w długie łuki, ale służą im one raczej do polowań niż do prawdziwej walki.

Ciemne oczy przesunęły się znowu na Willa.

– Słyszałem, że jesteś jednym z nich – powiedział baron wyzywająco.

Will tylko się roześmiał, słysząc taką sugestię.

– Ależ skąd, milordzie. Ja za bardzo cenię wygodę życia, żeby włóczyć się po lasach i liczyć jelenie. Wolę je oglądać na stole, upieczone i przyprawione.

– Jednak mimo to nosisz długi łuk. – Lassigny nie wydawał się przekonany.

– To częsta broń w Araluenie, milordzie – wyjaśnił Will. – Szczególnie dla kogoś takiego jak ja, kto nie ma talentu do miecza.

– Czyli masz talent do łuku? – podsunął Lassigny.

Will udał, że zastanawia się chwilę nad tym pytaniem, zanim odpowiedział.

– Jakoś sobie z nim radzę – stwierdził.

Ostatecznie baron nie mógł tego w żaden sposób sprawdzić. Gdyby nawet poprosił o demonstrację, Will z łatwością ukryłby swoje prawdziwe umiejętności.

– Jak rozumiem, twój prawdziwy talent leży w szpiegostwie i zbieraniu informacji. – Lassigny po raz kolejny przeskoczył na nowy temat.

Will wykonał nieokreślony gest dłońmi.

– Jak widać, nie jestem aż tak utalentowany, milordzie. Nie potrzebowaliście wiele czasu, żeby odkryć naszą obecność.

Baron uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru.

– Ach, ale to nie ma związku z twoimi umiejętnościami. Wiedzieliśmy o tobie, zanim tu przyjechałeś.

Will i Maddie wymienili zaskoczone spojrzenia. Maddie przechyliła głowę, zachęcając Willa, żeby dowiedział się więcej. Teraz, pomimo wcześniejszej reakcji lady Lassigny na słowa Armanda, już się zorientowała, jaką pogardę baron i jego podwładny żywią wobec kobiecego punktu widzenia.

– Wiedzieliście o nas, milordzie? – zapytał Will.

Lassigny machnął lekceważąco ręką.

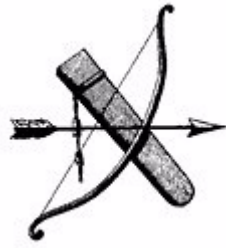
– Nie znaleźliśmy oczywiście waszej tożsamości, ale wiedzieliśmy, że przyjadą tutaj szpiedzy z Araluenu. Jak rozumiesz, zostaliście zdradzeni – dodał z pełnym wyższości uśmiechem. – W tym kraju to jest na porządku dziennym.

Will zmrużył oczy.

– Czy mógłbym się dowiedzieć, kto nas zdradził, milordzie? – zapytał z nieukrywaną wściekłością w głosie.

Lassigny pobłażliwie pokręcił głową.

– Zastanów się nad tym, rybałcie – powiedział. – Co najmniej tuzin ludzi towarzyszył Philippe’owi w jego „potajemnej” podróży do Araluenu. – Umilkł, podczas gdy Maddie i Will znowu wymienili zdumione spojrzenia. – O tak, wiedziałem o tym od początku. Tak jak mówiłem, w Gallii niezwykle trudno jest utrzymać coś w tajemnicy. To mógł być każdy z nich. – Baron umilkł, ponieważ seneszał odkaszlnął dyskretnie, żeby zwrócić jego uwagę. – Dość już jednak rozmów o szpiegach i zdrajcach, nawet jeśli to pasjonujący temat – oznajmił. – Gaston chce nam powiedzieć, że deser jest już gotowy. Wrócimy do tej dyskusji innym razem.





9

Kto może być zdrajcą? – zapytała Maddie, kiedy tylko Ramon zostawił ich samych w komnacie w wieży.

Will pokręcił głową.

– Tak jak powiedział Lassigny, to mógł być każdy z tych, którzy przyjechali z Philippe’em do Araluenu. Oni są najbardziej podejrzani.

– Z wyjątkiem Louisa – powiedziała Maddie. – Ostatecznie jest z rodziny. Trudno uwierzyć, żeby miał zdradzić rodzonego brata.

– Być może, ale w tym momencie nie skreślałbym nikogo. Gallowie to dziwni ludzie.

Maddie zastanowiła się, marszcząc czoło ze skupieniem.

– To może też nie być nikt z tamtej grupy, ale ktoś z Chateau La Lumiere, kto się o nas dowiedział. Baron mógł zasugerować, że chodzi o jednego z ludzi towarzyszących Philippe’owi, żeby nas zmylić.

Siedzieli w milczeniu przez jakąś minutę, zastanawiając się nad wydarzeniami tego wieczoru. W końcu Maddie znowu się odezwała:

– Nie rozumiem tylko, dlaczego on w ogóle nam o tym powiedział. Po co miałyby nas informować, że zostaliśmy zdradzeni?

– To część jego planu – wyjaśnił Will. – Chce powoli przeciągnąć nas na swoją stronę. Chce, żebyśmy się poczuli pewnie i swobodnie jak jego bliscy współpracownicy. Dzielenie się takimi informacjami ma mu pomóc w osiągnięciu celu.

– Chyba rozumiem. Wiem już też, co miałaś na myśli, kiedy uprzedzałaś, że on skacze po tematach, żeby zbić nas z tropu – stwierdziła Maddie.

Will uśmiechnął się do niej.

– Dobrze sobie poradziłaś – przyznał. – Ale być może nadszedł czas, żeby odpłacić mu pięknym za nadobne. Teraz my spróbujemy trochę zbić go z tropu.

– Jak mielibyśmy to zrobić? – zapytała Maddie.

– Udzielimy mu informacji, których z całą pewnością zupełnie się nie spodziewa...

– Na jaki temat? – zainteresowała się Maddie.

Will uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Chce dowiedzieć się czegoś o zwiadowcach. Może powiemy mu więcej, niż spodziewałby się od nas usłyszeć. To z pewnością ma szansę wytrącić go z równowagi. Poza tym chciałbym zasiać w jego umyśle ziarno wątpliwości, na wypadek gdyby Anthony miał rację.

– W jakiej sprawie? – Maddie zmarszczyła brwi.

– W sprawie możliwego najazdu na Araluen, jeśli Lassigny zdoła zająć miejsce Philippe'a. Chcę, żeby doszedł do wniosku, że to może nie być takie łatwe, jak mu się wydawało.



Żebrak w płaszczu w biało-niebieskie pasy siedział pod ścianą donżonu obok schodów prowadzących do głównego wejścia. Skulił się, przyłgnąwszy do nierównych kamieni, i owinał ciasno podartym okryciem, żeby ochronić się przed chłodnym nocnym powietrzem. Obok niego, oparty o mur, stał długi kostur, którym zazwyczaj się podpierał.

Dwuosobowy patrol zauważył śpiącego staruszka. Znali go już bardzo dobrze, ponieważ często widywali go na dziedzińcu. Starszy z żołnierzy, mężczyzna w średnim wieku, pozwoliliby dziadkowi spać spokojnie, chociaż, zgodnie z zasadami, wszyscy, którzy w ciągu dnia odwiedzali zamek, musieli go opuścić przed zachodem słońca i zamknięciem głównej bramy. Jednak jego młodszy towarzysz wołał bardziej sztywno trzymać się reguł. Nie był też pewny, czy starszy kolega nie sprawdza go w ten sposób i nie ignoruje starego żebraka

po to, żeby się przekonać, czy mniej doświadczony strażnik zrobi to samo. Pomyłka oznaczałaby wysłuchanie długiego kazania o tym, dlaczego należy zachowywać czujność. Dlatego młodszy żołnierz zbliżył się do śpiącego mężczyzny i szturchnął go drzewcem halabardy.

– Hej, ty! Obudź się!

Stary żebrak poruszył się, gwałtownie obudzony. Spojrzył w górę mętnymi oczami, jakby niepewny, gdzie się znajduje.

– He? Co jess? Osochozi? – wymamrotał.

– Zostaw go w spokoju, jest nieszkodliwy – powiedział strażnik w średnim wieku.

Jednak młodszy znowu szturchnął staruszka.

– Zasady to zasady – oznajmił stanowczo swojemu towarzyszowi. Zwrócił się do żebraka: – Ty tam! Wstawaj! Nie możesz się tutaj wysypiać! Ruszaj stąd!

Siwy mężczyzna, mamrocząc pod nosem, podniósł się i zakołysał niepewnie.

– Nic złego nie robię – zaprotestował. – Dlaczego nie pozwolicie mi spać?

– Nie możesz tutaj zostać – powiedział młodszy strażnik i popchnął go drzewcem halabardy w kierunku bramy. – No dalej, wracaj do wsi. Wypuścimy cię przez furtkę.

Nadal zaspany żebrak pozwolił się poprowadzić w kierunku wartowni. Chwiał się na nogach i ciężko wspierał na swoim kosturze, człapiąc między dwoma żołnierzami. Narzekał i przeklinał pod nosem, aż oburzony strażnik szturchnął go mocniej halabardą. Starszy zbrojny uśmiechnął się do siebie, kiedy w mamrotaniu staruszka usłyszał „zarozumiały mały goguś”, i pomyślał, że to całkiem trafne określenie jego kolegi.

Odprawdzili żebraka do wartowni, gdzie wyszedł im naprzeciw jeden ze strażników pilnujących bramy.

– Przecież to stary Tomkin! – zawołał pogodnie. – Co ty jeszcze robisz w zamku?

Starzec wymamrotał coś niezrozumiałego. Wartownik wyłapał coś jakby „próbowałem się spokojnie przespać”.

– Wiesz przecież, że nie możesz nocować w zamku – oświadczył. – Powinieneś już od kilku godzin być z powrotem we wsi.

Wziął starego Tomkina za ramię i powiódł go do furtki. Spodziewał się, że ręka żebraka będzie cienka i wiotka, ale poczuł, że dotyka mocnych, twardych mięśni. Popatrzył na staruszkę ze zdumieniem.

– Nie jesteś taki zniedołężniały, na jakiego wyglądasz, przyjacielu – powiedział.

Tomkin strząsnął jego dłoń i dał się wyprowadzić przez niedużą furtkę osadzoną w wielkim skrzydle, pozwalającą wchodzić do zamku i wychodzić z niego, kiedy brama była zamknięta. Pochylił się, żeby przez nią przejść, chociaż nie był specjalnie wysoki, a potem poczłapał w kierunku wsi. Za sobą usłyszał szcęk zamykanej i ryglowanej furtki. Opierając się na kosturze dla równowagi, przeszedł wąską groblą i skierował się do położonej kilkaset metrów dalej wsi. Jego kostur postukiwał na ubitej ziemi na drodze, gdy zbliżał się do zabudowań. Trzech strażników obserwowało go przez nieduże okienko zaopatrzone w żelazną kratę.

– Ciekawe, gdzie on sypia – odezwał się starszy żołnierz z patrolu.

Jego młodszy towarzysz wzruszył ramionami, ale strażnik bramy zaspokoił ciekawość kolegi:

– Ludzie prawdopodobnie pozwalają mu nocować w stodołach i stajniach – zauważył. – Jest kompletnie nieszkodliwy.

– Mogliśmy pozwolić mu spać na dziedzińcu – rzucił żołnierz z patrolu.

Młodszy zbrojny zeszywniał, słysząc nutę krytyki.

– Zasady to zasady – oznajmił.

Pozostali dwaj wymienili spojrzenia. Strażnik bramy uniósł brew.

Młody żołnierz zauważył to i lekko poczerwieniał.

– Zasady to zasady – powtórzył bardziej stanowczo.

Jego towarzysz wskazał kciukiem dziedziniec.

– Czas ruszać dalej – powiedział.



Tomkin człapał drogą. U stóp wzgórza, gdzie po obu stronach traktu pojawiły się pierwsze domy i sklepy, zatrzymał się i obejrzał na zamek. Nic nie wskazywało na to, że ktoś jeszcze go obserwuje, więc odwrócił się i ruszył główną ulicą, przy której budynki stały gęściej i w większej liczbie.

O tak późnej porze nikogo tutaj nie było. Mieszkańcy wsi wrócili już do domów i siedzieli przy kominkach lub poszli spać. Kiedy staruszek szedł przed siebie, zaczęła w nim zachodzić dziwna przemiana. Wyprostował się, przestał się garbić, a jego niepewne człapanie zmieniło się w sprężyste, długie kroki. Kostur poruszał się po szerszym łuku, uderzając w ziemię ostrym rytmem, ponieważ mężczyzna szedł teraz szybciej. W połowie głównej ulicy skręcił w prawo, w wąską uliczkę prowadzącą na obrzeża miejscowości. Domy były tutaj mniejsze i gęściej stłoczone. Oddzielały je zaułki tak wąskie, że nawet jednej osobie trudno było się przecisnąć. Na tyłach zabudowań znajdowały się ogrody, w których mieszkańcy uprawiali warzywa i hodowali kury.

Żebrak minął z pół tuzina takich pomniejszych chałup, zanim zatrzymał się przed jedną z nich. Rozejrzał się w obie strony, żeby sprawdzić, czy na ulicy na pewno nikogo nie ma, a potem pochylił się, żeby zanurkować pod nisko wiszącą strzechę, i pociągnął sznurek przymocowany do zapadki po wewnętrznej stronie wejścia.

Usłyszał chrobot drewnianego skobla podnoszącego się w górę, więc popchnął drzwi i zamknął je szybko za sobą, kiedy tylko znalazł się w środku.

Dom składał się z jednej izby z kominkiem zajmującym jedną ze ścian i dwoma wąskimi łózkami po drugiej stronie. Na środku stał prosty stół i trzy byle jak zbite stołki. Podłogę zastępowało klepisko przykryte warstwą sitowia. Drugie drzwi prowadziły do małego ogródka na tyłach, z którego było także wejście do stajni stanowiącej przybudówkę do domu. Kiedy Tomkin podszedł do ognia, żeby się ogrzać, tylne drzwi otworzyły się i do środka wszedł wysoki, barczysty mężczyzna. Zanim jeszcze wejście się zamknęło, Tomkin usłyszał ze stajni powitalne rżenie i stukot kopyt konia przestępującego z nogi na nogę.

– Udało się? – zapytał rosły przybysz, lecz Tomkin pokręcił głową.

– Strażnicy nie dopuszczają nikogo w ich pobliże – powiedział. – Nie miałem szans się z nimi skontaktować, ale przynajmniej dowiedziałem się, gdzie są przetrzymywani.

Wysoki mężczyzna podszedł do kominka i zdjął poczerńiały dzbanek z uchwytu, który przytrzymał go nad płomieniami. Nalał

kawy i podał kubek Tomkinowi, który skwapliwie przyjął napój i wypił długi łyk.

– Gdzie oni są? – zapytał jego towarzysz.

– W komnacie na szczycie północno-zachodniej wieży, z oknami wychodzącymi na dziedziniec. Dzisiaj mieli zostać zaprowadzeni do Lassigny’ego, więc udawałem, że nie zauważyłem zamknięcia bramy. Zaczekałem, aż strażnicy odprowadzą ich na wieżę, i zobaczyłem światło zapalające się w najwyższej komnacie. Potem dostrzegłem też Maddie wyglądającą przez okno.

– Zastanawiałem się, gdzie się podziałeś – przyznał wysoki mężczyzna.

Tomkin postawił kawę na stole.

– Przez kilka dni nie mogę robić niczego podejrzanego – stwierdził, siadając na jednym ze stołków. – Dwóch strażników przyłapało mnie na dziedzińcu po zamknięciu bramy. Udawałem, że śpię, a oni wypędzili mnie poza mury warowni. Młodszy z nich to podejrzliwy typ, więc zrobię najrozsądniej, nie zbliżając się do zamku, dopóki sprawy się nie uspokoją. Nie chciałbym, żeby zaczęli na mnie zwracać zbyt dużą uwagę.

Jego towarzysz skinął głową.

– Trudno cię nie zauważyć z tą wielką siwą strzechą.

Tomkin przeczesał wolną ręką długie, poplątane kołtuny.

– Nie mogę się doczekać, aż to wszystko się skończy. Ta szopa włosów doprowadza mnie do furii. Kiedy tylko się stąd wydostaniemy, zamierzam je obciąć.

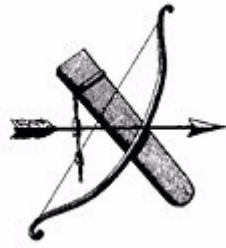
Wysoki mężczyzna się uśmiechnął.

– Domyślam się, że jak zwykle użyjesz do tego swojej saksy?

– Użyję czegokolwiek, co będę miał pod ręką – oznajmił żałośnie żebrak, drapiąc się po włosach.

Uśmiech wysokiego mężczyzny stał się jeszcze szerszy.

– Cóż, miło będzie zobaczyć cię w twojej własnej postaci, Halcie.





10

Trzy tygodnie wcześniej

Halt był emerytowanym zwiadowcą, a także członkiem wewnętrznego kręgu królewskich doradców, co sprawiało, że często odwiedzał zamek Araluen. Dlatego też na jednym z wyższych pięter donżonu znajdowała się zawsze przygotowana dla niego komnata.

Przyjechał do zamku późnym wieczorem poprzedniego dnia, wezwany przez Gilana. Zameldował się u dowódcy Korpusu Zwiadowców, a potem poszedł do swojej komnaty i zasnął kamiennym snem. Wstał wcześniej, jak to miał w zwyczaju, i w głównej jadalni donżonu zjadł śniadanie – chrupiący bekon na pieczonych podpłomykach podany z kubkiem wyśmienitej kawy. Zwinął serwetkę, położył ją na zasypanym okruchami talerzu, a potem wypił ostatni łyk napoju, mlaskając z rozkoszą.

Halt miał właśnie wstać od stołu, kiedy do sali wszedł Horace i rozejrzał się, szukając go wzrokiem. Wysoki rycerz podszedł do długiego blatu opartego na krzyżakach, przy którym siedział Halt, i uścisnął na powitanie jego prawicę.

– Halt! Dobrze cię widzieć. Powiedziano mi, że przyjechałeś wczoraj wieczorem.

Zwiadowca skinął głową.

– Była już prawie północ, więc nie chciałem ci zawracać głowy. Zameldowałem się u Gilana, a potem poszedłem spać. Gilan

przekazał, że król chce z nami rozmawiać. O co chodzi?

Horace wzruszył ramionami.

– Jeszcze mi nie powiedział, ale przypuszczam, że ma to coś wspólnego z misją Willa i Maddie w Gallii.

– Czy oni już wyjechali? – zapytał Halt. – Słyszałem, że Maddie potrzebowała dodatkowego treningu do tego zadania.

– Owszem, uczyła się od naszych żonglerów, ale już zakończyła przygotowania i w zeszłym tygodniu wyjechali. Król martwi się o nich.

– Cóż, porozmawiajmy z nim, może dowiemy się, czego od nas chce – stwierdził Halt.

Wyszli szybkim krokiem z jadalni i skierowali się do schodów prowadzących na pierwsze piętro, gdzie mieścił się gabinet Duncana.

Podwójnych drzwi do komnaty królewskiej pilnowała para strażników. Rozpoznali oni od razu zwiadowcę oraz dowódcę armii aralueńskiej – obaj mężczyźni byli doskonale znani w zamku. Mimo to jeden z wartowników uniósł dłoń, aby ich zatrzymać.

– Proszę o chwilę cierpliwości – powiedział przepaszającym tonem.

Horace spokojnie skinął głową, ponieważ nie czuł się urażony takim zachowaniem. Zadaniem strażników było zatrzymywanie wszystkich gości i zapowiadać ich przybycie królowi, niezależnie od tego, jak ważne mogły to być osoby.

– Zapowiedz nas, proszę, Bedfordzie – odezwał się.

Halt uśmiechnął się, gdy zobaczył na twarzy zbrojnego lekkie zaskoczenie tym, że dowódca armii zna jego imię. Zwiadowca był gotów się założyć, że Horace zna wszystkich swoich podwładnych z widzenia, a wielu także z imienia. Na tym między innymi polegało bycie dobrym przywódcą, a Horace zaliczał się do najlepszych.

Bedford odwrócił się, zastukał w drzwi i zczekał, aż z wnętrza rozległ się stłumiony głos. Nacisnął klamkę lewego skrzydła drzwi i uchylił je na jakiś metr, żeby zajrzeć do środka i odezwać się do króla.

– Przyszli sir Horace i zwiadowca Halt, Wasza Wysokość – zameldował.

– Powiedz im, żeby weszli – odpowiedział Duncan.

Bedford szerzej otworzył skrzydło, odsuwając się na bok, żeby przepuścić Halta i Horace'a, którzy wyminęli go i weszli do komnaty. Kiedy znaleźli się w gabinecie, zamknął za nimi drzwi.

Duncan podniósł się z fotela za wielkim biurkiem, żeby ich przywitać. Halt zauważył, że król skrzywił się lekko, gdy wsparł ciężar ciała na chorej nodze – ta często sztywniała, jeśli siedział zbyt długo w jednej pozycji. Jednak grymas bólu szybko został zastąpiony przez ciepły, powitalny uśmiech.

– Witaj z powrotem, Halcie – powiedział. – Cieszę się, że przyjechałeś tak szybko.

Surową zazwyczaj twarz Halta również rozjaśnił lekki uśmiech. Niewielu władców podziękowałoby poddanemu za to, że przybył błyskawicznie na ich wezwanie. Jednak Duncan był właśnie takim królem, a jego wdzięczność nie była udawana.

– Gilan zasugerował, że sprawa może być pilna, sir – oznajmił.

Duncan machnięciem ręki wskazał im krzesła i z powrotem usiadł w swoim fotelu. Jęknął cicho, gdy udało mu się odciążyć nogę.

– Tak – potwierdził. – Mamy niewiele czasu. Chciałbym, żebyście pojechali do Gallii jako moi wysłannicy.

Halt i Horace wymienili spojrzenia. Po wcześniejszych przypuszczeniach Horace'a ten rozkaz nie stanowił dla nich zaskoczenia, ale mimo wszystko był nietypowy.

– Z Willem i Maddie, sir? – zapytał Halt.

Duncan pokręcił głową.

– Nie. Oni wyjechali kilka dni temu i teraz są już w drodze do Chateau La Lumiere. Chciałbym, żebyście pojechali prosto do Chateau des Falaises.

Halt otworzył usta, żeby zadać pytanie, ale Duncan je uprzedził:

– To zamek barona Lassigny'ego – wyjaśnił. – Will i Maddie pojedą tam po spotkaniu z królem Philippe'em, od którego mają dostać ostateczne instrukcje. Chciałbym, żebyście dotarli na miejsce przed nimi.

– Zakładam, że tam właśnie Lassigny przetrzymuje królewskiego syna jako zakładnika? – zapytał Halt.

Duncan skinął głową, bawiąc się wąskim sztyletem, który miał na biurku jako nóż do papieru.

– Tak przypuszczamy – odparł. – To by był najbardziej oczywisty wybór. Zgodnie z informacjami Anthony’ego jest to wyjątkowo potężna twierdza.

Lord Anthony był królewskim szambelanem oraz zwierzchnikiem tajnej sieci agentów i szpiegów.

– Jak rozumiem, mamy we dwóch oblegać i zdobyć ten zamek – stwierdził Halt ze złośliwym uśmiechem.

Duncan pokręcił głową.

– Nie, chciałbym, żebyście zachowywali się bardzo spokojowo i dyskretnie – odpowiedział. – Chodzi mi tylko o to, byście byli pod ręką, na wypadek gdyby Will i Maddie wpakowali się w jakieś kłopoty.

– Bardzo chętnie się tego podejmę – powiedział Horace. – Ostatecznie chodzi o moją córkę. Ale to trochę niezwykle zadanie, prawda? Will wie, co robi, a Maddie także jest niezwykle skuteczna, czego dowiodła podczas rebelii Czerwonych Lisów.

Horace wiedział, że dla zwiadowców wysyłanie na podobną misję dodatkowych osób nie było zwykłą praktyką. Stare powiedzenie mówiło przecież „jeden problem, jeden zwiadowca”. Do tego zadania przydzielono zaś już dwoje zwiadowców.

Duncan skinął głową, zanim jeszcze Horace dokończył swoje pytanie.

– W zwykłych okolicznościach zgodziłbym się z tobą – przyznał. – Doskonale rozumiem, że troszczysz się o swoją córkę. Maddie jest także moją wnuczką i drugą osobą w kolejce do tronu. Ale nie tylko o to chodzi.

Umilkł na chwilę, więc Horace i Halt czekali, aż rozwinie myśl. W końcu zrobił to z wyraźnie widoczną niechęcią.

– Nie do końca ufam Philippe’owi – wydusił z siebie po kilkunastu sekundach.

Halt słyszał w głosie Duncana niesmak, jaki musiał on odczuwać, mówiąc w ten sposób o innym władcy. Sam Duncan był człowiekiem honorowym i uważał, że król powinien być kimś, na kim można w każdych okolicznościach polegać i kto jest ponad wszelkie oszustwa i intrygi. Niestety trzeba było przyznać, że Philippe nie podzielał jego ideałów.

– Nie dziwię się temu, sir – powiedział cicho Halt.

Duncan westchnął i uniósł brwi.

– To tylko przeczucie, jakie mam w związku z nim. Jego własny dwór to siedlisko intryg i spisków. Zresztą dwór galijski zawsze tak wyglądał. Wydaje mi się, że Philippe bez oporów wykorzysta Maddie i Willa do własnych celów, a jeśli sprawy potoczą się niepomyślnie, pozostawi ich własnemu losowi.

– Nie nazwałbym go najbardziej godnym zaufania człowiekiem, jakiego spotkałem – wtrącił Horace. – Poza tym zgodnie z relacją Anthony’ego odnosił się raczej nieuprzejmie do Waszej Wysokości.

Duncan wzruszył ramionami.

– Możliwe. Nie przeszkadzało mi to szczególnie, aczkolwiek takie zachowanie wydaje się dziwne jak na kogoś, kto przybył prosić o pomoc. Jak sądzę, byłem na siebie zły o to, że czułem się w obowiązku udzielić mu tej pomocy. Z kolei on postanowił wykorzystać fakt, że królowie powinni się wspierać.

– Chociaż, jak zauważył słusznie Anthony, może leżeć w naszym interesie, żeby Philippe jednak utrzymał się na tronie – odparł Horace.

Halt spojrział na niego, wyraźnie zaskoczony tym stwierdzeniem.

– A to dlaczego?

– Lepszy diabeł znany od nieznanego – wyjaśnił Horace. – Poza tym on nie ma dostatecznego poparcia arystokratów, żeby stanowić poważniejsze zagrożenie dla Araluenu.

– W odróżnieniu od Lassigny’ego, gdyby ten zdołał przejąć koronę? – zapytał Halt, a Duncan i Horace przytaknęli.

– Właśnie tak – przyznał król. – To kolejny powód, dla którego niechętnie udzieliłem mu pomocy. Wydawało mi się nie w porządku wykorzystywać naszych ludzi, aby słaby władca mógł się utrzymać na tronie. Ale on postawił mnie w sytuacji bez wyboru. – Duncan pokręcił gniewnie głową. – Nie cierpię polityki! – dodał.

– Co w takim razie dokładnie mielibyśmy zrobić, sir? – zapytał Halt.

Król znowu pokręcił głową, wyraźnie sfrustrowany.

– Dokładnie? Nie jestem pewien. Chcę, żebyście byli pod ręką, na wypadek gdyby Will i Maddie potrzebowali jakiegoś wsparcia. Na przykład wtedy, gdy w grę wchodziłoby coś, czego nie wzięliśmy pod uwagę. Jeśli wyjedziecie w najbliższych dniach i pojedziecie prosto

do Chateau des Falaises, powinniście tam dotrzeć przed Willem i Maddie. Miejcie na nich oko i upewnijcie się, że nie pojawiły się jakieś nieprzewidziane problemy. Chcę wiedzieć, że w razie potrzeby będą mieli w pobliżu kogoś, kto będzie w stanie im pomóc.

– Czy mamy zatrzymać się w samym zamku, sir? – zapytał Horace. Duncan zastanowił się nad tym, ale zaprzeczył.

– Raczej nie. Zbyt wielu cudzoziemskich gości w krótkim czasie mogłoby wzbudzić podejrzenia. W pobliżu zamku znajduje się wieś Falaise, może uda wam się tam znaleźć jakiś nocleg. Wynajmijcie dom na kilka tygodni. Możecie udawać podróżującego rycerza i jego służącego.

– Którym z nich mam być? – zapytał z uśmiechem Horace.

Halt rzucił mu ironiczne spojrzenie, a Duncan nie zaszczycił go odpowiedzią.

– Czy powinniśmy ukryć to, że jesteśmy Araluńczykami, sir? – zapytał Halt.

– Myślę, że to będzie rozsądne. Halcie, ty możesz udawać Hibernijczyka...

– Ja naprawdę jestem Hibernijczykiem, sir – przypomniał Halt, a król uśmiechnął się po raz pierwszy od początku rozmowy.

Teraz, kiedy opowiedział o swoich obawach i zaczął wprowadzać w życie plan awaryjny, czuł się mniej przygnębiony.

– A ty, Horace, mógłbyś udawać wędrownego rycerza z Teutonii. Potrafisz mówić po teutońsku?

– *Nein, Herr* Królu. Ale meine teutonisz akcent ist zehr gut – odparł Horace, stając na baczność i stukając obcasami.

Halt i Duncan przyglądali mu się w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– Co to miało być? – zapytał Halt, unosząc jedną brew.

Horace, niezawstydzony, uśmiechnął się do niego.

– To meine zehr gut teutonisz akcent.

– Może ty powinienes mówić za was obu, Halcie – zaproponował Duncan.

Horace przestał udawać i zapytał normalnym tonem:

– Jeszcze jedna rzecz, sir. Czy powinniśmy dać znać Maddie i Willowi, że ich obserwujemy?

Duncan znowu musiał się zastanowić chwilę nad odpowiedzią.

– Tylko jeśli to będzie konieczne. Jeśli nie, nie nawiązujcie z nimi żadnego kontaktu. Ktoś może to zauważyć i uznać za podejrzanę.

– Czyli obserwować, nie dać się zauważyć i być w gotowości, gdyby pojawiły się kłopoty – podsumował te instrukcje Halt.

– Właśnie tak – potwierdził Duncan. – Muszę powiedzieć, że czuję się teraz o wiele lepiej, wiedząc o tym, że wy dwaj będziecie w razie czego pod ręką. – Starał się nie zwracać uwagi na złe strony tej sytuacji: czworo jego najlepszych ludzi musiało się zaangażować w operację wzbudzającą bardzo poważne wątpliwości. – Kiedy możecie wyruszyć?

Horace i Halt wymienili spojrzenia.

– Myślę, że im prędzej, tym lepiej. Jeśli znajdziemy się na miejscu przed przyjazdem Willa i Maddie, będziemy mogli łatwiej się wtopić w tło, co ograniczy ryzyko, że przyciągniemy czyjąś uwagę.

Halt skinął głową, zgadzając się z Horace’em.

– Czyli jutro o świcie?

– Jutro o świcie – potwierdził Horace. Uśmiechnął się do niższego przyjaciela. – We dwóch w Gallii. Będzie jak za dawnych czasów, Halcie.

Halt znowu uniósł brew.

– Mam naprawdę głęboką nadzieję, że jednak nie – odpowiedział.





11

Halt i Horace nie tracili czasu. Wyruszyli następnego dnia o świcie i pojechali równym galopem na wschód. Kiedy dotarli na wybrzeże, w niewielkim portowym miasteczku Tilmouth znaleźli „Wilczy Ogon” – skandyjski okręt pełniący w tym roku służbę – przycumowany przy kei.

– Doskonale – stwierdził Horace. – Miałem nadzieję, że zastaniemy ich w porcie, a nie na patrolu. Ich okręt będzie znacznie szybszy niż dowolny statek handlowy, który moglibyśmy wynająć.

Przejechali kamienną keją do zacumowanej jednostki. Kiedy się zbliżyli, na nadburciu pojawił się potężnie zbudowany mężczyzna, który przytrzymał się sztagu dla równowagi i przyjrzał się im uważnie.

– Witaj, Jens! – zawołał Horace, kiedy znaleźli się w odległości umożliwiającej swobodną rozmowę.

W ramach swoich obowiązków dowódcy armii spotkał się kilka razy ze skirlem, jak Skandianie nazywali kapitanów swoich okrętów.

Skandianin pomachał do nich radośnie.

– Dzień dobry, sir Horace – odpowiedział.

Podobnie jak większość skirlów miał donośny głos, który dało się usłyszeć nawet poprzez szum fal i wycie wiatru podczas sztormu na morzu.

– Cieszę się, że zastaliśmy was w porcie. Musimy jak najszybciej dostać się do Gallii! – zawołał Horace, ściągając wodze swojego konia bojowego, Stampera.

Skandia co roku przysyłała jeden ze swoich okrętów, który patrolował wody przybrzeżne w poszukiwaniu piratów i łowców niewolników, ale także był do dyspozycji króla i jego najważniejszych dowódców, gdyby potrzebowali środka transportu.

Jens machnięciem ręki wskazał statek.

– No to zeskakujcie z tych chabet i wchodźcie na pokład. Przyłynęliśmy tutaj dwa dni temu, żeby uzupełnić zapasy żywności i wody. Jutro mieliśmy wypłynąć na kolejny patrol, więc macie szczęście, że nas zastaliście. Zakładam, że się spieszycie? – Wiedział z doświadczenia, że królewscy wysłannicy zawsze się spieszą.

Horace skinął głową.

– Chciałbym wyruszyć tak szybko, jak to będzie możliwe.

Dwaj jeźdźcy zeskoczyli z koni, a Jens zawołał członków swojej załogi i polecił im wprowadzić zwierzęta na pokład. Ucisnął dłoń Horace'a i z ciekawością przyjrzał się jego towarzyszowi. Halt nie miał na sobie zwykłego stroju zwiadowców. Ubrał się w szarobrązowe wełniane spodnie oraz sięgającą mu do połowy uda kurtkę ściągniętą grubym pasem, do którego miał przypiętą podwójną pochwę na noże. Potężny długi łuk trzymał podczas jazdy konnej oparty na udzie, a teraz przewiesił go przez lewe ramię.

Horace zauważył spojrzenie skirla, więc przedstawił swojego towarzysza.

– Jensie Faloskoczku, to mój przyjaciel Halt – powiedział.

Na dźwięk tego imienia Jens spojrział na nich z jeszcze większym zainteresowaniem.

– Halt? – zapytał. – Czy to ty jesteś tym zwiadowcą, który...

– Zwymiotował do hełmu waszego oberjarla? – uzupełnił szybko Halt. – To właśnie ja.

W rzeczywistości Halt był osobą niezwykle poważaną w Skandii. Wiele lat temu zorganizował i poprowadził obronę przeciwko nacierającej armii Temudżeinów – zatrzymał ich na obrzeżach stolicy, Hallasholm, i zmusił do wycofania się na ich własne ziemie. Owszem, zwymiotował jednak do hełmu oberjarla Eraka w przypływie choroby morskiej, na którą był niestety podatny. Ta historia także była doskonale znana wśród Skandian, więc Jens uśmiechnął się szeroko na jej wspomnienie.

– Ostrzegę przed tobą załogę – obiecał. – Niektórzy z młodszych chłopaków mogli jeszcze o tym nie słyszeć.

– Faloskoczek? – zapytał Halt. – To niezwykle przydomek. Jak go zdobyłeś?

Wiedział, że przydomki Skandian pochodzą często od ich wyjątkowych dokonań lub przyzwyczajęń. Taki przydomek jak Faloskoczek musiał się wiązać z ciekawą historią.

Jens wzruszył ramionami.

– Jako młody chłopak ścigałem się na falach przypiływu w jednoosobowym skifie – wyjaśnił.

Halt uniósł brwi.

– Umiesz pływać? – zapytał.

Wiedział, że większość żeglarzy tego nie potrafi.

Jens pogodnie pokręcił głową.

– Ani odrobinę – przyznał.

– W takim razie musiałeś być dobry w skakaniu po falach – zauważył Halt.

– Jakoś sobie radziłem. Ryzyko utonięcia dodaje smaczku takiemu sportowi. Trzeba szybko się stać w tym dobrym albo już nie będzie się miało szans zostać dobrym w niczym.

Horace pokręcił głową. Skandianie byli znani z lekceważącego podejścia do sytuacji zagrażających ich życiu. Popatrzył na statek, na którym kilku członków załogi mocowało dźwig do podstawy masztu, żeby przenieść konie na pokład. Inni zdejmowali deski zasłaniające płytką ładownię na środku pokładu. Tam właśnie miały podróżować wierzchowce, bezpiecznie przytrzymywane przez przeciągnięte pod ich brzuchami brezentowe pasy, które będą nieść ich ciężar i zabezpieczać przed przewróceniem, kiedy statek będzie się kołysał i przechylał.

– Zaczniście od Abelarda – powiedział Halt do żeglarzy, wskazując swojego kosmatego konika. – On już robił to wcześniej, a jeśli ten wielki i groźny koń bojowy zobaczy, że taki maluch nie wpada w panikę, to może także będzie spokojniejszy.

Kiedy zwierzęta zostały przeniesione na pokład – Stamper okazywał lekkie zdenerwowanie, miał stulone uszy i obnażone potężne zębiska – Jens wysłał chłopca okrętowego, żeby kupił w mieście kilka bel siana.

– Dobrze, żeby miały coś w brzuchach – uznał skirl, spoglądając przez szczelinę w falochronie na morze poprzecinane krótkimi, wysokimi falami.

Halt popatrzył w tę samą stronę i z rezygnacją wyjął wargi.

– Wolę o tym nie myśleć – oznajmił, zszedł ostrożnie na pokład wilczego okrętu i zachwiał się lekko, gdy deski pod jego stopami zakołysały się na niewielkich falach, które przedostały się przez falochron.

Horace i Jens wymienili uśmiechy ze zwykłą wyższością i z brakiem współczucia cechującymi tych, którzy nigdy nie cierpieli na chorobę morską.

– Myślę, że usiądę tam z tyłu – powiedział Halt.

– Na rufie – poprawił go Jens.

Halt popatrzył na skirla z niechęcią.

– Wszystko jedno.

Jens odwrócił się do Horace'a, który zeskoczył właśnie lekko na pokład.

– W jakie miejsce w Gallii się wybieracie?

Horace wskazał północny wschód.

– Zabierz nas gdzieś tutaj. Chciałbym zejść na ląd trochę powyżej Chateau La Lumiere.

Jens pokiwał głową z namysłem, przypominając sobie mapę galijskiego wybrzeża.

– Zależy wam na konkretnym porcie?

Horace potrząsnął głową.

– Nie zawijajmy do portu. Nie chcę, żeby ktoś nas zobaczył. Wysadźcie nas na jakiejś odludnej plaży. Możecie tak zrobić? – upewnił się.

Nie był żeglarzem, ale wiedział, że czasem zbliżanie się do nieznanego brzegu może być niebezpieczne. Niewykluczone, że we wskazanym przez niego rejonie nie było odpowiedniej plaży.

– Trzyligowa Plaża powinna się nadać – stwierdził Jens. – To otwarty kawałek wybrzeża ciągnący się na kilka kilometrów. Dobre, piaszczyste dno aż do samego brzegu.

– Trzyligowa Plaża? – powtórzył Horace. – Czy w takim razie nie powinna mieć około piętnastu kilometrów?

– Rysownicy map miewają skłonności do przesady – uśmiechnął się Jens. – Myślę, że dzięki temu czują się ważniejsi.

Rozejrzył się po pokładzie i zobaczył, że załoga przygotowała już wszystko do wyjścia w morze. Skinął przepaszająco głową Horace'owi, a potem skierował się na rufę, do wiosła sterowego. Po drodze uśmiechnął się do drugiego pasażera owiniętego peleryną i skulonego pod bakiem.

Kilka minut później byli już na morzu, a załoga wiosłowała miarowo, przecinając nadbiegające od dziobu fale. Kiedy „Wilczy Ogon” prześlizgnął się przez lukę w falochronie, żeglarze zaczęli wciągać na maszt wielki trójkątny żagiel od strony bakburty. Kiedy żagiel z głośnym łopotem wypełnił się wiatrem, statek szarpnął i zaczął nabierać prędkości. Jens ustawił kurs na północny wschód, przecinając fale pod kątem trzydziestu stopni wobec wiatru. Fontanny kropelek wody wznosiły się wysoko i spadały na pokład jak nagła ulewa.

Halt jęknął z rozpaczą, a Jens przywołał do siebie chłopca okrętowego mającego najwyżej piętnaście lat.

– Tak, skirlu? – zapytał chłopak, przebiegając zwinnie po pokładzie na rufę i z łatwością dostosowując się do kołysania okrętu.

– Nasz pasażer chciałby obejrzeć skandiański hełm, Petterze – powiedział Jens. – Może pokażesz mu swój?

Petter zaczął się odwracać, ale znieruchomiał, ponieważ przypomniał sobie rozmowę podsłuchaną wśród załogi, kiedy Halt wszedł na pokład.

– Słyszałem tę historię, skirlu – przyznał.

Jens uśmiechnął się do niego i obaj popatrzyli, jak Halt zrywa się na nogi, przechyla przez burzę i wydaje się nawoływać rozpaczliwie kogoś o imieniu Albert.

– W takim razie możesz mu przynieść wiadro – polecił skirl. – I powiedz, żeby w razie czego wychylał się od strony zawietrznej, a nie nawietrznej.

Podróż minęła szybko, więc Halt nie miał czasu przyzwycząić się do kołysania i podskoków statku. Siedział nieszczęśliwy na pokładzie koło burty i często korzystał z przytrzymywanego kolanami wiadra. Około południa następnego dnia bujanie okrętu stało się

łagodniejsze, ponieważ podeszli od zawietrznej do cypla wyznaczającego południowy kraniec Trzyligowej Plaży.

Jens rzucił Horace'owi pytające spojrzenie.

– Może być? – zapytał. – Jesteśmy jakieś dziesięć kilometrów na północ od La Lumiere.

Horace przyjrzał się kompletnie bezludnemu wybrzeżu.

– Moim zdaniem dobrze to wygląda. Dziękuję, że nas tu przywieźliście.

Załoga „Wilczego Ogona” opuściła żagle i powiosłowała do brzegu, aż dziób okrętu zatrzymał się na piasku plaży. Statek znieruchomiał i przechylił się lekko do przodu. Ponownie zamocowano dźwig i opuszczono konie w wodę sięgającą do kolan.

Horace wyciągnął z kieszeni kurtki mapę i rozłożył ją, żeby się z nią dobrze zapoznać. Dotknął palcem miejsca, w którym w przybliżeniu wylądowali, znalazł Chateau des Falaises i oszacował, że znajdują się o jakieś dwa dni jazdy.

– Dziękuję, Jensie – powiedział.

Zaczekali, aż Halt przeskoczy nad burtą statku i przejdzie po mokrym piasku do miejsca, w którym stali.

– Chcecie, żebyśmy was zabrali, kiedy już skończycie to, po co tu przyплыnęliście? – zapytał Jens.

Horace pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, ile czasu tu zmitręzimy – wyjaśnił. Uśmiechnął się do Halta, który właśnie do nich dołączył. – Już lepiej wyglądasz.

Halt prychnął.

– To oczywiste. Świat przestał się kołysać w górę i w dół, jakby nagle oszalał. – Popatrzył na Jensa. – Dziękuję za wiadro.

Skirl uśmiechnął się szeroko.

– Zachowam je jako pamiątkę po człowieku, który ocalił Skandię przed Temudżeinami – zapowiedział.

– Wsiadajmy na konie, Halcie. – Horace oparł stopę w strzemieniu Stampera i wskoczył z łatwością na jego grzbiet. – Musimy dotrzeć do Falaise i znaleźć jakieś miejsce, w którym będziemy mogli się zatrzymać.



Jechali miarowym galopem, dopóki nie zatrzymali się na noc w niewielkiej wiosce. Teraz, gdy znajdowali się już w Gallii, przyjęli nową tożsamość, tak jak ustalili wcześniej. Horace stał się teutońskim rycerzem jeżdżącym od turnieju do turnieju, Halt zaś jego służącym, który rozmawiał z karczmarzem we wsi, w której nocowali, podczas gdy wyniosły Horace nie zaszczycił ich niemal słowem. Włosom i brodzie Halta przydałoby się przystrzyżenie, ale zwiadowca pozwolił im rosnąć i utworzyć nieposłuszną, siwą strzechę.

Kiedy po półtora dnia jazdy w szybkim tempie dotarli do Falaise, Halt wynegocjował czynsz za wynajęcie niezamieszkanego domu znajdującego się w jednej z bocznych uliczek.

– Będzie najlepiej, jeśli postaramy się nie rzucać w oczy – stwierdził, a Horace się z nim zgodził. – Odczekam parę dni, a potem dostanę się do zamku i trochę się rozejrzę – zapowiedział zwiadowca. – Dzięki temu strażnicy zdążą do mnie przywyknąć.

– Teraz pozostaje nam tylko czekać, aż przyjadą tutaj Maddie i Will – podsumował Horace.



12

Will i Maddie zakładali, że baron da im kilka dni, zanim znowu zechce porozmawiać. Tymczasem wezwał ich późnym rankiem następnego dnia.

– To znowu te jego sztuczki – zauważyła Maddie, kiedy Will powiedział coś na ten temat. – Nie pozwala nam się przyzwyczaić, ponieważ liczy, że w ten sposób staniemy się mniej czujni.

– Stara się namieszać nam w głowach, to prawda – zgodził się Will. – Zobaczymy, czy nie zdołamy mu odpłacić pięknym za nadobne. Chciałbym zasiać w jego umyśle trochę wątpliwości na temat tego, co może go czekać, jeśli przypuści atak na Araluen.

– Myślisz, że bierze coś takiego pod uwagę? – zapytała Maddie.

Will skinął ponuro głową.

– Jestem o tym przekonany.

Jak zwykle to Ramon wraz z trzema uzbrojonymi towarzyszami eskortował ich na spotkanie. Tym razem zostali zaprowadzeni do gabinetu Lassigny’ego, znajdującego się tuż przy schodach na pierwszym piętrze donżonu. Ponownie zobaczyli tam Armanda, ale nie pojawiła się baronowa.

Lassigny machnięciem ręki wskazał im krzesła naprzeciwko jego fotela z wysokim oparciem, stojącego za biurkiem. Armand siedział kilka metrów dalej, z boku, obróciwszy swoje siedzenie tak, żeby móc ich obserwować. Ramon i jego towarzysze broni zajęli miejsca pod ścianą, z dala od biurka.

Baron zaszczyił dwoje więźniów kolejnym długim spojrzeniem. Bez mrugnięcia świdrował ich wzrokiem, a oni czekali, aż Lassigny się odezwie. Teraz już wiedzieli, że to kolejny z jego zwyczajów mających wytrącić ich z równowagi i sprawić, że poczują się niepewnie. Przeciągająca się cisza miała wywierać na nich nacisk i sprawiać, że mogliby przyznać się do czegoś pochopnie lub ujawnić coś, co powinni raczej ukrywać. Will postanowił jednak skończyć tę grę i przejąć inicjatywę w rozmowie.

– Obawiam się, że nie powiedziałem wcześniej całej prawdy, milordzie – oznajmił, przerywając panujące milczenie.

Obserwował uważnie Lassigny’ego i zauważył w jego ciemnych oczach ledwie dostrzegalny błysk zaskoczenia, jakby baron się tego nie spodziewał.

– Naprawdę? – Lassigny natychmiast zapanował nad sobą. – A o cóż takiego chodzi?

Will uśmiechnął się nieśmiało, udając, że bierze udział w przyjacielskiej rozmowie z kimś równym sobie.

– Zapytałeś nas o aralueńskich zwiadowców, milordzie, i obawiam się, że mogliśmy wprowadzić cię w błąd.

Lassigny rzucił spojrzenie Armandowi, a potem znowu skierował wzrok na Willa i Maddie.

– Pod jakim względem? – zapytał.

Zwracał się do Willa, ale to Maddie mu odpowiedziała, tak jak to zostało wcześniej umówione. Poprzedniego wieczoru Will i Maddie zaplanowali taktykę na następne spotkanie, kiedykolwiek miałyby ono wypaść.

„On lubi zbijać nas z tropu, zmieniając co chwilę temat – powiedział Will. – Dlatego my także będziemy się zmieniać, odpowiadając na przemian na jego pytania”.

To był zupełny drobiazg, ale pozwalał im zapanować nad przebiegiem i kierunkiem rozmowy.

– Tak jak podejrzewałeś, milordzie, zwiadowcy to o wiele więcej niż zwykli ludzie lasu – stwierdziła Maddie. – To doskonale wyszkoleni i utalentowani wojownicy.

Lassigny otworzył usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale Will nie dał mu na to czasu.

– Tworzą elitarny Korpus – dodał. – Podlegają bezpośrednio królowi i zbierają informacje o działaniach potencjalnych wrogów. W czasie wojny pełnią funkcję wojskowych zwiadowców, a nawet dowodzą w czasie walki niektórymi oddziałami Duncana.

– Są biegli w sztuce kamuflażu i podstępu – przejęła pałeczkę Maddie, a Lassigny szybko przeniósł na nią spojrzenie. – Są także wszyscy łucznikami wyborowymi, jak zapewne już się domyśliłeś, milordzie.

Lassigny uniósł brwi.

– Doprawdy? Z czego miałbym to wywnioskować?

Maddie wzruszyła ramionami i wskazała pokrowiec z ich bronią, nadal oparty o ścianę za biurkiem barona.

– Z widoku naszej broni – odpowiedziała.

– Waszej broni? – powtórzył baron z drwiącą nutą w głosie. – A co ona ma wspólnego z tymi zwiadowcami?

– Oboje należymy do Korpusu – wyjaśnił Will. – Ja jestem starszym zwiadowcą, a Maddie to moja uczennica, a nie córka.

W tym momencie przerwał im Armand, który roześmiał się krótko i drwiąco. Kiedy spojrzeli na niego, machnął pogardliwie na Willa.

– Może uwierzyłbym, że jesteś jednym z tych tak zwanych tajnych wojowników – stwierdził. – Mimo że jesteś niewyrośniętym kurdupłem. Ale dziewczyna? – roześmiał się znowu.

Will w odpowiedzi uśmiechnął się grzecznie, ale bez cienia rozbawienia. Pomyślał, że Armand jest aroganckim głupcem, lekceważąc go, ponieważ Will był niższy od przeciętnego wojaka i drobnej postury. Dowódca garnizonu nie zauważył umięśnionych barków i ramion zwiadowcy, będących rezultatem wielu lat spędzonych na strzelaniu z łuku o sile naciągu trzydziestu kilogramów.

– Co takiego jest z nią nie tak? – zapytał spokojnie Will.

Szybkie spojrzenie upewniło go, że Maddie zupełnie nie przejęła się kpinami Galla. Nadal miała obojętny wyraz twarzy, bez choćby cienia gniewu.

Armand pochylił się do przodu i mówił powoli i wyraźnie, jakby rozmawiał z kimś upośledzonym intelektualnie.

– To przecież kobieta. Praktycznie mała dziewczynka! – Podkreślił pogardliwie ostatnie słowo. – Kobiety nie są wojownikami. Wszyscy

o tym wiedzą.

– Myślę, że mógłbyś się zdziwić – odparł Will. – Szkolę ją od niemal czterech lat i jest niezwykle utalentowana.

– Być może w szydełkowaniu – skrzywił się Armand. – Ale w walce? Nie sądzę.

– Mogłabym cię pokonać – oznajmiła spokojnie Maddie.

W komnacie na chwilę zapadła cisza.

Potem Will błyskawicznie zareagował.

– Nie! – zawołał. – Maddie, nie możesz...

Jednakże Lassigny uciszył go jednym machnięciem ręki.

– Chwileczkę. Czy ta młoda dama wyzywa Armanda na pojedynek?

– Nie, wcale nie! – odpowiedział Will, wstając z miejsca.

Za jego plecami Ramon zrobił krok do przodu i położył dłoń na rękojeści miecza. Will wyczuł ten ruch i usiadł z powrotem na krześle.

Lassigny ponownie uniósł rękę, aby go uciszyć, i zwrócił się z uśmiechem do Maddie:

– Słucham, młoda damo. Czy chcesz rzucić wyzwanie Armandowi? On jest ostatecznie rycerzem, do tego bardzo utalentowanym.

Maddie rzuciła Armandowi lekceważące spojrzenie.

– Mogę go pokonać – powtórzyła.

– Maddie... – zaczął Will, ale ona spojrzała na niego i uśmiechnęła się spokojnie.

– To będzie przecież pojedynek treningowy. – Popatrzyła znowu na Lassigny'ego. – Jeśli to milordowi odpowiada.

– Czyli chcesz rzucić wyzwanie Armandowi? – upewnił się baron.

Maddie skinęła głową.

– Jeśli uzyskam na to zgodę milorda.

Armand prychnął z pogardą.

– Milordzie, z pewnością nie zastanawiasz się nawet nad tym? To jakiś absurd!

– Zgadza się z tym – wtrącił szybko Will.

Teraz jednak Lassigny uśmiechnął się do niego ironicznie.

– Ale ja się z tym nie zgadzam – powiedział. – Taki pojedynek może być niezwykle pouczający, a także zabawny. – Przeniósł wzrok na Maddie. – Tak jak mówiłaś, pojedynek treningowy z bronią treningową.

– Oczywiście. Nie chciałabym go przecież zabijać – odparła Maddie.

Armand znowu wybuchnął:

– Ty? Zabić mnie? Ty głupia, arogancka... dziewczyno! – Wściekłość i oburzenie sprawiły, że nie potrafił znaleźć innych słów.

Maddie mówiła dalej, wciąż tym samym irytująco spokojnym tonem.

– Proponuję walkę konną ze stępioną bronią. Zwycięża ten, kto jako pierwszy wysadzi przeciwnika z siodła.

Will otworzył usta, żeby znowu zaprotestować, ale zdał sobie sprawę, że to nie ma sensu. Widział, że Lassigny zamierza się zgodzić na ten pojedynek i nic, co zwiadowca mógłby powiedzieć, tego nie zmieni.

– Czyli zamierzasz używać... – zaczął Lassigny, a Maddie dokończyła za niego:

– Mojego łuku i saksy. Rycerz może używać lancy, tarczy i miecza.

– Nie wydaje mi się, żebyście mieli równe szanse – zauważył baron.

Maddie udała, że źle go zrozumiała.

– Wiem, ale postaram się nie zrobić mu zbyt wielkiej krzywdy.

Armand był już bliski apopleksji z wściekłości.

– Jak śmiesz?! Ty impertynencka idiotko! Ty arogancka, głupia dziewczyno! – Popatrzył na barona zaczerwieniony ze złości. – Niech tak będzie, milordzie. Stanę z nią do walki. I spiorę ją na kwaśne jabłko! Zmiażdżę ją! Zniszczę ją, nawet bronią treningową.

Will ze smutkiem pokręcił głową.

– Co ty wyprawiasz, Maddie? – zapytał.

Nie spodziewał się, że jego plan zasiania w umyśle barona wątpliwości zakończy się w ten sposób. Życie Maddie było w niebezpieczeństwie. Doświadczony rycerz, taki jak Armand, mógł ją z łatwością zabić nawet stępioną lancą. W tak zwanych pojedynkach towarzyskich często się zdarzało, że rycerze w pełnej zbroi zostawali okaleczeni lub zabici, Maddie zaś nie miała żadnego pancerza, który mógłby ją chronić.

– Nie martw się, Willu – odparła z uśmiechem. – Wiem, co robię.

Lassigny popatrzył na nich, a potem na swojego rozwścieczonego podwładnego. Kilka razy pokiwał z namysłem głową.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby poćwiczyć – oznajmiła Maddie. – Muszę także odzyskać moją broń.

– Dostaniesz jedno i drugie – powiedział Lassigny. – Pojedynek odbędzie się za tydzień. Ogłosimy ten dzień świętem, żeby wszyscy mieszkańcy zamku i wsi mogli przyjść i obejrzyć walkę. Tak jak mówiłem, to może być pouczające. I niezwykle zabawne.





13

Will milczał, zaciskając usta, gdy szli z powrotem przez dziedziniec i wchodzili po schodach do swojej komnaty. Kiedy jednak drzwi za nimi zamknięto i zaryglowano, odwrócił się z wściekłością do Maddie.

– Czyś ty oszalała?! – warknął, a zanim zdążyła odpowiedzieć, mówił dalej: – Co cię podkusiło, żeby wyzywać Armanda na pojedynek? To doświadczony rycerz! Może cię zabić!

– To będzie pojedynek treningowy – przypomniała spokojnie Maddie, a Will znowu wybuchnął:

– Pojedynek treningowy, w którym on będzie uzbrojony w lancę! – krzyknął. – Widziałaś wystarczająco wiele turniejów. Wiesz, że nawet stępiona lanca jest śmiertelnie niebezpieczna!

– Jeśli zdoła mnie trafić – przypomniała Maddie. – Lanca to niezgrabna broń, a ja mam nad nią przewagę szybkości i zwinności. Zderzak może biegać wokół takiego wielkiego i ociężałego konia bojowego. – Umilkła na chwilę. – Właściwie to właśnie planuję zrobić.

– Nie wystarczy, że będziesz biegać wokół niego! – Will z trudem się opanował. – Musisz go wysadzić z siodła! Zamierzasz to zrobić za pomocą stępionej strzały?

– Nie, ale wiem, jak mogę to zrobić. Zastanawiałam się nad tym przez większość ostatniej nocy, Willu. Powiedziałeś, że chcesz zasiać w głowie Lassigny’ego ziarno wątpliwości. Jak ci się wydaje, co on

pomyśli, jeśli jeden z jego najważniejszych rycerzy zostanie pokonany przez dziewczynę? To na pewno go zaniepokoi.

– Ale co się wtedy stanie z nami? – zapytał Will. – Nie będzie już próbował nas przeciągnąć na swoją stronę, jeśli się zorientuje, że stanowimy dla niego zagrożenie.

Maddie się uśmiechnęła.

– Czyli przyznajesz, że mam spore szanse pokonać Armanda?

Will potrząsnął głową jak oszołomiony byk.

– Nie twierdzę, że to niemożliwe. Twierdzę, że to wyjątkowo niebezpieczny pomysł. Armand może cię zabić. A jeśli mu się to uda, twoja matka zabije mnie.

– Ale jeżeli wygram, Lassigny poważnie rozważy pomysł zaatakowania Araluenu. Spójrz prawdzie w oczy, Willu, nie mamy nic do stracenia. Lassigny tak czy inaczej nie zdołałby nas przekonać do przyjęcia jego propozycji. Nawet gdybyśmy udawali, że chcemy z nim współpracować, będziemy cały czas bacznie obserwowani. Potrzebowalibyśmy miesięcy, żeby zaskarbić sobie jego zaufanie.

Will osunął się na jedno z krzeseł przy stole i oparł głowę na rękach. Zdawał sobie sprawę, że Maddie ma rację: dopóki istniała szansa, że Lassigny mógłby ich zwerbować, dopóty będą pod stałą obserwacją. W końcu podniósł wzrok.

– Naprawdę masz plan, jak go pokonać? – zapytał.

Wiedział, że Maddie nie jest głupia. Wiedział też, że jest doskonale wyszkoloną wojowniczką.

Maddie się uśmiechnęła.

– Oczywiście, że tak. Nie zaczynałabym tego, gdybym nie miała planu. Na moją korzyść przemawia kilka kwestii. Przede wszystkim ten cały Armand jest arogancki i zarozumiały. Z całą pewnością nie docenia moich możliwości. Najgorsze, czego się będzie spodziewać, to strzała wycelowana w twarz, więc zakładam, że założy hełm garnczkowy.

– To prawie pewne – przyznał Will.

Nadal jednak nie rozumiał, jak Maddie zamierza pokonać rycerza w pełnej zbroi, wyposażona tylko w stępione strzały i drewnianą replikę saksy.

– Cieszę się, że też tak uważasz, ponieważ od tego zależy mój plan. Poza tym, tak jak mówiłam, mam nad nim przewagę szybkości

i ruchliwości.

– A on ma nad tobą przewagę siły i czterometrowej lancy – przypomniał Will. – Jak niby zamierzasz go pokonać?

Maddie uśmiechnęła się z ulgą, ponieważ Will najwyraźniej zaakceptował to, co nieuchronne, i starał się myśleć konstruktywnie. Odsunęła drugie krzesło, usiadła naprzeciwko Willa i pochyliła się, żeby oprzeć łokcie na stole.

– Zaraz ci opowiem, co zamierzam zrobić – obiecała.



Wieści o planowanym pojedynku rozeszły się po zamku z szybkością błyskawicy. Zaskakująco wielu ludzi kibicowało Maddie, chociaż tylko nieliczni uważali, że ma jakiegokolwiek realne szanse pokonać Armanda – czy choćby wyjść z walki żywa.

Armand był niepopularny przez posługaczy, sprzątaczy, pokojówki i całą resztę służby w Chateau des Falaises. Arogancki oraz porywczy, miał też skłonność do poniżania i obrażania każdego, kto popełnił w jego obecności jakiś błąd lub po prostu, zdaniem Armanda, był zbyt powolny. Nie cofał się także przed fizycznym karaniem tych, którzy wzbudzili jego gniew. Wielu służących zasmakowało jego pięści, a pokojówki dostawały czasem od niego krótką szpicrutą, którą zawsze nosił przy sobie.

Nie lubili go nawet żołnierze z zamkowego garnizonu, chociaż nie mówili o tym głośno. Obowiązywała ich mimo wszystko wojskowa dyscyplina, a Armand był ich przełożonym. Każde słowo, które mogłoby świadczyć o tym, że źle mu życzą lub mają nadzieję na zwycięstwo Maddie, ściągnęłoby na nich surową karę.

Kiedy jednak Maddie i Will ćwiczyli na dziedzińcu, dziewczyna zdawała sobie sprawę ze starannie skrywanej aprobaty, a nawet podziwu ze strony Ramona i jego trzech towarzyszy.

Halt znowu zaczął codziennie odwiedzać zamek i podsłuchiwał służących rozmawiających o tym pojedynku. Był przerażony, a kiedy dowiedział się trochę więcej – chociaż wiele szczegółów i przypuszczeń dotyczących planowanej potyczki było absurdalnie przesadzonych – przekazał wiadomość Horace'owi, który przyjął ją z równą zgrozą.

- Pojedynek? – zapytał Horace, podnosząc niebezpiecznie głos. – Z rycerzem w pełnej zbroi? On ją zabije!
- Halt spojrział na niego z powątpiewaniem.
- Będą mieli broń treningową – przypomniał.
- Horace pokręcił lekceważąco głową.
- Mimo to Maddie będzie w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Co, na wszystkie piekła, wyobraża sobie Will?
- To mógł nie być koncept Willa – zauważył uczciwie Halt. – Wiesz, jaka jest Maddie. Ma swoje pomysły.
- W takim razie chyba kompletnie zwariowała! – oznajmił stanowczo Horace. Przez dłuższą chwilę krążył po izbie, aż w końcu podjął decyzję. – Nie ma na co czekać. Musisz się z nimi skontaktować od razu i wyciągnąć ich stamtąd.
- Mogę spróbować. – Halt pokręcił głową. – Ale to nie będzie proste. Od kiedy padł ten pomysł, są obserwowani jeszcze czujniej niż wcześniej. Lassigny nie zamierza ryzykować, że uciekną, a Maddie wymiga się od tej walki.



Przypuszczenia Halta okazały się prawdziwe. Przez cały tydzień Maddie i Will znajdowali się pod bezustanną obserwacją. Wcześniej Lassigny’emu wystarczało, że byli po prostu zamknięci w wieży, ale teraz korytarza pod ich drzwiami pilnowali ciągle wartownicy.

- Sami rozumiecie – powiedział ironicznie baron, kiedy zajrzał do ich komnaty, żeby się upewnić, że strażnicy wykonują swoje obowiązki. – Nie możemy pozwolić, żebyście zmienili zdanie i postanowili nas opuścić. Wszyscy byliby niezwykle zawiedzeni.

Tymczasem Will i Maddie poświęcili kilka wieczorów na przygotowanie stępionych strzał, których miała używać Maddie. Lassigny pozwolił przynieść do komnaty jej kołczan, więc zdjęli stalowe groty i zastąpili je oszlifowanymi drewnianymi gałkami, które zostały obciążone ołowiem, żeby naśladować ciężar i wyważenie oryginalnych. Ramon i pozostali strażnicy pilnowali ich uważnie i sprawdzali, czy liczba zabieranych co wieczór z ich komnaty grotów się zgadza.

Maddie uśmiechnęła się, oddając mu bodkin – ostry jak igła grot, którym można było przeszyć zbroję lub kolczugę ze śmiertelnościami skutkiem.

– Mogłabym jeden taki zatrzymać, prawda? – zażartowała.

Ramon rozejrzał się, żeby mieć pewność, że nikt go nie usłyszy.

– Gdyby to ode mnie zależało, mogłabyś – przyznał. – Ale baron zapisał sobie, ile strzał było w kołczanie i jakiego rodzaju groty miały. Jeśli nie zwrócę mu wszystkich, obedrze mnie żywcem ze skóry.

Początkowo Lassigny zamierzał im także zabronić codziennych spacerów po dziedzińcu. Jednakże Will zaprotestował, przypominając, że Maddie musi poćwiczyć strzelanie stępionymi strzałami. Są one lżejsze od zwykłych strzał, a co za tym idzie, będą lecieć trochę inaczej. Poza tym potrzebowała także swojego konia, Zderzaka, żeby potrenować strzelanie z jego grzbietu.

Po krótkiej dyskusji Lassigny uległ w obu tych kwestiach i zezwolono im na wychodzenie na dziedziniec, ale podwojono eskortę.

Wygodzono przestrzeń w ogrodzie za donżonem, a Maddie ustawiła tam tarczę – drewniany krążek na wysokiej tyczce, mający w przybliżeniu rozmiary głowy Armanda i znajdujący się na takiej wysokości, na jakiej będzie rycerz, siedząc na swoim koniu bojowym. Przeprowadzono jej osiodłanego Zderzaka, z którym przywitała się entuzjastycznie. Will patrzył, jak Maddie dosiada wierzchowca i oddala się na odległość jakichś czterdziestu metrów od celu, a potem zawraca i rusza galopem.

Zderzak, podobnie jak wszystkie konie jego rasy, potrafił błyskawicznie przyspieszać, więc pomknął jak strzała w stronę tyczki z kolistym obiektem ataku na szczycie. Przy tej prędkości i odległości Maddie miała czas, żeby wypuścić dwie strzały jedna za drugą. Obie uderzyły mocno w drewniany krążek. Przy ósmym nawrocie tarcza pękła na całej długości od powtarzających się uderzeń i musiała zostać wymieniona na nową. Maddie poprosiła, żeby wzmocnić cel od tyłu cynową blachą.

Nie ćwiczyła żadnych manewrów ze Zderzakiem, ponieważ nie chciała zdradzić swojej taktyki gapiom. Wiedziała, że Armand kazał swoim ludziom obserwować ją i składać mu regularne raporty.

Galopowała więc prosto na swój cel i koncentrowała się na jak najszybszym naciąganiu łuku i wypuszczeniu strzała. Ona i Zderzak od dawna byli partnerami i wiedziała, że kiedy przyjdzie co do czego, koń będzie błyskawicznie reagować na wskazówki przekazywane naciskiem jej kolan i łydek.

Mieszkańcy zamku, którzy regularnie korzystali z ogrodu i spacerowali po nim, także obserwowali ją z zainteresowaniem. Widzieli jej zadziwiające umiejętności i niezrównaną precyzję, więc byli pod wrażeniem. Nikt jednak nie miał pojęcia, jakim cudem stępione strzały, choćby i najbardziej celne, miałyby wysadzić z siodła rycerza tak doświadczonego jak Armand.

Nie można było także zapominać o jego umiejętnościach – a były one naprawdę nieprzeciętne. Armand także zaczął trenować, poleciwszy wygrodzić w pobliżu szranki, w których ustawiono cel ćwiczebny dla jeźdźców posługujących się lancą. Była to obciążona kukła przypominająca wojownika, zamocowana na zawiasach i obracająca się na tyczce. Skonstruowano ją tak, żeby się przekręcała, jeśli nie zostanie trafiona dokładnie w sam środek. Z jej wyciągniętego ramienia zwisał worek z piaskiem – jeśli kukła się obróciła, worek także się obracał i mógł boleśnie uderzyć atakującego rycerza w głowę lub plecy.

Gdy kukła zostawała trafiona lancą dokładnie w środek, odchyłała się na zawiasach do tyłu, pociągnięta przez obciążniki, a jej ramię się nie poruszało.

Nie budziło dobrych przeczuć to, że Armand trafiał zawsze w sam środek. Widać było, że ćwiczy tylko po to, żeby zachwiać poczuciem pewności siebie przeciwniczki.

– Jest dobry – powiedział Will do Maddie po kilku minutach przyglądania się rycerskiemu treningowi.

Maddie wzruszyła ramionami.

– Kukła nie robi uników – przypomniała. – I nie strzela do niego.

Tak jak zapowiedział Lassigny, dzień pojedynku został ogłoszony w zamku dniem świątecznym. Miejscem potyczki miała być duża, równa łąka niedaleko grobli, przed wjazdem do wsi. Skoszono na niej wysoką trawę, a po jednej z dłuższych stron prostokątnego placu wzniesiono osłoniętą platformę widokową dla barona i najwyższych rangą dworzan. Po drugiej stronie przygotowano zwykłe ławki dla

niżej urodzonej publiki – mieszkańców wsi oraz służby zamkowej. Za trybunami rozłożyły się stragany z jedzeniem, na których widzowie mogli kupić placki, owoce i słodycze, a także szaszłyki z pieczonej baraniny i wieprzowiny.

Szlachetnie urodzonym gościom z trybun posiłek miała podać zamkowa służba kuchenna.

Wykopano kilka dołów i osadzono nad nimi rożny, na których można było przyrządzać całe poście wieprzowiny i wołowiny. Ustawiono także paleniska z węglem drzewnym, na których zamierzano gotować lub piec warzywa.

Na końcu pola rozstawiono dwa namioty dla uczestników potyczki, w których mogli przygotować się do walki oraz – w przypadku Armanda – włożyć zbroję. Willowi i Maddie pozwolono opuścić zamek, żeby mogli obejrzeć plac pojedynkowy, oczywiście pod ścisłym nadzorem. Will chodził po krótkiej trawie i rozglądał się uważnie, wypatrując wszelkich nierówności, króliczych nor, kamieni i wszystkiego, o co koń Maddie mógłby się potknąć. Powietrze wypełniał stukot młotków oraz zapach świeżo ciętego drewna.

Maddie stała po prostu na środku placu, chłonęła atmosferę, zapamiętywała pozycję słońca i wyobrażała sobie jego wędrówkę po niebie w trakcie dnia. Zauważyła, że podczas pierwszego, najbardziej niebezpiecznego przejazdu słońce będzie świecić jej w oczy. Wzruszyła ramionami. To naturalne, że baron zamierzał zapewnić swojemu podwładnemu każdą możliwą przewagę i nie dało się wiele na to poradzić, więc postanowiła się nie przejmować nad miarę.

Will zakończył oględziny placu i dołączył do niej.

– Wygląda na to, że wszyscy będą się tego dnia doskonale bawić – zauważył.

Maddie uśmiechnęła się do niego.

– Wszyscy z wyjątkiem Armanda – powiedziała.



14

W dniu pojedynku Halt i Horace dołączyli do tłumu podekscytowanych mieszkańców wsi kierujących się na pole turniejowe. Horace przygotował herb z czarnym niedźwiedziem, wskazujący, że jest rycerzem teutońskim. Włożył długi płaszcz i naciągnął na oczy kaptur, żeby zasłonić twarz. U lewego boku miał przypięty miecz, a z prawej strony, dla równowagi, ciężki sztylet o szerokim ostrzu.

Halt wiedział, że Maddie kilka razy zauważyła jego obecność w zamku, więc zamiast płaszcza w biało-niebieskie pasy włożył mniej rzucający się w oczy oliwkowy, także z podniesionym kapturem. Pod okryciem miał przygotowaną saksę, a w bucie nóż do rzucania. Zabrał także swój nieodłączny kostur. Spojrzał kątem oka na Horace'a i przyjrzał się mieczowi w pochwie.

– Zamierzasz go użyć? – zapytał lekko.

Horace spojrział na niego z gniewnym grymasem. Z jakiegoś powodu wyraźnie obwinił zwiadowcę o udział Maddie w tej walce – być może dlatego, że to Halt przyniósł mu tę wiadomość.

– Jeśli skrzywdzi Maddie, jest już martwy – zapowiedział ponuro.

– Maddie potrafi zadbać o siebie – przypomniał Halt.

Horace burknął coś pod nosem. Halt miał nadzieję, że się nie myli. Zajęli miejsca w drugim rzędzie ławek, przepychając się tak, żeby siedzieć pośrodku. Otaczający ich ludzie spoglądali niechętnie, kiedy przesuwali się, żeby zrobić im miejsce, ale nikt nic nie powiedział. Większy z mężczyzn wyglądał, jakby był w złym humorze i nie

należało z nim zadzierać. Poza tym był rycerzem, niechby i cudzoziemskim, a mieszkańcy wsi byli przyzwyczajeni, że zbrojnym należy we wszystkim ustępować.

Siedzieli od jakichś dziesięciu minut, kiedy w tłumie nastąpiło poruszenie. Większość miejsc była już zajęta, a siedzący ludzie zaczęli patrzeć w lewo. Horace i Halt spojrzeli w tę samą stronę i zobaczyli Lassigny'ego z żoną oraz towarzyszącymi im rycerzami i damami. Baron wszedł na plac turniejowy i skierował się na swoją luksusową trybunę. Dwaj Araluńczycy po raz pierwszy zobaczyli teraz galijskiego arystokratę.

– Wygląda zupełnie zwyczajnie – powiedział Halt. – Spodziewałem się rogów i ogona.

Baron machnął niedbale ręką w kierunku widowni, która odpowiedziała ospałymi brawami i kilkoma pozbawionymi werwy wiwatami.

– Nie wydaje się przejmować brakiem entuzjazmu – zauważył cicho Horace.

– Sądzę, że jest do tego przyzwyczajony – odparł Halt.

Kiedy baron i jego towarzysze zajęli miejsca, tłum uspokoił się, oczekując niecierpliwie na głównych bohaterów dnia, którzy mieli dostarczyć zebranym rozrywki. Ze straganów unosił się zapach dymu i pieczonego mięsiwa. Horace'owi głośno zaburczało w brzuchu – nawet napięcie nerwowe, jakie odczuwał, nie potrafiło stłumić apetytu rycerza. Zastanowił się, czy nie podejść i nie kupić szaszłyka wieprzowego, ale zrezygnował z tego pomysłu. W żołądku znowu mu zabulgotało.

– Cicho tam – rzucił Halt.

– Mnie tego nie mów. Powiedz to moim kiszkom – odparł Horace.

Tłum ponownie się ożywił, gdy rozległ się tętent ciężkich kopyt. Armand przygalopował z lewej strony, przejechał wzdłuż widowni, a potem zawrócił, aby pozdrowić barona.

Miał na sobie kolczugę pod czerwonym kasakiem ozdobionym jego herbem – spadającym na zdobycz czerwonym jastrzębiem w białym polu. Ten sam znak wymalowano na tarczy migdałowatej, a jego lancę ozdabiały spiralne, biało-czerwone pasy. Miał na sobie hełm garnczkowy bez ruchomej przyłbicy, tylko z wąskimi szczelinami umożliwiającymi oddychanie i patrzenie. Horace wiedział, że pole

widzenia w takim hełmie jest bardzo ograniczone, ale za to głowa i twarz rycerza będą doskonale chronione.

Horace nagle złapał Halta za ramię.

– On ma miecz! – powiedział gwałtownym szeptem. – Myślałem, że mieli walczyć bronią treningową!

Halt zmrużył oczy i przyjrzał się uważniej rycerzowi na koniu. Horace miał rację. Miecz zwisający u boku Armanda nie był zrobioną z drewna bronią do ćwiczeń.

– Owszem, mieli – przyznał. – Mam nadzieję, że Will to zauważy.

Armand zatrzymał konia bojowego przed podwyższeniem, na którym siedział Lassigny. Potężny deresz tupnął niecierpliwie kopytem i postąpił kilka kroków w bok. Rycerz szarpnął brutalnie wodze, żeby zapanować nad swoim wierzchowcem. Deresz potrząsnął łbem, sprzeciwiając się takiemu traktowaniu, Armand zaś w odpowiedzi pochylił się i trzepnął zwierzę po głowie. W tłumie rozległy się pomruki dezaprobaty, ale koń się uspokoił.

– Przyjemniaczek – mruknął Halt.

Horace nic nie powiedział, lecz wbił pełne furii spojrzenie w plecy gallijskiego rycerza i położył dłoń na rękojeści miecza.

Halt zauważył ten ruch.

– Tylko spokojnie – rzekł.

Minęło jeszcze kilka minut, zanim znowu rozległ się stukot kopyt – tym razem cichszy niż łomotanie podków konia bojowego. Ludzie wstali i wyciągnęli szyje, aby przyrzeć się nowo przybyłej.

Maddie wjechała w szranki od prawej strony, siedząc lekko na grzbiecie galopującego swobodnie Zderzaka. Nie miała na sobie zbroi, tylko zieloną wełnianą kurtkę i brązowe spodnie oraz buty z miękkiej skóry sięgające do połowy łydki. Przez ramię miała przewieszony łuk refleksyjny, a do pasa przypięty kołczan ze strzałami. Na głowę włożyła kapelusz z szerokim rondem, a kiedy Halt spojrział szybko na pozycję słońca, zrozumiał, dlaczego to zrobiła.

Kiedy Armand zakończył swoją prezentację, Maddie przejechała wzdłuż widowni. Powitał ją cichy szmer aprobaty – nikt z obecnych nie chciał w zbyt oczywisty sposób dać do zrozumienia, że cieszyłby się z jej wygranej. Kiedy ich mijała, Halt i Horace opuścili głowy i ukryli twarze w cieniu kapturów.

Maddie dojechała na środek pola i skręciła, żeby przejechać w poprzek placu i zatrzymać się przed Lassignym, obok Armanda i jego konia bojowego. Deresz znowu zatańczył nerwowo w miejscu, kiedy Zderzak stanął obok niego. Armand po raz kolejny ściągnął gwałtownie cugle, żeby uspokoić wierzchowca. Maddie popatrzyła na swojego przeciwnika z niechęcią.

Lassigny podniósł się z miejsca i zrobił krok, aby oprzeć się o poręcz otaczającą podwyższenie i przyjrzeć po kolei dwojgu uczestnikom pojedynku. Absolutnie nic nie wskazywało na to, że walka może być wyrównana. Maddie i Zderzak wyglądali jak karły przy Armandzie i jego potężnym koniu bojowym. Maddie wydawała się niemal nieuzbrojona, szczególnie że trzymała swój łuk nadal przewieszony przez ramię. Armand oparł lancę w uchwycie przy prawym strzemienu. Biało-czerwona broń wydawała się ogromna w porównaniu z delikatną krzywizną łuku Maddie i górowała wysoko nad jeźdźcami.

Lassigny uśmiechnął się ironicznie. Nie miał cienia wątpliwości, że dziewczyna zostanie nauczona pokory. Najprawdopodobniej przy tym zginie. W duchu wzruszył ramionami. Pomyślał, że zasłużyła sobie na to przez swoją głupotę, która kazała jej rzucić Armandowi wyzwanie mimo tak mało skutecznej broni. Poza tym to pozwoli przywołać do porządku także jej beczelnego towarzysza. Lassigny nadal był wściekły na Willa za łatwość, z jaką dostał się do jego zamku, a także za to, że niewiele brakowało, a uciekłyby razem z synem Philippe'a, Gilesem. Gdyby nie informator, który powiadomił barona o planowanej próbie ucieczki, misja ratunkowa mogłaby się zakończyć powodzeniem.

Zdał sobie sprawę, że tłum zamilkł, a dwoje wojowników patrzy na niego pytająco, głowiąc się, dlaczego zwleka. Pomyślał, że mogą się zastanawiać, i odczekał celowo jeszcze dwadzieścia sekund, patrząc na nich na zmianę, zanim się odezwał.

- Czy jesteście gotowi do pojedynku? – zapytał w końcu.
- Tak, milordzie – odparł Armand donośnym głosem.
- Tak – powiedziała Maddie.

Jej głos był cichszy i spokojniejszy niż głos potężnie zbudowanego rycerza.

- Czy wybraliście swoje bronie? – zapytał baron.

Tym razem Maddie odpowiedziała jako pierwsza.

– Tylko te, które mam przy sobie.

Armand popatrzył na nią poirytowany. Uważał się za lepszego z nich dwojga, więc miał przywilej odzywania się jako pierwszy. Teraz musiał udzielić pospiesznej odpowiedzi.

– Tak, milordzie. Lancę i miecz.

– W takim razie możecie udać się do swoich namiotów i zająć ostatnimi przygotowaniami. Bądźcie gotowi, kiedy sygnał trąbki wezwie was w szranki.

Baron wskazał odzianego w liberię trębacza, który stał u podnóża podwyższenia i trzymał pod pachą swój instrument w kolorze starego srebra.

Dwoje jeźdźców zaczęło zawracać wierzchowce, żeby rozjechać się na dwa końce pola, kiedy od strony namiotu Maddie rozległ się czyjś głos.

– Zaczekajcie! Milordzie! Proszę poczekać!

Zebrani popatrzyli w kierunku, z którego dochodził. Niektórzy wstali, żeby lepiej widzieć – najpierw pierwsze rzędy, a potem dalsze, żeby zobaczyć coś ponad głowami sąsiadów. Ktoś wybiegł na pole, kierując się do trybuny barona.

Kiedy ludzie go rozpoznali, rozległ się gwar rozmów.

– To Will! – powiedział Halt, a Horace skinął głową.

Na podwyższeniu Lassigny uniósł dłoń, zatrzymując dwoje jeźdźców, którzy ponownie ściągnęli wodze swoich koni. Deresz cofnął się niespokojnie o dwa kroki, za co Armand ukarał go kolejnym szarpnięciem cugli, aż łeb zwierzęcia obrócił się na bok. Koń zatrzymał się, a Maddie pokręciła głową na widok okrucieństwa Armanda. Było jasne, że jego wierzchowiec jest młody i płochliwy.

– Protestuję, milordzie! – zawołał Will, kiedy zbliżył się do podwyższenia.

Mówił głośno, mimo że baron mógł go teraz doskonale słyszeć. Chciał, żeby jego słowa dotarły także do widzów w ławkach po drugiej stronie.

– Protestujesz? – zapytał Lassigny szyderczo, spoglądając na niego z pogardą. – Troszeczkę na to za późno. Jeśli chcesz odwołać ten pojedynek, to się spóźniłeś.

Tłum okrzykami wyraził poparcie. Niezależnie od tego, czy czuli sympatię do Maddie, liczyli na rozrywkę – pokazową walkę – i nie chcieli, żeby coś takiego ich ominęło.

– Nie chcę odwołać pojedynku, milordzie – zapewnił Will.

– W takim razie przeciwko czemu... protestujesz? – W głosie Lassigny’ego nadal dźwięczały lekceważenie i ironia.

Nikt nie miał cienia wątpliwości, jak bardzo pogardliwy jest stosunek barona do Willa i jego protestów.

Will w odpowiedzi wskazał Armanda.

– On ma przy sobie miecz – powiedział. – Mieli walczyć bronią treningową. Drewnianą.

Na ławce po przeciwnej stronie Horace odetchnął głęboko z ulgą.

– Dzięki niebiosom – odezwał się cicho, a Halt wydał pomruk poparcia.

Jednak zbyt szybko się ucieszyli.

Lassigny przyglądał się Willowi przez kilka sekund, a potem uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Twoja dziewczyna mówiła o „stępionej broni” – powiedział. – Ten miecz został stępiony.

Gestem polecił Armandowi dobyć miecza. Osoby znajdujące się najbliżej mogły bez cienia wątpliwości zobaczyć, że ostrze broni zostało stępione, a czubek zaokrąglony. Kilkoro dworzan towarzyszących baronowi potwierdziło to na głos. Widzowie w ławkach umilkli.

– To stalowy miecz! – zawołał Will. – Stępiony czy nie, nadal jest śmiertelnie groźny. Jeśli on ją trafi, to...

Nie zdołał powiedzieć nic więcej, ponieważ Lassigny podniósł głos, żeby go przekrzyczeć.

– Właśnie na to zgodziła się dziewczyna! – ryknął. – Niech więc lepiej uważa, żeby Armand jej nie trafił!

Siedzący wokół niego dworzanie wyrazili głośno swoje poparcie. Rozległy się nawet pojedyncze głosy z ławek. Niektórzy z widzów postawili na przeciwnika Maddie, chociaż stawki w razie wygranej byłyby bardzo niskie. Nikt nie wierzył, że Maddie zdoła zwyciężyć. Większość obstawiała liczbę przejazdów, które dziewczyna przeżyje, zanim zostanie trafiona lancą Armanda.

– Zaczynać już! – krzyknął ktoś.

Lassigny oparł się na poręczy i przywołał Willa bliżej. Mówił teraz z normalnym natężeniem głosu.

– Jest już za późno na sprzeciwy, rybałcie – powiedział. – Powinniście byli doprecyzować szczegółowe warunki, kiedy były one ustalane. Dziewczyna się na to zgodziła. Nie możesz teraz nic zmienić.

– Ale...

Lassigny zbył ostatni protest Willa władcym machnięciem ręki i znowu podniósł głos, żeby być słyszany przez wszystkich zebranych.

– Protest zostaje oddalony! Pojedynek odbędzie się na obecnych warunkach! Jeźdźcy mogą udać się do namiotów!

Maddie i Armand zawrócili konie i skierowali się na przeciwległe krańce pola turniejowego. Tłum zaczął wiwatować, a ludzie wznosili okrzyki na cześć swojego faworyta. Hałas nasilał się, ale Will nie ruszał się z miejsca, wpatrując się z wściekłością w pogardliwie spoglądającego na niego barona.

– Jeśli coś jej się stanie – powiedział cicho, żeby nikt więcej go nie usłyszał – zabiję cię, Lassigny.

Odwrócił się na pięcie i poszedł do namiotu Maddie.





15

Zderzak czekał cierpliwie przed namiotem, do którego podszedł Will. Nieduży konik zarżał powitalnie i szturchnął Willa lekko łbem w ramię, kiedy zwiadowca zatrzymał się, żeby pogłaskać go po nosie. Wewnątrz namiotu Maddie usłyszała swojego konia i domyśliła się, że Will jest na zewnątrz.

– Wejź, Will! – zawołała.

Od razu zauważył, że jej głos był odrobinę wyższy niż zwykle, co świadczyło o tym, jak bardzo Maddie denerwuje się przed czekającą ją walką. Will pomyślał, że należało się tego spodziewać. Odsunął klapę namiotu i wszedł do środka.

Wnętrze było skromnie umeblowane – w środku znajdowały się stół, dwa krzesła oraz stojak na pancierz i uzbrojenie, na którym wisały teraz łuk i kołczan Maddie. Ona sama siedziała przy stole, oddychała miarowo i patrzyła przed siebie. Przed nią na blacie stały dzban z winem i drugi z wodą, a także dwa kubki.

Maddie popatrzyła na Willa.

– Po prostu się przygotowuję – powiedziała.

Will zatrzymał się przy wejściu, ponieważ rozumiał jej potrzebę koncentracji. Sam czuł się podobnie wiele razy tuż przed nieuniknioną walką. Maddie opanowywała swoje nerwy i przepowiadała w myślach taktykę na pojedynki z Armandem, rozważała różne pomysły i upewniała się, że o niczym nie zapomni. Nie chciał jej w tym przeszkadzać.

– Nie stój tak, możesz mówić. – Maddie uśmiechnęła się do niego, chociaż uśmiech wypadł dość blado.

Zwiadowca podszedł do stołu i usiadł na krześle naprzeciwko. Maddie naląła sobie wody do kubka i uniosła go do ust, żeby zwilżyć wargi.

– Zaszło mi w ustach – wyjaśniła, kiedy odstawiła naczynie.

– To zrozumiałe – przyznał Will. – Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić?

Maddie pokręciła głową.

– Wystarczy, że dotrzymasz mi towarzystwa.

Will wskazał nietknięty dzban wina na stole.

– Spodziewam się, że Armand nie pije teraz wody.

Maddie znowu się uśmiechnęła.

– Miejmy nadzieję, że nie żałuje sobie wina.

– Ma młodego konia. Niezbyt doświadczonego.

– Zauważyłam. Nie liczyłam na to, ale to działa na moją korzyść.

Nie podoba mi się, jak Armand go traktuje – dodała Maddie.

– Sądzę, że koniowi także się to nie podoba, a to również dla ciebie korzystne. Sprawí, że będzie on bardziej nerwowy i płochliwy. Rycerz i jego koń bojowy muszą się dobrze rozumieć, jeśli chcą skutecznie walczyć razem, ale ktoś taki jak Armand tego oczywiście nie pojmuje. Dla niego koń to tylko przedmiot, a nie żywa, czująca istota.

– Tata zawsze powtarzał, że koń jest twoim partnerem podczas walki – zauważyła Maddie.

– Miał rację. A ty przekonałaś się o tym, pracując ze Zderzakiem.

To była rozmowa o sprawach pozbawionych większego znaczenia, ale pozwalała Maddie opanować zdenerwowanie, uspokoić oddech i się skoncentrować. Will podniósł się, zdjął kołczan ze stojaka i sprawdził, czy wszystkie strzały wysuwają się gładko, a ich drzewce nie zaczepiają się o siebie. Łuk był już napięty, więc zwiadowca przyjrzał się cięciwie w poszukiwaniu luzu lub jakichkolwiek oznak przecierania się. Wiedział, że Maddie na pewno już to zrobiła, ale nigdy nie zaszкодziło sprawdzić dwa razy. Siodełko, czyli mały, skórzany krążek przymocowany do cięciwy i oznaczający miejsce, w którym należało umieścić strzałę, wydawało się dobrze wyśrodkowane. Aby mieć całkowitą pewność, Will wyciągnął strzałę

z kołczanu i nałożył ją na cięciwę, sprawdzając, czy znajduje się pod właściwym kątem względem łuku, kiedy jej osada opiera się tuż poniżej siodełka. Skinął głową i odłożył strzałę do kołczanu.

– Wygląda na to, że wszystko jest dobrze – potwierdził.

Maddie skinęła głową. Tak jak zakładał Will, sprawdziła już cały swój ekwipunek, ale zawsze istniała szansa, że doświadczone oko Willa wypatrzy coś, co jej umknęło.

Ze stojaka zwisał także niewielki skórzany woreczek. Will wziął go i poczuł, że jest zaskakująco ciężki. Kiedy nim poruszył, w środku zagrzechotał jakiś tuzin zaokrąglonych kamieni.

– Masz przy sobie procę? – zapytał.

Maddie uniosła prawą rękę i pokazała skórzaną pętlę owiniętą wokół nadgarstka. Spojrzała na wejście do namiotu.

– Na co oni czekają? – mruknęła.

Will dotknął jej ramienia.

– Podejrzewam, że odpowiada za to skłonność Lassigny’ego do potęgowania napięcia. Nie zaczynaj się tym przejmować.

Maddie pokręciła głową z irytacją.

– Ja się nie przejmuję. Chciałabym tylko...

Drgnęła gwałtownie, kiedy na zewnątrz rozległ się sygnał trąbki. Will ścisnął jej ramię, ale nic nie powiedział. Maddie odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i spojrzała na niego z bladym uśmiechem.

– Przepraszam za to – oznajmiła.

Will wzruszył ramionami – lekkie zdenerwowanie było dobrym znakiem. Pozwalało uniknąć uczucia samozadowolenia lub nadmiernej pewności siebie.

Maddie wstała w końcu i podeszła do stojaka z bronią. Przypięła kołczan do pasa, przewiesiła woreczek z pociskami przez jedno ramię, a łuk przez drugie, odwróciła się do Willa i zaczęła naciągać rękawice.

– Jak wyglądam? – zapytała.

Zwiadowca uśmiechnął się do niej, żeby dodać jej otuchy.

– Będiesz królową balu.

Maddie odpowiedziała mu uśmiechem, a potem skierowała się pewnym krokiem do wyjścia. Kiedy wyłoniła się z namiotu, Zderzak uniósł łeb i zarżał na powitanie. Poklepała go po pysku, chwyciła

wodze i wskoczyła lekko na siodło. Związała końce cugli – potrzebowała obu rąk, żeby strzelać z łuku, i nie chciała, żeby luźne wodze zwisały poza jej zasięgiem. Potem lekko dotknęła Zderzaka piętami i zawróciła go, żeby znaleźć się przodem do placu turniejowego. Will zmierzał w ślad za niedużym konikiem, który ruszył w stronę ogrodzonego pola. Na jego drugim końcu czekał już Armand w czerwonej zbroi, na grzbiecie ogromnego deresza. Koń tańczył i przesuwał się na boki. Zarżał w proteście, kiedy jeździec uderzył go ostrogami.

Will zatrzymał się przy sięgającym do pasa ogrodzeniu wyznaczającym koniec pola turniejowego. Dwoje jeźdźców wjechało kłusem na skoszoną trawę i zatrzymało się naprzeciwko siebie w odległości stu metrów. W połowie drogi między nimi znajdowało się podwyższenie, na którym zasiadał Lassigny.

Baron podniósł się znowu ze swojego miejsca i przeszedł na skraj trybun, żeby zmierzyć wzrokiem najpierw Maddie, a potem Armanda. Maddie popatrzyła na znajdujące się za plecami rycerza słońce. Było w trzech czwartych wędrówki do najwyższego punktu na niebie, więc naciągnęła niżej kapelusz, żeby rondo skutecznie osłaniało jej oczy. Sylwetka Armanda w czerwieni i bieli wydawała się złowieszcza. Twarz miał ukrytą pod hełmem pomalowanym czerwoną emalią. Wydawał się jakąś nieludzką istotą – potężnym metalowym posągami usadowionym na grzbiecie wielkiego konia.

Maddie z lekkim zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że teraz, kiedy pojedynek już się zaczął, całe jej zdenerwowanie zniknęło, podobnie jak twardy supeł napięcia, który czuła w brzuchu. Była spokojna, odprężona i przygotowana. Znała swoje możliwości i była ich pewna.

– Gotowi? – zawołał Lassigny.

Maddie zsunęła łuk z ramienia i podniosła go w prawej ręce nad głowę.

– Gotowa! – krzyknęła.

Armand uniósł swoją tarczę.

– Gotowy! – zawołał głosem stłumionym przez metal hełmu.

Baron spojrział na stojącego poniżej niego trębacza.

– Daj sygnał – polecił ciszej.

Trębacz obliznął wargi, aby je zwilżyć, a potem uniósł swój instrument i zagrał pojedynczy, przenikliwy dźwięk.

Walka się rozpoczęła.



16

Zderzak, tak jak miał to w zwyczaju, wystrzelił jak strzała z łuku i po kilkunastu taktach rozwinął pełną prędkość. Bojowy deresz Armanda, cięższy i bardziej niezgrabny, przyspieszał znacznie wolniej, łomocząc głośno kopytami w galopie.

Maddie skierowała Zderzaka w prawo, aby wyminąć Armanda od lewej strony, po której trzymał tarczę. Rycerz to zauważył. Uniósł lancę, przełożył ją ponad końską głowę, a potem opuścił tak, że opierała się na kłębie jego wierzchowca, i wycelował w Maddie.

Kiedy się zbliżyli, Maddie wypuściła wodze, wyciągnęła strzałę z kołczanu i nałożyła ją na cięciwę. W odległości czterdziestu metrów uniosła łuk, naciągnęła go i wypuściła pocisk, celując w głowę Armanda. Rycerz, chociaż miał założony hełm, odruchowo uniósł tarczę, aby osłonić się przed strzałą, i stracił Maddie z oczu na kilka kluczowych sekund.

Kiedy tylko tarcza zaczęła się podnosić, Maddie dała Zderzakowi sygnał kolanami i łydkami, żeby skręcić gwałtownie w lewo, przeciąć trasę deresza Armanda i znaleźć się teraz po jego prawej stronie. Żaden wielki i ciężki koń bojowy nie zdołałby wykonać takiego manewru, więc gallijski rycerz, który wcześniej pojedynkował się tylko z jeźdźcami dosiadającymi rumaków podobnych do jego wierzchowca, kompletnie się tego nie spodziewał.

Gdy pozostało już zaledwie dwadzieścia metrów, Armand opuścił tarczę i zaklął, ponieważ zobaczył, że Maddie nie ma już po jego lewej stronie. Rozejrzał się za nią rozpaczliwie przez wąskie

szczeliny hełmu, które ograniczały mu pole widzenia. Przekonał się, że dziewczyna znajduje się niemal na jego wysokości po prawej stronie.

Pospiesznie przełożył lancę jeszcze raz nad głową swojego konia i spróbował ją opuścić i wycelować w Maddie.

Kiedy się mijali, broń nie znalazła się jeszcze w odpowiedniej pozycji. Maddie uniosła prawą rękę z łukiem, zaczepiła jego grzbietem o czubek lancy i odbiła ją tak, że przeleciała jej ponad głową. Pika z paskudnym zgrzytem prześlizgnęła się po ramieniu łuku i opadła swobodnie. Ten manewr był zdumiewającym wyczynem wymagającym doskonałej koordynacji i wyczucia czasu, ale w takich właśnie rzeczach byli szkoleni zwiadowcy, Maddie zaś przygotowywała się do tego mentalnie od kilku dni. Pamiętała opowieść o tym, jak Will w podobny sposób odbił strzałę w locie, kiedy wiele lat temu odwiedził Nihon-Ja.

Armand, który przeniósł ciężar ciała do przodu, aby zrównoważyć impet uderzenia lancy w ciało Maddie, został tym zupełnie zaskoczony.

Lanca nie uderzyła w nic, nie napotkała żadnego oporu, więc jego napięte ciało wychyliło się nadmiernie w przód. Kołysząca się lanca stała się nagle czterometrowym ciężarem, który zagrażał mu dodatkową utratą równowagi. Ponieważ nie miał szans nad nią zapanować, był zmuszony wypuścić ją z ręki. Pika poleciała na ziemię i odbiła się od niej z donośnym brzękiem, drżąc na całej długości. Wierzchowiec Armanda, już wcześniej zaniepokojony manewrami przeciwnika, wyłamał się z szyku, żeby uciec od odbijającej się od ziemi broni, co sprawiło, że Armandowi jeszcze trudniej było odzyskać równowagę w siodle.

Rycerz zaklął, sięgnął po miecz, ale zanim zdążył go wyciągnąć, dwa mocne uderzenia zadzwoniły od tyłu w jego hełm. Maddie zatoczyła na Zderzaku półokrąg i wypuściła, jedną za drugą, dwie strzały, których obciążone ołowiem drewniane gałki uderzyły o ciężki żelazny pancerz.

Pociski, wystrzelone z odległości zaledwie trzydziestu metrów, zachowały jeszcze cały swój impet. Siła podwójnego uderzenia była tak ogromna, że Armand znowu poleciał do przodu na łęk siodła.

Równie okropny okazał się dźwięk – donośny brzęk, który rozlegał się przy każdej strzale, odbijał się echem wewnątrz hełmu i sprawiał, że oczy Armanda na kilka bezcennych sekund traciły zdolność do koncentrowania się, co dodatkowo przyczyniało się do jego dezorientacji i wytrącało go z równowagi. W obawie, że straci miecz w podobny sposób jak wcześniej lancę, pozostawił go na razie w pochwie. Koń, który wyczuł, że jego pan przestaje nagle nad nim panować, zwolnił do stępa. Armand potrząsnął głową, żeby odzyskać jasność widzenia, i zaczął się rozpaczliwie rozglądać przez szczeliny w hełmie w poszukiwaniu Maddie.

Zauważył ją!

Drobna i wiotka sylwetka na rozpędzonym koniku przecinała właśnie tor jego jazdy z przodu, zataczając ogromne koło. Armand zobaczył, że dziewczyna wypuszcza kolejną przekłętą strzałę.

BRZDĘK!

Strzała uderzyła o hełm tuż ponad szczelinami umożliwiającymi patrzenie, sprawiając, że Armand zachwiał się do tyłu i znowu na kilka cennych sekund stracił zdolność widzenia. Trafienie było tak silne, jakby jakiś człowiek stał tuż koło niego i walił go w pancerz drewnianym młotkiem.

Kiedy znowu zaczął coś widzieć, Maddie zniknęła. Armand ściągnął gwałtownie wodze, aby obrócić swojego wierzchowca w jej stronę.

BRZDĘK! BRZDĘK!

Kolejne dwa ciosy spadły jak uderzenia pioruna na jego hełm, tym razem od tyłu. Armand poleciał na łęk siodła i musiał się go ucześcić, aby pozostać na grzbiecie konia.

Deresz wpadł teraz w panikę, ponieważ jego pan chwiał się niepewnie w siodle. Wierzchowiec zarżał z przerażeniem i zachwiał się pod ciężarem wytrąconego z równowagi jeźdźca. Armand brutalnie szarpnął wodze, ale w ten sposób tylko dodatkowo przestraszył konia, który potknął się i odbił w bok, wyginając szyję w łuk i napierając na cugle.

W odróżnieniu od Armanda deresz widział doskonale krępego srokacza zataczającego wokół niego ogromne koło. Walcząc z nieporadnymi wysiłkami jeźdźca starającego się nad nim

zapanować, koń bojowy stanął dęba i okręcił się w miejscu, aby nie spuszczać z oka Zderzaka.

Armand, który nadal próbował odzyskać równowagę, zobaczył nieostry obraz niedużego konika przebiegającego przed nim z jeźdźcem na grzbiecie. Spodziewając się kolejnej serii strzał, rycerz uniósł tarczę i zasłonił twarz.

Zanim jednak zdążył to zrobić, Maddie i Zderzak byli już po jego prawej stronie, a dziewczyna ponownie strzeliła z niewiarygodną precyzją.

BRZDĘK!

Na hełmie w kilku miejscach były wgniecenia świadczące o sile, jaką miały uderzenia strzał wypuszczanych z tak bliskiej odległości. Łuk Maddie był w stanie posyłać je na odległość co najmniej dwustu metrów. Z mniejszego dystansu, takiego jak dwadzieścia lub trzydzieści metrów, ich siła rażenia była naprawdę druzgocąca. Armand kołysał się w siodle, a Maddie nie dawała mu czasu, żeby doszedł do siebie po powtarzających się i dźwięczących echem trafieniach w głowę.

Deresz zachwiał się niezgrabnie – próbował się obracać za Zderzakiem, ale brakowało mu szybkości i zwinności mniejszego konia. To było jak zaklęty krąg – deresz potykał się, a Armand tracił równowagę, a kiedy jeździec chwiał się niepewnie w siodle, koń poruszał się z jeszcze większym trudem. Od momentu upuszczenia lancy Armand nawet przez chwilę nie siedział stabilnie na grzbiecie wierzchowca i z każdą sekundą jego problemy stawały się coraz poważniejsze.

Maddie nacisnęła lekko boki Zderzaka kolanami i zatrzymała go po lewej stronie Armanda. Obserwowała rycerza, rozpaczliwie starającego się odzyskać równowagę. Koń bojowy tańczył w miejscu, wystraszony niezgrabnymi ruchami swojego jeźdźca.

– To odpowiednia chwila, malutki! – powiedziała Maddie do Zderzaka.

Zawróciła go tak, że znalazł się naprzeciwko wielkiego deresza, i spięła do galopu, w trakcie którego wypuściła, jedną za drugą, kolejne strzały.

BRZDĘK! BRZDĘK! BRZDĘK!

Trzy potężne ciosy uderzyły w hełm Armanda, ogłuszając go, utrudniając widzenie i sprawiając, że przechylił się na prawo.

Aby zrekompensować to nagłe przesunięcie ciężaru, deresz także zrobił krok w prawo dokładnie w momencie, gdy rozpędzony do pełnej prędkości Zderzak uderzył swoim barkiem w jego bark.

Zderzak był znacznie niższy od deresza, dlatego siła uderzenia trafiła większego konia pod kątem w górę, spychając go na bok. Armand poczuł, że wierzchowiec pod nim traci stabilność, i spróbował utrzymać się na jego grzbiecie, młóćąc na oślep ramionami. Wypuścił przy tym tarczę, która poleciała na ziemię.

Deresz nie zdołał odzyskać równowagi, Armand zaś przechylił się w prawo tak daleko, że nie miał już szans przesunąć swojego ciężaru. Uczepił się rozpaczliwie łęku siodła, ale było już za późno. Grawitacja oraz ciężar zbroi zwyciężyły – rycerz poleciał na bok ze swojego wierzchowca, a jego stopy wysunęły się gładko ze strzemion. Uderzenie w podłoże sprawiło, że całe powietrze uszło mu z płuc. Siła upadku była tak duża, że nad ziemią uniosła się chmurka kurzu i pozrywanych źdźbeł trawy.

Armand leżał na boku, próbując z najwyższym trudem złapać oddech. Poruszył rękami i nogami jak krab i spróbował wstać, ale znowu upadł, tym razem na plecy.

Uwolniony od utrudniającego mu złapanie równowagi ciężaru rycerza koń pokłusował pewnym krokiem kilka metrów, potrząsając łbem i głośno prychając. Wydawał się lekko zawstydzony.

Zderzak także machnął głową, z satysfakcją poruszając grzywą i nadal spoczywającymi na jego szyi wodzami. Konie zwiadowców uwielbiały popisywać się przed wielkimi, niezgrabnymi i potężnymi końmi bojowymi, a Zderzak był typowym przedstawicielem swojej rasy. Maddie pochyliła się do przodu i poklepała go po szyi.

– Doskonale! – pochwaliła, a Zderzak znowu potrząsnął łbem. – Nic ci się nie stało? – zapytała z niepokojem.

Siła uderzenia o większego konia mogła uszkodzić jego bark. Zderzak zatańczył w miejscu, żeby ją uspokoić.

Tłum widzów, oglądający tę jednostronną walkę w pełnym zdumienia milczeniu, zerwał się teraz na nogi i zaczął przeraźliwie głośno wiwatować na cześć drobnej młodej kobiety oraz jej krępego, kosmatego konika.

Halt i Horace wymienili uszcześliwione spojrzenia.

Horace pokręcił głową, pełen podziwu dla swojej córki.

– Wiedziałem, że jej się uda – powiedział, nachylając się do Halta, żeby dać się słyszeć w hałasie wiwatującego tłumu. – Nie wiedziałem tylko, jak to zrobi.

Wargi Halta drgnęły i ułożyły się w leciutki uśmiech.

– Kiedy ty i Will byliście uczniami i cały czas się kłóciliście, planował zrobić ci właśnie coś takiego. Ciekawe, czy jej o tym opowiadał – zastanowił się.

Po przeciwnej stronie pola pobladły z wściekłości Lassigny patrzył, jak Maddie zawraca Zderzaka i kłusuje lekko, żeby zatrzymać się przed podwyższeniem.

– Odniosłam zwycięstwo – oznajmiła głosem słyszalnym poprzez cichnące okrzyki widzów.

Dwóch giermków Armanda podbiegło do leżącego rycerza i pomogło mu stanąć na chwiejnych nogach. Armand ściągnął hełm i potrząsnął głową, z ulgą pozbywszy się jego ciężaru i ograniczeń. Popatrzył na wgniecenia w metalu i pozwolił, żeby hełm wysunął mu się w rękę i upadł na ziemię. Rycerz podszedł niepewnym krokiem i stanął obok Maddie przed Lassignym.

– Milordzie... – powiedział drżącym głosem. – Proszę o wybaczenie! Ja... – Nie zdołał dokończyć, bo baron eksplodował wściekłością.

– Wynoś się! – wrzasnął Lassigny tonem, który przechodził w wysokie skrzeczenie. – Precz z moich oczu i precz z mojego zamku, ty nieudolny durniu! Jak śmiesz stawać przede mną! Precz!

Wyciągnął gwałtownie rękę, wskazując palcem drogę, którą można było oddalić się od Chateau des Falaises.

Armand popatrzył na niego bez zrozumienia.

– Milordzie? – zapytał.

Lassigny był ogarnięty taką furią, że niemal bełkotał z wściekłości.

– Precz! Wynoś się stąd! Mdli mnie na twój widok! Wynoś się i nigdy więcej nie pokazuj tutaj swojej żalösnej, nieudolnej gęby!

W tłumie zapadła cisza, kiedy pokonany rycerz odwrócił się z głową opuszczoną ze wstydu i oddalił ciężko z placu turniejowego. Lassigny nie poświęcał mu więcej uwagi. Jego twarz zaczęła powoli

odzyskiwać kolory, kiedy spojrzał na Willa, który dołączył do stojącej przed baronem Maddie.

– Jeśli chodzi o ciebie, rybałcie – oznajmił baron głosem, który odzyskał już bardziej naturalne brzmienie – ty i twoja towarzyszka drogo za to zapłacicie. Oszukaliście mnie i zrobiliście ze mnie głupca, a to nikomu nie ujdzie na sucho. – Popatrzył na Ramona i jego żołnierzy, którzy stali w pobliżu i spoglądali na Maddie z wyraźnym podziwem. – Zabrać ich z powrotem do wieży – rozkazał. – Są szpiegami i spotka ich taki sam los jak wszystkich szpiegów. Za tydzień od dzisiaj zostaną powieszani.



17

Życie w komnacie w wieży stało się dla Willa i Maddie zdecydowanie mniej komfortowe. Smaczne i zróżnicowane posiłki, jakie dostawali, zastąpiło niezmiennie menu złożone z wodnistej polewki jęczmiennej, chleba i zimnej wody. Parujące dzbanki wonnej kawy i chrupiące pieczywo już się nie pojawiały.

Ponadto w wieczór po walce Ramon wmaszerował do ich komnaty i ściągnął z obu łóżek koce. Na pytanie Willa wzruszył tylko ramionami.

– Rozkaz barona – oznajmił krótko, zwinął wszystkie pledy razem i wyszedł.

– O co tu chodzi? – zapytała Maddie.

– Być może baron uznał, że moglibyśmy zrobić linę i za jej pomocą opuścić się za otynkowany fragment ściany aż do miejsca, w którym zdołalibyśmy znaleźć oparcie dla rąk i stóp – powiedział Will. – Na szczęście mamy jeszcze nasze peleryny, którymi możemy się przykrywać w nocy.

– Może dałoby się z nich zrobić linę? – zaproponowała Maddie.

Will pokręcił głową.

– Cztery koce dostarczyłyby znacznie więcej materiału niż dwie peleryny. Musielibyśmy podrzeć je na cienkie pasy, a potem spleść razem, żeby miały odpowiednią wytrzymałość. Takie splatanie skróciłoby je, więc potrzebowałibyśmy więcej materiału. Peleryny by nam nie wystarczyły.

Maddie pochyliła głowę.

– Przepraszam, Will. To wszystko moja wina. Nie powinnam była rzucać wyzwania Armandowi.

Ku jej zaskoczeniu Will nie zgodził się z taką oceną sytuacji.

– Lassigny bawił się z nami – powiedział. – Nie zamierzaliśmy pod żadnym pozorem pracować dla niego, a nawet gdyby on miał na to nadzieję i zdecydował, że jesteśmy mu potrzebni, zdobycie jego zaufania zajęłoby całe miesiące. W ten sposób osiągnęliśmy to, co chcieliśmy. Zasialiśmy w jego głowie ogromne wątpliwości co do pomysłu najazdu na Araluen, kiedy uda mu się zasiąść na tronie.

– Niewiele nam to pomoże – zauważyła Maddie. – On przecież zamierza nas powiesić.

– Jeszcze żyjemy. – Will uśmiechnął się pokrzepiająco. – Mamy ciągle sześć dni, żeby znaleźć jakiś sposób na wydostanie się stąd.

To jednak wydawało się trudniejsze niż wcześniej. Teraz wartownicy pilnowali ich drzwi na okrągło, więc plan polegający na otwarciu zamka wytrychem i ucieczce tą drogą nie wchodził już w grę.

– Dlaczego on to robi? – zapytała Maddie. – Skoro i tak chce nas stracić, to dlaczego nie zrobi tego od razu? Po co daje nam jeszcze tydzień?

– Chce, żebyśmy cierpieli – odparł Will. – Chce, żebyśmy cały czas myśleli o tym dniu, który zbliża się coraz bardziej. Spodziewam się, że w dzieciństwie zabawiał się wyrywaniem muszkom skrzydełek.

Maddie potrząsnęła głową.

– Nigdy nie sądziłam, że muszki wydadzą mi się bratnimi duszami – mruknęła ponuro.

Will położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie martw się, coś wymyślimy – obiecał.

Już zdecydował, że w najgorszym razie zroluje obie peleryny, zwiąże je razem i wychyli się z okna, żeby opuścić Maddie poza otynkowaną część ściany, skąd będzie mogła zejść. Oczywiście to pozostawiłoby go uwięzionego w komnacie i naraziło na jeszcze większy gniew barona, ale brał pod uwagę taką możliwość, jeśli dzięki temu zdołałby uwolnić swoją uczennicę.

– Mam nadzieję, że coś wymyślisz – oznajmiła Maddie. – Bo mnie się skończyły pomysły.



– Muszę ich stamtąd wydostać jutro w nocy – zapowiedział Halt.

Był zajęty owijaniem pasów juty wokół swojego łuku. Wcześniej okorował młode drzewko, robiąc możliwe długie pasma z kory, które oplótł wokół łuku, aby zamaskować jego gładką powierzchnię i upodobnić go do grubo ciosanego kostura. Potem okleił go obficie szarym mułem rzeczonym, żeby dodatkowo go zakamuflować, zdjawszy skórzany pasek tworzący rękojeść łuku i schowawszy go do kieszeni. Cięciwę, wraz z dwoma zapasowymi, zamierzał ukryć w kapturze płaszcza.

– Jak chcesz to zrobić? – zapytał Horace.

Przyglądał się krytycznie broni, która w niczym nie przypominała już długiego łuku.

– Kiedy rozlegnie się dzwon obwieszczający zamknięcie bramy, wślizgnę się do stajni i schowam w boksie ze Zderzakiem i Wyrwijem. Gdy tylko zrobi się ciemno, a mieszkańcy zamku zasną, przekradnę się do donżonu i wdrapię na jego szczyt. Ich komnata ma okno wychodzące na donżon, ale jest znacznie wyżej niż jego dach. Wystrzelę do nich linę, po której będą mogli zejść.

Horace przyjrzał się sprzętowi, który Halt rozłożył na prostym stole w ich malutkiej izbie.

Oprócz zwoju liny i cienkiego sznurka leżały na blacie dwa dziwne przedmioty – wyrzeźbione z drewna cylindry rozmiarem przypominające kubki na wodę. Jeden z otworów każdego z nich zasłaniała cienka skóra, skrobana i polerowana tak długo, aż stała się niemal przezroczysta. Była naciągnięta, zamocowana za pomocą sznurka i posmarowana dodatkowo pszczelim woskiem. Horace postukał palcem w jeden z cylindrów – błona była napięta jak na bębnie. W samym jej środku znajdował się niewielki otworek.

Halt podniósł głowę i spojrzał, co robi Horace.

– Uważaj na to – ostrzegł. – To trochę za delikatne na twoje wielkie, niezgrabne łapska.

– Do czego to służy? – zapytał Horace.

Halt w odpowiedzi zaszczycił go jednym ze swoich rzadkich uśmiechów.

– To coś, co zobaczyłem wiele lat temu w Toscano – powiedział. – Dziecięca zabawka, dla której od tamtej pory próbowałem znaleźć zastosowanie. Teraz się w końcu przyda.

Ton jego głosu i przebiegły wyraz twarzy podpowiedziały Horace’owi, że nie powinien się dopytywać o dalsze szczegóły. Wysoki rycerz wzruszył ramionami i odłożył cylinder na blat stołu.

– Jak zamierzasz się wydostać z zamku, kiedy już Maddie i Will zejną do ciebie na dach donżonu? – zapytał.

– Wrócimy do stajni i zaczekamy do rana – powiedział Halt. – O siódmej bramy są otwierane, żeby wpuścić ludzi z zewnątrz. Obserwowałem wieżę i wiem, że Will i Maddie dostają śniadanie dopiero o wpół do dziewiątej. Zanim ktokolwiek zauważy, że nie ma ich w komnacie, zrobię coś, co odwróci uwagę wszystkich, a oni będą mogli się wyslizgnąć z zamku w ogólnym zamieszaniu.

Horace z powątpiewaniem przygryzł wargę.

– To będzie wymagało całego mnóstwa skradania się po donżonie i stajniach – zauważył. – Myślisz, że zdołacie to zrobić tak, żeby nikt was nie zauważył?

Halt popatrzył na niego z politowaniem.

– Jesteśmy zwiadowcami – przypomniał. – Właśnie tego nas uczą. Jak wyglądam? – zapytał Halt.

Obrócił się kilka razy, żeby Horace mógł się mu dokładnie przyjrzeć. Zrezygnował ze swojego płaszcza w niebiesko-białe pasy i zamienił go na oliwkowozielony. Niebieski i biel byłyby trochę za bardzo widoczne w ciemnościach nocy.

Pod okryciem przywiązał do pleców paczkę ze sprzętem, który miał mu być potrzebny podczas akcji ratunkowej. Zabrał także bukłak z wodą, suszone mięso i owoce oraz płaski bochenek chleba. Wokół ramion owinął mocną linę, którą także ukrył pod płaszczem, podobnie jak kołczan ze strzałami, przypięty z tyłu do pasa. Sakwę schował w prawym bucie, nóż do rzucania zaś w lewym. W prawej ręce trzymał prymitywnie wyglądający kostur.

Horace przyjrzał mu się uważnie. Glina stwardniała przez noc, całkowicie maskując smukły i równy kształt łuku. Musiał przyznać, że kostur wygląda tak, jak należy – gruby i lekko nieregularny.

– Chcesz, żebym czekał na ciebie jutro u wylotu grobli? – zapytał Horace.

Zwiadowca odrzucił ten pomysł.

– Możesz trochę za bardzo rzucać się w oczy – powiedział. – Jesteś co najmniej o pół głowy wyższy od każdego tubylca. Powiem Willowi i Maddie, żeby po zjechaniu z grobli skierowali się prosto do wsi. Możesz poczekać na nich na początku głównej ulicy, a potem przyprowadzić ich tutaj.

– A co z tobą? Ciebie z nimi nie będzie? – zapytał Horace.

– Strażnicy przy bramie znają mnie i są przyzwyczajeni do tego, że jestem sam. Dołączę do was później, zanim ktokolwiek się zorientuje, że więźniowie zniknęli z wieży.

W oddali usłyszeli dzwon rozlegający się z zamku. Dobięły ich cztery uderzenia.

– To sygnał, że brama się otwiera – powiedział Halt. – Powinienem już ruszać.

Wyślizgnął się przez drzwi frontowe niedużego domu i skręcił z uliczki w główną drogę wsi. Z domów i sklepów wyłaniali się już ludzie obładowani towarami, które zamierzali, jak co dzień, sprzedawać mieszkańcom zamku. Przy grobli dołączyły do nich wozy załadowane produktami rolnymi z otaczających twierdzą gospodarstw. Halt wmieszał się w strumień idących ludzi i pozwolił, żeby ich fala zaniósła go przez wał do opuszczonego mostu zwodzonego i bramy zamku.

Przy wejściu jak zawsze czekali zamkowi strażnicy, którzy przyglądali się wchodzącym ludziom w poszukiwaniu kogokolwiek lub czegoś, co odbiegałoby od normy. Kontrolowali zawartość ręcznych wózków i wozów konnych, unosząc przykrywające je płachty i szturchając towary drzewcem włóczni i halabard.

Jednak te przeszukania i sprawdzenia były – mówiąc oględnie – całkowicie powierzchowne. Strażnicy robili to codziennie i bardzo rzadko cokolwiek zwracało ich uwagę. Rutyna sprawiła, że w ich działania wkradły się nieostrożność i co najmniej brak czujności.

Zbrojni przepuszczali równy strumień wozów i ludzi. Jeden z żołnierzy rozpoznał Halta, który był teraz codziennym porannym gościem w zamku.

– Witaj, Tomkinie – rzucił. – Ładny płaszcz kupiłeś. W samą porę, bo ten stary składał się już raczej z dziur niż z materiału.

Żołnierz uśmiechnął się szeroko.

Halt uniżenie pochylił głowę.

– Robi się coraz zimniej – powiedział. – Musiałem kupić nowy.

– A skąd wzięłeś pieniądze? – zapytał strażnik.

Sprawdził obojętnie wózek wypełniony polanami na opał i machnięciem ręki przepuścił go dalej.

Halt uśmiechnął się chytrze.

– Tamtego dnia postawiłem na dziewczynę – wyjął.

Żołnierz się roześmiał.

– Miałeś szczęście! – stwierdził. – Żałuję, że nie zrobiłem tego samego, ale kto mógł wiedzieć, że ona jest taka dobra? Szkoda, że zostanie powieszona – dodał obojętnym tonem człowieka, któremu nie robiło to większej różnicy. – No to wchodź, staruszk. – Wskazał kciukiem wewnętrzną bramę.

Halt znowu skłonił głowę i poczłapał na dziedziniec. Przesunął wzrokiem po potężnej bryle donżonu, która z powodu płaskiego dachu wydawała się przyciężka w zestawieniu z wysmukłymi wieżami zamkowymi.

– Teraz pozostaje czekać do nocy – powiedział do siebie.



18

Halt spędził większość dnia w porośniętej trawą części wypoczynkowej za donżonem. Wykorzystał swoje przebranie – siedział na kamiennej ławie pochylony i owinięty peleryną, a przed sobą ustawił na ziemi miseczkę żebraczą. Od czasu do czasu ktoś z przechodzących wrzucał do niej monetę albo dwie. Halt pochylał wtedy głowę i dotykał palcami czoła w geście podziękowania.

– Niech niebiosa ci błogosławią, panie – mówił jęklwym, starczym głosem. – Bogowie odpłacają tym, którzy są hojni.

Poza okazjonalną jałmużną nikt nie zwracał na niego niepożądaną uwagę. W połowie dnia kilkoro sprzedawców ze straganów przyniosło mu trochę jedzenia, a on podziękował im podobnymi słowami. Stał się już codziennym elementem pejzażu i był praktycznie niewidzialny – z całą pewnością nie zasługiwał na to, żeby go zauważać lub komentować jego obecność.

Późniejszym popołudniem wstał i przeniósł się w nowe miejsce na tyłach donżonu, w pobliżu wieży północno-wschodniej. Kiedy zniżające się do zachodu słońce zniknęło z dziedzińca, zasłonięte wieżami i murem kurtynowym, ludzie odwiedzający zamek ruszyli do wyjścia. Kupcy, widząc, że ruch się zmniejsza, pakowali swoje rzeczy, przygotowując się do zamknięcia straganów na noc.

Wieśniacy, którzy napłynęli do zamku w ciągu dnia, zaczęli kierować się wzdłuż wschodniej ściany donżonu do głównej bramy. Halt dołączył do nich, dotrzymując kroku idącym, ale zmierzając

bardziej w bok, bliżej zamkowego muru. Podobnie jak wcześniej nikt nie zwracał na niego uwagi. Człapał spokojnie, a jego kostur miarowo uderzał o płaskie kamienie, którymi był wybrukowany dziedziniec.

Stajnia znajdowała się po wschodniej stronie zamku, na wysokości ściany frontowej donżonu. Kiedy Halt tam podszedł, rozejrzał się ostrożnie, ale nikt na niego nie patrzył. Powoli odłączył się od tłumu i przykląkł, poprawiając wiązanie na jednym bucie. Na to także nikt nie zwrócił uwagi ani nawet nie zapytał go, co robi.

Kilka metrów dalej, po drugiej stronie strumienia ludzi, jeden z robotników potknął się o pękniętą płytę i upuścił swoje przybory – łopatę, łom i kilka młotków różnej wielkości. Narzędzia poleciały na bruk i z brzękiem odbiły się od kamieni. Najbliżsi sąsiedzi nieszczęśnika odskoczyli pospiesznie, a reszta obecnych zatrzymała się, żeby spojrzeć w stronę źródła tego hałasu.

Halt uznał, że to dar niebios. Szybko upewnił się, że nikt na niego nie patrzy, wstał i wślizgnął się przez wielkie, podwójne wrota do stajni, dziękując w duchu wszystkim bogom, że nie były zaryglowane.

Kiedy znalazł się w środku, zamknął wejście i oparł się o nie plecami, żeby się rozejrzeć.

Wnętrze stajni było pogrążone w półmroku, a w powietrzu unosił się zapach siana, koni i świeżego nawozu. Nigdzie nie było widać niezyczliwego stajennego. Halt zakładał, że mężczyzna jest gdzieś na piętrze lub może poszedł do donżonu, żeby się czegoś napić albo zjeść popołudniowy posiłek. Raczej napić – Halt obserwował stajennego od jakiegoś tygodnia i znał już dobrze jego przyzwyczajenia.

W stajni była zajęta mniej więcej połowa boksów, co ucieszyło Halta, ponieważ sprzyjało to jego planowi. Ponad drzwiami przegród wysunął się jakiś tuzin końskich łbów, które obserwowały zwiadowcę wielkimi brązowymi oczami. Wiedział, że konie są z natury niezwykle ciekawskie. Na końcu wewnętrznego rzędu zobaczył dwa kosmate koniki wyglądające z jednego boksu. Przeszedł bezgłośnie wzdłuż szeregu przyglądających mu się zwierząt i zbliżył się do Zderzaka i Wyrwija. Koniki poznały go i zamachały łbami, żeby się

z nim przywitać. Ponieważ były wierzchowcami zwiadowców, nie wydały żadnego dźwięku. Tak zostały nauczone.

– Cześć, chłopcy – powiedział Halt cicho i pogładził je po miękkich nosach.

Ponieważ sam się odezwał, konie odpowiedziały mu powitalnymi chrapnięciami, także stłumionymi i dyskretnymi.

Na zewnątrz dzwon przy bramie uderzył cztery razy, dając sygnał, że ci, którzy nie mieszkają w zamku, muszą go teraz opuścić. Tłum zbierający się koło wyjścia na pewno już zgęstniał – wszyscy chcieli jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz, wrócić do domów i napić się czegoś ciepłego przy kominku. Z wcześniejszych obserwacji Halt wiedział, że strażnicy niemal nie poświęcali uwagi wychodzącym. Byli bardziej skoncentrowani na sprawdzaniu ludzi, którzy chcieli wejść na teren zamku, niż tych, którzy go opuszczali.

Zwiadowca podniósł skobel w drzwiach boksu i wszedł do środka, przeciskając się między kosmatymi końmi do przeciwległej ściany. Sprawdził poidło i żłób, ale na szczęście zostały niedawno napełnione. Zwiadowca skinął głową z satysfakcją. To oznaczało, że raczej nie zostanie zaskoczony przez chłopca stajennego lub samego koniuszego.

Ściągnął płaszcz, odwiązał niesioną paczkę i odczepił kołczan. Potem zdjął z ramion zwój liny i położył go wraz z resztą sprzętu pod ścianą. Obok oparł łuk, nadal zamaskowany jako kostur, i ponownie włożył pelerynę. Przesunął butem słomę, tworząc pryzmę, i zagrzebał się w niej, plecami do ściany. Owinął się płaszczem, a naciągnięty na głowę kaptur pozwolił ukryć jego twarz w cieniu. Oba konie obróciły łby i przyglądały mu się z ciekawością. Uśmiechnął się do nich.

– Pilnuj – powiedział cicho.

To było polecenie, dzięki któremu zwierzęta ostrzegłyby go, gdyby ktokolwiek zbliżał się do boksu. Kiedy siedział w tym miejscu, owinięty zieloną peleryną i zasłonięty przez dwa konie, był praktycznie niewidoczny dla kogoś, kto przechodziłby na zewnątrz, ale musiał być ostrożny. Westchnął, poprawił się odrobinę, żeby usiąść wygodniej, i zamknął oczy.

Pomyślał, że skoro nadarza się okazja, może się równie dobrze zdrzemnąć. Czekająca go pracowita noc.



Konie obudziły go parę godzin później. Ich przyciszone, ostrzegawcze rzenie sprawiło, że Halt momentalnie oprzytomniał. Słyszał, że ktoś chodzi po stajni. Zalśniło światło, które zaraz przygasło i zaczęło świecić równym blaskiem, kiedy przybysz zapalił lampę i przyciął knot. To samo powtórzyło się w kilku innych miejscach, dzięki czemu wewnątrz było teraz częściowo oświetlone. Halt domyślił się, że to jeden z wieczornych obowiązków stajennego. Zobaczył cień na ścianie, gdy mężczyzna przeszedł między nim a jedną z lamp. Potem po drugiej stronie stajni trzasnęły drzwi i wszystko znowu ucichło.

– Dobre koniki – pochwalił Halt Wyrwija i Zderzaka. – Spokojnie.

Z dziedzińca przed stajnią dobiegały przytłumione kroki i głosy, więc zwiadowca się domyślił, że pora jest jeszcze stosunkowo wczesna. Jego przypuszczenia potwierdziły się kilka minut później, gdy dzwon przy bramie zamku zabrzmiał siedem razy.

– Jeszcze dwie godziny – mruknął do siebie.

Postanowił, że nawiąże kontakt z więźniami około dziewiątej. Mieszkańcy zamku będą jeszcze zajęci wieczornym posiłkiem lub rozmowami w sali wspólnej, co znacznie zmniejszało ryzyko napotkania kogoś na schodach donżonu. Nie chciał odkładać swoich planów zbyt długo, ponieważ musiał zdążyć, zanim Will i Maddie się położą, żeby dźwięk ich głosów nie zaalarmował wartowników na korytarzu.

Halt usiadł spokojnie i zaczął czekać. Podobnie jak wiele innych rzeczy, podczas szkolenia wpajano zwiadowcom umiejętność cierpliwego trwania w bezruchu.

Czas mijał, a dzwon nad wartownią odmierzał jego powolny upływ. Kiedy wybił dziewiątą, zwiadowca wstał i zebrał swój ekwipunek, ponownie ukrywając paczkę, kołczan i zwój liny pod płaszczem. Wziął łuk, poklepał znowu oba konie, wyszedł z boksu i skierował się do wielkich wrót prowadzących na dziedziniec.

Uchylił skrzydło bramy na jakiś metr i wyjrzał przez szparę na dziedziniec. Rozejrzał się na boki, a potem popatrzył wyżej na przejście po wewnętrznej stronie murów. Na drugim końcu dziedzińca zobaczył kilka osób, a na obwarowaniach czuwających

wartowników, którzy stali tyłem do głównego placu. Ich zadaniem było wypatrywanie niebezpieczeństwa na zewnątrz, a nie wewnątrz zamku.

Halt wysunął się przez szparę, zamknął za sobą wrota i ruszył spokojnym krokiem w kierunku wejścia do donżonu. Nie musiał biec ani starać się pozostać niezauważonym. O tej porze człowiek idący przez dziedziniec nie był podejrzanym widokiem. Nawet jeśli ktoś by go dostrzegł, nie miał powodów podnosić alarmu.

Mimo to zachowanie obojętności było trudne, kiedy nerwy Halta przypominały naciągnięte struny skrzypiec. Podszedł do drzwi donżonu, rozejrzał się, a potem otworzył je, wszedł do środka i zamknął za sobą. Hol wejściowy był pusty, więc Halt wypuścił z ulgą wstrzymywany oddech i na kilka sekund wsparł się o wrota, żeby rozluźnić mięśnie.

Sala jadalna dla niższej rangą służby zamkowej znajdowała się po lewej stronie i dobiegał z niej przytłumiony gwar rozmów. Kilkoro posługaczy kuchennych przeszło przez hol, niosąc z kuchni tace i dzbany. Nikt nie zwrócił uwagi na zwiadowcę. Halt odczekał, aż znikną mu z oczu, a potem przemieścił się szybko do schodów. Buty o miękkich podeszwach sprawiły, że poruszał się niemal bezgłośnie.

Na piętrze minął drzwi gabinetu Lassigny'ego i skierował się do spiralnych schodów w jednym z rogów donżonu.

Tutaj także nikt się nim nie zainteresował, więc z kolejnym westchnieniem ulgi wszedł na słabo oświetlone stopnie i ruszył w górę.

Dotarł na najwyższy poziom, nie spotkawszy nikogo po drodze. Rozejrzał się po sali, w której się znalazł. Górne piętro donżonu nie było podzielone na mniejsze pomieszczenia i najwyraźniej służyło za zbrojownię. Pod ścianami przechowywano broń, tarcze i zbroje. Na środku stały długie stoły, na których można było ostrzyć miecze i groty włóczni lub naprawiać kolczugi. Za stołami drewniana drabina prowadziła do kłapy, przez którą dawało się wyjść na płaski dach.

Halt wspiął się zwinnie po szczeblach. Pokrywy nie zaryglowano, co było w pełni zrozumiałe. Z góry można było w razie potrzeby odpierać ataki nieprzyjaciela, a w trakcie walki nikt nie miałby głowy do poszukiwania klucza. Zwiadowca uniósł kłapę, przytrzymując ją,

żeby po otwarciu nie upadła z łoskotem w drugą stronę, i wyszedł na zewnątrz.

Starannie zamknął za sobą pokrywę, a potem, pochylony, podbiegł do otaczającej dach balustrady naprzeciwko wieży północno-zachodniej. Popatrzył w najwyższe okna znajdujące się jakieś osiem albo dziewięć metrów ponad szczytem donżonu. Jedno z nich było oświetlone od środka ciepłym, żółtawym blaskiem latarni. Halt uśmiechnął się ponuro do siebie. Will i Maddie jeszcze nie spali.

Ściągnął z siebie płaszcz i zaczął przygotowywać przyniesiony ekwipunek.





19

Will i Maddie siedzieli naprzeciwko siebie przy stole. Na blacie Will naszkicował kawałkiem węgla planszę do gry w szachy, a figury zrobili z kawałków pergaminu z narysowanymi na nich symbolami. Spędzali teraz całe dni w wieży, bez możliwości wychodzenia na spacer, więc godziny ciągnęły się im w nieskończoność i potrzebowali czegoś, czym mogliby zabić czas. Maddie, która znała tę grę od dziecka, nauczyła Willa zasad i wytłumaczyła, jak zrobić szachownicę i figury. Teraz czuła się lekko poirytowana tym, w jakim tempie stał się od niej lepszy. Kiedy grali, Will wygrywał większość partii.

Wszystko wskazywało na to, że tym razem znowu mu się uda. Maddie straciła większość najważniejszych figur – pozostali jej hetman, król i jedna wieża. Will ze swojej strony stracił skoczka i gońca. Reszta jego figur tłoczyła się wokół figur Maddie, zagrażając jej królowi.

Maddie oparła podbródek na dłoniach i przyjrzała się szachownicy, szukając jakiegoś wyjścia z tej trudnej sytuacji. Powoli zaczęła rozumieć, że jej hetman został unieruchomiony przez jedną z wież Willa. Jeśli go przesunie, odsłoni króla, co nie było dozwolone. Musiała zbić wieżę hetmanem, a wtedy pozostały jeszcze Willowi goniec pilnujący wieży zbije jej hetmana – to była całkowicie niesatysfakcjonująca i nierówna wymiana. Hetman był o wiele cenniejszy od wieży.

Maddie westchnęła głęboko z frustracji, a jej oddech podniósł kawałeczki pergaminu i rozsypał je po stole.

Will spojrział na nią pytająco.

– Rozumiem, że się poddajesz?

Maddie rozłożyła ręce w przeproszającym geście.

– Wybacz, nie chciałam tego zrobić – zapewniła.

Will uniósł jedną brew w irytujący sposób, którego Maddie nie potrafiła naśladować – i możliwe, że właśnie dlatego ją to irytowało.

– Oczywiście, że nie – potwierdził głosem przesiąkniętym niedowierzaniem.

– Nie! Naprawdę, ja...

ŁUP!

Coś uderzyło od zewnątrz w ścianę koło okna, wbiło się w jego drewnianą ramę i zawibrowało. Will i Maddie zerwali się na równe nogi i spojrzeli szybko najpierw w tamtym kierunku, a potem na drzwi, żeby sprawdzić, czy strażnicy coś usłyszeli.

Wartownicy na korytarzu nie zareagowali. Najwidoczniej grube wrota wystarczały, żeby stłumić ten dźwięk. Maddie i Will wymienili spojrzenia, wstali od stołu i podeszli prędko do okna. Maddie podniosła skobelek i uchyliła je, żeby oboje mogli wyjrzeć na zewnątrz.

W drewnianej ramie tkwiła długa, czarna strzała. Will zmarszczył czoło, przyglądając się lotce: dwa piórka czarne i jedno białe. Uniósł z niedowierzaniem brwi, ale zaraz uśmiechnął się radośnie.

– To strzała Halta! – powiedział.

– Halt! – Maddie uderzyła się dłonią w czoło z głośnym plaśnięciem. – No jasne! Wiedziałam, że ten żebrak wydaje mi się znajomy!

Will spojrział na nią zainteresowany.

– Żebrak? Ten, o którym wcześniej wspominałaś?

Maddie skinęła głową.

– Miał długie, potargane, siwe włosy i brodę i nosił pelerynę w niebiesko-białe pasy. Wiedziałam, że skądś go znam!

Will chciał jej odpowiedzieć, ale coś odwróciło jego uwagę. Strzałą szarpnęło kilka razy – był do niej przywiązany cienki sznurek, który zniknął gdzieś w dole w ciemności.

Maddie wskazała na niego.

– Spróbuj to wciągnąć – powiedziała.

Will złapał linkę i zaczął ją ostrożnie zwijać. Kiedy się naprężyła, zwiadowca zobaczył, że biegnie ona na dach donżonu, znajdującego się poniżej ich okna, w odległości jakichś czterdziestu metrów. Na krawędzi dachu, za niską balustradą, zarysowywała się ledwie widoczna ciemna sylwetka.

Po kilku chwilach Will poczuł, że na sznurku pojawiło się jakieś obciążenie. Zwijał go dalej, uważając, żeby nie naprężyć go nadmiernie, i w końcu w rękach zwiadowcy znalazła się grubsza, solidna lina. Przymocowany do niej został dziwny drewniany przedmiot wyglądający bardziej na kubek niż na cokolwiek innego.

Maddie zmarszczyła brwi.

– Co to takiego?

Will uśmiechnął się do niej szeroko i ostrożnie odwiązał cylinder.

– To coś, co Halt zobaczył wiele lat temu, kiedy byłem jeszcze uczniem – wyjaśnił. – Bawiliśmy się tym przez kilka dni, próbując znaleźć jakieś praktyczne zastosowanie. Jak widzę, w końcu mu się to udało. – Pokręcił głową i roześmiał się cicho.

Maddie przestąpiła z nogi na nogę, prawie podskakując z niecierpliwości.

– Ale co to takiego?

Will przymocował linę do jednego z łóżek, a cienki sznurek ostrożnie odwiązał i przeciągnął go przez dziurkę w podstawie cylindra. Dopiero teraz Maddie zobaczyła, że znajduje się tam naciągnięta błona. Will zawiązał supełek na końcu sznurka, żeby go umocować, a potem podniósł kubek do ust i starannie napiął linkę.

– Halt? – powiedział do przedmiotu. – Czy to ty?

Maddie, całkowicie zaintrygowana, zobaczyła, że Will szarpie sznurek jeden raz, a po chwili szybko przesuwając cylinder do ucha i zaczyna uważnie nasłuchiwać. Wewnątrz urządzenia usłyszała skrzeczący głos. Był zbyt cichy, żeby udało jej się odróżnić słowa, ale uśmiech towarzysza zdradził, że zwiadowca trafnie domyślił się tożsamości swojego rozmówcy. Will popatrzył na nią.

– To on! – oznajmił triumfalnie.

– Co to jest za wynalazek? – zapytała Maddie, wręcz wyłaząc ze skóry z ciekawości.

Will podniósł znowu kubek do ust i odezwał się do niego powoli.

– Halt? Zaczekaj sekundę.

Po chwili sznurek zawibrował, jakby ktoś szarpnął go na drugim końcu. Will odwrócił się do Maddie i zaczął tłumaczyć.

– To coś, co pozwala rozmawiać na odległość – oznajmił. – Halt zobaczył to w Toscano wiele lat temu. To tylko dziecięca zabawka, ale on uznał, że mogłaby być użyteczna. Kiedy sznurek zostaje napięty, przenosi wibracje dźwięku, a naciągnięta błona na końcu przejmuje te drgania i wzmacnia je, tak że słyszysz głos osoby po drugiej stronie. To naprawdę zadziwiające. Kiedy chcemy coś powiedzieć lub dać znak rozmówcy, że może mówić, szarpiemy sznurek jako sygnał dla niego. – Zrobił to teraz i znowu uniósł kubek do ust. – Halt? – zapytał. – Czy możesz nas stąd wydostać?

Przyłożył cylinder do ucha. Maddie znowu usłyszała cichutkie zgrzytanie głosu Halta przekazującego Willowi instrukcje. Will słuchał uważnie, a potem skinął głową, ale zdał sobie sprawę, że Halt go nie widzi, więc odpowiedział znowu do urządzenia.

– Dobrze. Rozumiem. Daj mi znać, jak będzie gotów.

Po kilku sekundach sznurek drgnął, szarpnięty z drugiej strony. Will zaczął go wciągać i poczuł, że coś zostało do niego przymocowane. Nie przerywając zwijania, zaczął tłumaczyć Maddie, czego się może spodziewać.

– Halt przesyła nam dwie uprząże, w których zjedziemy po linie. Ale mówi, że mamy poczekać, aż mieszkańcy zamku będą głęboko spali. Nawet jeśli ktoś spojrzy w górę, nie zobaczy liny na tle nieba, ale mógłby zauważyć dwie zsuwające się po niej sylwetki.

Przez parapet przesunął się koniec sznurka, do którego zostały przymocowane dwa krótsze kawałki liny. Miały pół metra długości i pętle na obu końcach. Will położył je na podłodze i spojrzał na Maddie.

– Używałaś już czegoś takiego, prawda?

Maddie skinęła głową.

– Ćwiczyłam z nimi w zeszłym roku podczas Zgromadzenia Zwiadowców – odparła.

Will zajął się poprawieniem wiązania liny wokół ramy łóżka i zadzierzgnął węzeł poślizgowy, a potem przymocował krótszą linę na końcu dłuższej.

– To dobrze – powiedział. – Teraz musimy tylko poczekać.

W takich chwilach Maddie wydawało się, że większość jej życia polega na czekaniu. Zgasili latarnię i siedzieli w ciemnościach, nasłuchując dzwonu z wartowni odmierzającego godziny. Kiedy minęła północ, poczuli znowu szarpnięcie liny. Will odpowiedział na ten sygnał, podchodząc szybko do parapetu i pociągając za sznur kilka razy. Gestem polecił Maddie sprawdzić drzwi, więc bezgłośnie przeszła przez komnatę i przyłożyła ucho do grubych desek. Nasłuchiwała przez parę sekund, a potem spojrzała na Willa i potrząsnęła głową. Nie wychwyciła na zewnątrz żadnych dźwięków. Wartownicy zmienili się godzinę temu, a obecni dwaj mieli pełnić służbę jeszcze przez trzy godziny. Do tego czasu żołnierze przysypiali pod drzwiami na krzesłach.

Halt i Will ustalili to wcześniej – uznali, że najlepiej będzie, jeśli na tym zakończą swoją rozmowę. Cylindry i sznurek wymagały od Willa głośnego mówienia, żeby vibracje przeniosły się na drugi koniec. Istniało ryzyko, że kiedy mieszkańcy zamku położą się spać, strażnicy usłyszą głos Willa i otworzą drzwi, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Will wskazał okno.

– Ty pierwsza – polecił. – Ja zjadę za tobą, kiedy znajdziesz się na dole.

Uniósł linę i położył ją na górnej framudze, żeby Maddie mogła się pod nią zmieścić. Dziewczyna podciągnęła się na parapet i usiadła z nogami zwieszonymi na zewnątrz. Wzięła krótszy kawałek liny i przełożyła go nad liną główną, a potem ujęła w dłonie obie pętle i skrzyżowała je tak, żeby móc zaciskać lub luzować uchwyt, rozchyłając lub zbliżając ręce. To pozwalało jej kontrolować prędkość podczas ześlizgiwania się po sznurze i zapobiegało rozpędzeniu się tak, że uderzyłaby bezwładnie w balustradę wokół dachu donżonu.

Maddie zacisnęła dłonie na obu pętlach i spojrzała na Willa, który ruchem głowy wskazał jej punkt docelowy.

– Ruszaj – powiedział szeptem.

Maddie zsunęła się z parapetu i zniknęła w ciemnościach nocy.



20

Maddie na ułamek sekundy poczuła przypływ paniki, kiedy lina ugięła się pod jej ciężarem, a ona sama opadła o jakiś metr. Zaraz potem sznur napiął się, zatrzymując dalszy upadek. Maddie pamiętała, że kiedy ćwiczyła podczas Zgromadzenia, to pierwsze szarpnięcie było zawsze najgorsze. Nie dało się wyzbyć obawy, że lina się w tym momencie urwie, a ona poleci ciężko w dół.

Teraz ześlizgiwała się pod kątem, a trzymane przez nią pętle szurały na nierównej powierzchni sznura. Peleryna wydeła się za jej plecami, a Maddie poczuła przypływ radości, zbliżając się coraz szybciej do donżonu.

Zdała sobie sprawę, że porusza się za szybko, więc rozsunęła trochę ręce, co sprawiło, że pętle zacisnęły się na linie i zwolniły tempo przesuwania się. Zwiększone tarcie sprawiło, że zgrzytliwy dźwięk stał się głośniejszy.

Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła ciemną sylwetkę Halt. Na balustradzie zamontowano suwnicę służącą do przemieszczania kotłów z wrzącą wodą lub olejem. Halt przywiązał linę do jej górnej części, dzięki czemu Maddie mogła się przesunąć nad metrową przeszkodą, zamiast wpaść prosto na ścianę donżonu. Jeszcze bardziej zwolniła, zaciskając pętlę na sznurze, gdy znalazła się bliżej muru. Lina zazgrzytała jeszcze głośniej.

Halt stał i czekał, żeby pomóc Maddie. Kiedy podniosła nogi, aby przekroczyć balustradę, poczuła na ramieniu mocny uścisk. Zwiadowca zatrzymał ją, gdy jej stopy znalazły oparcie na dachu.

Po chwili Maddie go objęła i zarzuciła mu ręce na szyję.

– O, Halcie, tak się cieszę, że cię widzę! Jak się tutaj znalazłeś? Skąd wiedziałeś, że mamy kłopoty?

Halt przyłożył ostrzegawczo palec do ust, a Maddie zauważyła, że z ekscytacji odezwała się donośniej, niż jej się wydawało. Pochyliła przeproszająco głowę, a Halt nachylił się do niej i wyszeptał:

– Za minutę wszystko wyjaśnię. Najpierw ściągnijmy tu Willa.

Lekko zawstydzona Maddie skinęła głową i cofnęła się, a Halt szarpnął linę trzy razy, dając Willowi znak, że czeka na niego.



Na górze w wieży Will odebrał sygnał. Wcześniej omówili z Haltem ten etap ucieczki. Odwiązał linę od ramy łóżka i zawiązał ją z powrotem węzłem poślizgowym, który szarpnął z całej siły, żeby mieć pewność, że się utrzyma. Następnie cienkim sznurkiem, którego używali do rozmowy za pomocą cylindrów, obwiązał luźny koniec grubszej liny. Kiedy pociągnie za sznurek, węzeł się rozluźni, a lina da się ściągnąć. Wtedy będą mogli zwinąć ją na dach donżonu, żeby nie zdradziła, którądy uciekli.

Zebrał sznurek, upewniając się, że nie ma na nim żadnych supłów, wyrzucił go przez okno, tak że zwisał nad dziedzińcem, a potem przywiązał jego koniec do swojego pasa. Następnie wziął pętlę i usiadł na parapecie, owijając krótszą linę wokół dłuższej tak samo, jak wcześniej zrobiła to Maddie.

Rozejrzał się jeszcze raz po komnacie.

– Solidny, stary Halt – mruknął do siebie z uśmiechem i odepchnął się z parapetu.

Tak jak Maddie poleciał kawałek w dół, zanim zatrzymał go napięty sznur.

Zaczął się zsuwać, kontrolując swoją prędkość za pomocą pętli. Dłuższa lina została natłuszczona, żeby ułatwić zjeżdżanie po niej, ale tarcie spowodowane jego większym ciężarem sprawiło, że tłuszcz zaczął dosłownie dymić pod wpływem gorąca.

Za nim z ciemności wyłaniał się cienki sznurek. Kiedy Will przeskoczył z pomocą Halta przez balustradę, linka ciągnęła się za

nim długą, luźną pętlą, której koniec zniknął w oknie północno-zachodniej wieży.

Will zachwiał się, stając na dachu donżonu, ale pewna ręka Halta pomogła mu szybko odzyskać równowagę. Objął swojego mentora i poklepał go po plecach.

– Jak się...

Halt natychmiast go uciszył rozzłoszczonym szeptem:

– Później będzie na to czas. Ściągnij tę linę.

Will skinął głową i odwiązał koniec sznurka od paska. Kiedy za niego pociągnął, wyczuł opór, ponieważ węzeł poślizgowy został mocno zaciśnięty. Will powoli zwiększał siłę i po chwili poczuł, że sznurek wiotczeje w jego dłoni, co oznaczało, że wiązanie w komnacie na wieży w końcu puściło. Ciężka lina opadła, a Halt zaczął ją wciągać i zawijać sobie na ramionach.

– Gotowi? – zapytał, a dwoje jego towarzyszy skinęło głowami. – No to za mną.

Zebrał swój ekwipunek i skierował się do klapy w dachu, przez którą można było zejść na najwyższe piętro donżonu. Maddie trzymała się tuż za nim, a Will szedł ostatni i zamknął za sobą pokrywę. Ważną częścią planu ucieczki było niepozostawienie śladów wskazujących na to, jakiego sposobu użyli. Kiedy zeszli już po drabinie do ogromnej, pustej zbrojowni, Will położył rękę na ramieniu Halta, żeby go zatrzymać.

– Dokąd idziemy? – zapytał półgłosem.

– Do stajni – odparł Halt równie cicho, a Will poczuł przyływ ulgi.

Obawiał się, że będą musieli zostawić tutaj Wyrwija i Zderzaka.

Halt mówił dalej:

– Zaczekamy do świtu, a potem uciekniecie. Ja odwrócę ich uwagę, żeby wam się udało.

Poprowadził ich do spiralnych schodów w rogu, którymi ruszyli w dół. Ich buty na miękkich podszewkach stąpały bezgłośnie po kamieniach. Stopnie skończyły się na pierwszym piętrze, a Halt wskazał szerokie zejście główne i chciał do niego podejść, ale Will znowu go zatrzymał.

– Chwileczkę – powiedział.

Znajdowali się pod gabinetem Lassigny'ego, tuż przy wielkich schodach. Ta zwłoka sprawiła, że Halt zmarszczył brwi z irytacją, ale Will podszedł prędko do drzwi i je otworzył. Wiedział, że w środku nocy nikogo tam nie zastanie.

Gabinet był pogrążony w ciemności, ale Will pamiętał rozkład wnętrza, więc szybko ominął biurko i podszedł do przeciwległej ściany. Zgodnie z jego oczekiwaniami nadal stał tam futerał na broń. Will zsunął skórzane wieczko i włożył dłoń do środka. Wymacał oba łuki – ten należący do Maddie odłożono tu po jej pojedynku z Armandem. Przewiesił sobie futerał przez ramię i wyszedł na korytarz, gdzie czekali na niego Maddie i Halt, ten drugi wyraźnie zniecierpliwiony.

– Raczyłeś już skończyć? – zapytał ironicznym szeptem starszy zwiadowca.

Will machnął ręką, że mogą ruszać dalej.

Zeszli cicho po schodach, zatrzymali się na dole, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu, a potem przemknęli jak trzy cienie przez pogrążony w mroku hol do głównych drzwi.

Zostały zamknięte na noc potężną drewnianą zasuwą, którą Will zdjął ostrożnie z żelaznych uchwytych po bokach i oparł o ścianę. Nie mieli możliwości odłożenia jej na miejsce, kiedy wyjdą na zewnątrz, ale ponieważ nic nie wskazywało na to, że weszli przez dach do donżonu, musieli liczyć na to, że nikt nie powiąże otwartych drzwi z ich ucieczką.

Halt gestem kazał im wyjść. Sam nie spuszczał oka ze schodów i wejścia do wielkiej sali wspólnej. Po chwili wszyscy troje kulili się pod murem na zewnątrz donżonu, ukryci w cieniu. O tak późnej porze nie mogli liczyć na to, że zdołają po prostu przejść spokojnie przez dziedziniec, tak jak zrobił to wcześniej Halt. Musieli w miarę możliwości pozostawać niezauważeni. Halt poprowadził ich pod ścianą do narożnika donżonu i zatrzymał się na krawędzi otwartej przestrzeni dziedzińca, która oddzielała ich od drzwi stajni. Wskazał mur kurtynowy i przejście, na którym znajdowali się wartownicy. Światło gwiazd pozwalało dostrzec zarys ich sylwetek, ale jak zauważył wcześniej Halt, żołnierze stali tyłem do nich, wypatrując ewentualnego wroga zbliżającego się do zamku od zewnątrz.

Stary zwiadowca gestem przywołał swoich towarzyszy bliżej i razem z nimi przykucnął w cieniu pod ścianą. Wskazał siebie, potem Maddie, a na końcu Willa.

– Ja pierwszy – powiedział bezgłośnie. – Potem Maddie, później ty.

Will i Maddie przytaknęli, więc Halt rzucił jeszcze raz okiem na blanki, odepchnął się od muru i przebiegł bezszelestnie przez dziedziniec do drzwi stajni.

Były nadal otwarte, tak jak je wcześniej zostawił. Zwiadowca pokręcił głową, wdzięczny losowi za lenistwo i niestaranność stajennego. Otworzył wrota i wślizgnął się do środka, po czym przytrzymał jedno skrzydło uchylone, tak żeby zobaczyć, jak sobie radzi Maddie.

Maddie miała właśnie wybiec spod ściany donżonu na plac, kiedy Will ją zatrzymał, kładąc dłoń na jej ramieniu. Spojrzała pytająco, a on ruchem głowy wskazał północny kraniec dziedzińca.

Dwaj patrolujący zamek strażnicy przemierzali otwartą przestrzeń między donżonem a murem zewnętrznym. W zasadzie powinni po drodze sprawdzać wszystkie drzwi i okna, ale byli całkowicie pogrążeni w przyciszonej rozmowie. Wychodzili na patrol już od pięciu dni w tym tygodniu i nigdy nie dostrzegli żadnych podejrzanych ruchów. Dlatego dzisiaj także się niczego nie spodziewali i stali się mniej uważni.

Will i Maddie owinęli się ciasno pelerynami i przykucnęli pod ścianą donżonu w cieniu rzucanym przez wieżę wartowni. Mieli naciągnięte kaptury i opuszczone głowy, a kiedy strażnicy podeszli bliżej, dwoje zwiadowców całkowicie znieruchomiało i zaczęło oddychać płyciej, żeby dodatkowo ograniczyć poruszanie i nie wydać żadnego dźwięku. Oboje wiedzieli, że w takiej sytuacji kluczowe było pozostawanie absolutnie bez ruchu.

Dwaj żołnierze minęli ich, a ukryci zwiadowcy doskonale słyszeli ich dyskusję. Potem zbrojni skręcili w prawo i przeszli przed frontowymi drzwiami donżonu, aż wreszcie zniknęli za jego rogami.

Will przysunął usta do ucha Maddie.

– Biegnij.

Maddie przemknęła przez dziedziniec jak widmo – ciemny kształt w mrokach nocy. Will odczekał i patrzył, jak drzwi się uchylają, żeby

ją wpuścić, a potem znowu przymykają. Jeszcze raz rzucił okiem na mury i pobiegł w ślady swojej uczennicy.

Jakąś minutę później wszyscy troje znajdowali się w stajni za zamkniętymi drzwiami, niewidoczni dla obserwatorów z zewnątrz. Will odetchnął z ulgą i zwrócił się do Halta.

– No dobrze – powiedział. – Zaczniemy od początku. Co, na ognie piekielne, tutaj robisz? Skąd wiedziałeś, że mamy kłopoty?

– To był pomysł Duncana – wyjaśnił Halt. – Kompletnie nie ufał Philippe’owi i podejrzewał, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, Philippe rzuci was bez namysłu na pastwę losu. Dlatego Duncan na wszelki wypadek wysłał nas jako wsparcie.

– „Nas”? – powtórzyła Maddie. – Chcesz powiedzieć, że nie jesteś sam?

Halt uśmiechnął się do niej.

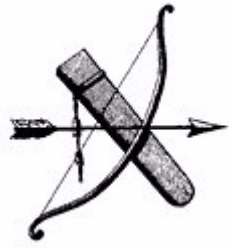
– Jest tutaj także twój ojciec – oznajmił. Maddie okręciła się na pięcie i spojrzała w ciemności stajni, więc zwiadowca wyjaśnił dokładniej: – Nie, nie dosłownie tutaj. Mieszka we wsi, udaje rycerza z Teutonii. Przyjechaliśmy kilka dni przed wami. Ja codziennie przychodziłem do zamku z miseczką żebraczą, żeby mieć na wszystko oko.

– Zauważyłam cię kilka dni temu i pomyślałam, że wydajesz mi się znajomy – przyznała Maddie. – Ale nie spodziewałam się ciebie tutaj, więc cię nie rozpoznałam.

– To jak zamierzasz... – zaczął Will, ale Halt uniósł rękę, żeby go uciszyć.

Na piętrze nad stajnią rozległo się jakieś poruszenie, a zaraz potem zobaczyli światło przesuwające się ze szczytu schodów na parter.

– To stajenny – powiedział szeptem Halt. – Najwidoczniej coś usłyszał. – Rozejrzał się szybko i zauważył, że boks tuż przy drzwiach stoi pusty. Wskazał go. – Schowajcie się tam, a ja się nim zajmę.





21

Will i Maddie ukryli się w ciemnościach w pustej zagrodzie, Halt zaś cofnął się w głąb stajni, trzymając się pod drzwiami boksów od strony schodów. Światło stawało się coraz jaśniejsze, ponieważ stajenny szedł na dół, mamrocząc pod nosem i narzekając do siebie. Latarnia kołysała się w jego dłoni i rzucała dziwne, chybotliwe cienie na wnętrze stajni.

Kiedy Halt znalazł się naprzeciwko ostatniego boksu, w którym stały Zderzak i Wyrwij, przykucnął i gestem przekazał im polecenie. Na jego znak oba konie zaczęły chrapać i rzeć nerwowo, poruszać się niespokojnie po ciasnym przedziale i kopać ciężkie drzwi.

Stajenny usłyszał zamieszanie i uznał, że to ono wyrwało go ze snu.

– Co wam się stało? – warknął. – Uspokójcie się, na litość boską!

Widać było, że przed chwilą się obudził. Boso, ubrany w długą, lnianą koszulę nocną, podszedł do boksu i uniósł latarnię wyżej, żeby oświetlić jego wnętrze i sprawdzić, czy jest tam coś, co mogło zaniepokoić zwierzęta. Być może kot albo pies zakradły się do stajni i przeraziły te dwa kosmate koniki. Kiedy stajenny zaglądał do środka, stanął plecami do Halta, który podniósł się i podszedł do niego od tyłu.

W ostatniej chwili mężczyzna wyczuł, że ktoś się za nim znajduje, i zaczął się odwracać, ale było już za późno. Twarde jak żelazo przedramię zwiadowcy zacisnęło się na jego gardle. Stajenny zdołał

jęknąć z zaskoczenia, ale wszelki dźwięk został stłumiony przez nacisk duszącej go ręki.

Mężczyzna szamotał się przez jakąś minutę, ale Halt go nie wypuścił – naciskał jego gardło coraz mocniej, odcinając dopływ powietrza do płuc. Stajenny stopniowo zaczął tracić siły, a jego ruchy stawały się coraz bardziej rozpaczliwe. W końcu osunął się na ziemię, bezwładny i nieprzytomny. Halt wyprostował się i zawołał półgłosem swoich towarzyszy.

– W porządku, nie będzie nam już sprawiać kłopotów. Chodźcie i pomóżcie mi go związać.

Maddie i Will wyłonili się z cienia. Will szybko obwiązał szmatą usta mężczyzny, żeby go zakneblować, podczas gdy Maddie przyglądała się nieruchomej sylwetce leżącej na pokrytej słomą podłodze.

– Nie podobało mi się, jak mówił do mojego konia – powiedziała. W jej głosie dzwięczała nuta satysfakcji.

– Jestem pewien, że następnym razem będzie bardziej uprzejmy – odrzekł Halt.

Z zewnątrz usłyszeli dzwon nad wartownią, który uderzył dwa razy.

– Chciałbym ruszyć stąd o szóstej – oznajmił Halt. – Może lepiej odpocznijmy trochę, dopóki to możliwe.

– Masz jakiś plan, jak nas stąd wyciągnąć, prawda? – zapytał Will.

– To znaczy, nie zamierzasz po prostu improwizować zgodnie z potrzebą chwili?

– Wyjaśnię wszystko rano – obiecał Halt. – Dość już się nagadałem jak na jedną noc. Ratowanie ludzi takich jak wy jest męczące. Muszę się przespać. – Pochylił się i chwycił stajennego za kołnierz. – A teraz pomóżcie mi zaciągnąć tę śpiącą królową do zagrody.

Will złapał bezwładnego mężczyznę za koszulę na ramionach i razem z Haltem zaniósł go do pustego boks, gdzie oparli go o drewnianą przegrodę.

Will spojrzał uważnie.

– Będzie zmarznięty, kiedy się obudzi.

– Serce mi się kraje na myśl o tym – odparł Halt, ale uległ, ściągnął derkę wiszącą na kołku z tyłu boks, i narzucił ją na

nieprzytomnego mężczyznę.

Will pociągnął nosem.

– Trochę zajężdża – skomentował.

Halt popatrzył na niego z lekką irytacją.

– On czy derka? – zapytał.

Will się uśmiechnął.

– Pewnie jedno i drugie.

Zamknęli zagrodę ze śpiącym stajennym i wrócili do boksu po przeciwnej stronie. Halt usadowił się wygodnie i owinął peleryną.

– Będziesz pełnić wartę jako pierwszy – zwrócił się do Willa, a potem spojrzał na Maddie. – Ty przejmiesz straż, kiedy dzwon wybije czwartą, i obudzisz nas o szóstej.

Zanim zdążyli zaprotestować, Halt zamknął oczy i zaczął oddychać miarowo. Will i Maddie wymienili spojrzenia. Will wzruszył ramionami. Przez długie lata pracował z Haltem i był przyzwyczajony do szorstkości starszego zwiadowcy.

– Ja będę pełnić wartę jako pierwszy – powtórzył. – Ty obudzisz nas o szóstej.



Maddie obudziła Willa i Halta, kiedy usłyszała, że dzwon nad wartownią uderzył sześć razy. Halt pogrzebał w swoim plecaku i podał im bukłak z wodą oraz kilka pasków suszonej wołowiny. Zjedli je i popili bez apetytu. Jedzenie pozwalało stłumić odczucie głodu, ale nie było to szczególnie smaczne śniadanie.

– Nie masz przypadkiem przy sobie butelki z gorącą kawą, prawda? – zapytał Will i pociągnął łyk z bukłaka.

– Oraz chrupiącego gorącego bekonu? – dodała Maddie.

Halt prychnął pogardliwie.

– Gdybym je miał, to chyba nie myślicie, że bym się z wami podzielił?

Podniósł się i przeszedł na drugą stronę do boksu, w którym leżał związany i zakneblowany stajenny. Sprawdził więzy mężczyzny, by mieć pewność, że się nie poluzowały, jak również że szmata w ustach nie uniemożliwia mu oddychania. Mężczyzna spojrzał na niego z wściekłością, więc Halt wzruszył ramionami.

– Niektórzy nie wiedzą, kiedy powinni być wdzięczni – zauważył filozoficznie.

Stajenny zabalgotał gniewnie przez knebel, ale Halt zignorował go i wrócił do boksu, w którym czekali jego towarzysze. Zobaczył, że nałożyli cięciwy na łuki i przypięli do pasa pochwy z saksami oraz kołczany. Pusty futerał na broń leżał porzucony na podłodze.

– Wszystko u niego w porządku – powiedział. – Później będziemy go musieli pewnie przenieść, żeby nie ucierpiał.

– Z jakiego powodu? – zapytała Maddie.

– Z powodu pożaru – odparł Halt.

Will uniósł brwi.

– Jakiego pożaru?

– Tego, który wywołam, żeby odwrócić uwagę mieszkańców zamku i umożliwić wam ucieczkę przez bramę. – Halt wskazał dwa czekające cierpliwie konie. – Proponuję, żebyście osiodłali Zderzaka i Wyrwija i się przygotowali.

Kiedy zdejmowali siodła i ogłowie z wieszaków, Halt zaczął na nowo owijać swój łuk korą i płótnem, żeby go zamaskować. Jednocześnie wtajemniczał Willa i Maddie w swój plan.

– Przysunę trochę wilgotnej słomy pod drzwi i podpale ją. Powinna wytworzyć dużo dymu i sprawić, że konie zaczną panikować. Kiedy dym będzie już dostatecznie gęsty, wypuszczę je z boksów i otworzę drzwi stajni. Konie wybiegną galopem na dziedziniec i, jak mam nadzieję, przebiegną przed donżonem, obok wartowni.

– A jeśli tego nie zrobią? – zapytała Maddie.

Halt spojrzał na nią.

– Zrobią, ponieważ wy dwoje będziecie jechać z tyłu i poganiać stado. Jeśli pochylicie się nisko w siodłach, nikt was nie zauważy, przynajmniej nie na tyle szybko, żeby strażnicy mieli czas zareagować i was zatrzymać. Na wysokości wartowni skróćcie w lewo i przejedźcie przez bramę. Jeśli będziecie mieć szczęście, weźmiecie gwardzistów z zaskoczenia. W tym zamieszaniu nie dostrzegą was aż do ostatniej chwili. Część z nich może nawet opuścić posterunek, żeby pomóc w zatrzymywaniu koni. W razie potrzeby staranujcie tych, którzy pozostaną w wartowni, i przejedźcie przez most zwodzony na groblę. Nie będzie nikogo, kto

mógłby was zacząć ścigać konno, więc powinniście uciec bez większego trudu. Na obrzeżach wsi będzie na was czekał Horace i to on poprowadzi was dalej.

– A co ty będziesz robić? – zapytał Will.

Halt wzruszył ramionami.

– Ja odczekam trochę i pójdę za wami.

Will zmarszczył z namysłem brwi, zastanawiając się nad tym planem.

– Wydaje się to trochę za proste – zauważył.

– Prostota jest dobra – odparł Halt. – Sprytne plany są skomplikowane, a skomplikowane plany mają nieprzyjemną tendencję iść nie tak, jak należy.

Will otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zamknął je, ponieważ zrozumiał, że Halt ma rację. Prosty plan był często najlepszy. Jeśli uda im się utrzymać konie galopujące w jednym stadzie, uwaga wszystkich będzie skupiona na nich, co umożliwi jemu i Maddie przejechanie przez bramę.

– Masz rację – przyznał, narzucił derkę na grzbiet Wyrwija i ułożył siodło w odpowiedniej pozycji.

– Jak zwykle – odparł Halt z irytującą pewnością siebie. Skierował się do wrót stajni i zaczął zgarniać na stos starą, wilgotną słomę. – Bądźcie gotowi ruszać, kiedy wam powiem – zawołał cicho.

Will spojrzał na Maddie, która osiodłała Zderzaka, kiedy on rozmawiał z Haltem. Gładziła miękki pysk swojego konia i aż za wyraźnie tłumiała uśmiech wywołany właśnie podsłuchaną rozmową.

– Znam go dwadzieścia lat dłużej od ciebie – powiedział Will. – Z nim nie wygrasz.

Maddie skinęła głową.

– Zauważyłam.

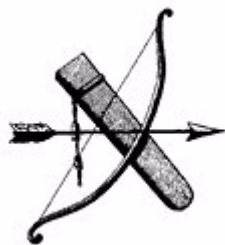
Od strony drzwi doszedł ich stukot saksy, którą Halt uderzył w krzesiwo. Ciemności przedświtu rozjaśnił snop iskier. Zwiadowca rozpałił małą garść suszu, którą umieścił pomiędzy słomą.

– Na koń – rzucił cicho Halt, kiedy stos zaczął się kopcić. Co bardziej niespokojne wierzchowce zaczęły rzeć nerwowo w swoich boksach, gdy dobiegł do nich zapach gryzącego dymu.

Will otworzył drzwi zagrody, wyszedł na zewnątrz i dał znak Wyrwijowi, żeby ruszył za nim. Maddie poczekała, aż będzie miała

wolną drogę, po czym wyprowadziła Zderzaka. Dwoje zwiadowców wskoczyło na siodła. Rzenie pozostałych koni stało się głośniejsze, ponieważ coraz gęstszy dym nasilał ich panikę. Will przewiesił łuk przez ramię i odwrócił się do Maddie.

– Nie podnoś się – polecił. – I trzymaj się blisko mnie.





22

Dym nadal gęstniał. Halt przebiegł wzdłuż boksów, otwierając drzwi i wypuszczając przerażonych lokatorów na otwartą przestrzeń pośrodku stajni. Konie głośno rżały, coraz bardziej pobudzone. Instynktownie wiedziały, że dym oznacza niebezpieczeństwo. Zbiły się ciasno pod podwójnymi wrotami, szukając drogi wyjścia z poszarzałego wnętrza. Wpadały na siebie, przepychały się, a okazjonalnie kłapały wielkimi zębiskami na innego konia, który wszedł im w drogę.

Nawet Wyrwij i Zderzak zaczęły się niepokoić przenikliwym zapachem, ale jeźdźcy uspokoili je i pilnowali, żeby nie wierciły się za bardzo.

Kiedy wewnątrz zgromadziła się gęsta chmura dymu poszukującego ujścia, Halt uznał, że to wystarczy, otworzył podwójne wrota na oścież, a potem natychmiast rzucił się w bok, żeby uniknąć koni, które wybiegły galopem na zewnątrz, ślizgając się i potykając na bruku dziedzińca.

– Pali się! – krzyknął na całe gardło. – Pożar w stajni!

Tak jak przewidywał, wierzchowce, które wydostały się ze stajni jako pierwsze, pogalopowały przed siebie, żeby jak najszybciej oddalić się od źródła dymu, i popędziły przez otwartą przestrzeń między wartownią a wejściem do donżonu. Will i Maddie dla pewności pilnowali maruderów – nisko pochyleni w siodłach, używali swoich łuków, żeby trzepnąć po zadach najbliższe konie i pogonić je naprzód. W ten sposób zwierzęta na przodzie cały czas

czuły za sobą napór swoich towarzyszy i nie miały możliwości skręcić w lewo ani w prawo.

Na dziedzińcu rozległy się okrzyki zaskoczenia. O tak wczesnej porze znajdowało się tam zaledwie kilka osób, ale ich głosy zwiększyły poziom hałasu i spotęgowały zamieszanie. Ze stajni w ślad za galopującymi końmi wypłynęła chmura duszącego dymu.

Trzech spośród strażników pilnujących bramy wybiegło na dziedziniec, aby spróbować zatrzymać rozpędzony tabun. Nie mieli jednak szans. Jeden z nich, sierżant dowodzący jednostką wartowniczą, stanął przed spanikowanymi zwierzętami i zaczął krzyczeć, machając ramionami. Jednak biegnący na czele stada czarny koń bojowy wpadł prosto na niego, potracił go barkiem i przewrócił na ziemię. Żołnierz, rozpaczliwie starając się uniknąć dudniących o ziemię kopyt, uciekł na czworakach, ślizgając się po kamieniach, w bezpieczniejsze miejsce pod murem. Dwaj jego koledzy zobaczyli, co się stało, i zatrzymali się, przyglądając się niepewnie galopującym koniom i zastanawiając, co zrobić.

Dzwon nad wartownią zabrzmiał szybkimi uderzeniami na alarm. Z donżonu i czterech narożnych wież zaczęli się wyłaniać ludzie – większość z nich świeżo obudzona i niekompletnie ubrana. Część z nich wybiegła początkowo na dziedziniec, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale kiedy zobaczyli pędzące na nich konie, zawrócili szybko i w ostatniej chwili uciekli w bezpieczne miejsce.

Kolejne głosy podchwyciły ostrzegawczy okrzyk Halta.

– Pali się! Ogień w stajni!

Panika, niepewność i zamieszanie królowały niepodzielnie. W tych pierwszych momentach nikt nie był pewien, co powinien robić. Żołnierze na murach, bezpieczni poza zasięgiem galopujących i wierzgających koni, patrzyli z góry na ten zamęt, ale nie wiedzieli, jakie działania mieliby podjąć. Woleli czekać, aż ktoś wyższy stopniem wyda im rozkazy.

W ogólnym chaosie Will i Maddie znaleźli się na wysokości zamkowej bramy. Skręcili w lewo, nadal leżąc na końskich grzbietach, i pogalopowali do wyjścia.

Kopyta Wyrwija i Zderzaka zadzwoniły na kamieniach. Dźwięk odbił się echem w ciasnej wartowni, kiedy dwa konie mknęły krótkim przejściem prowadzącym na wolność. Pozostali strażnicy, których

siły były teraz osłabione, ponieważ ich trzech koledzy wybiegli wcześniej na dziedziniec, cofnęli się, żeby zrobić przejście pędzącym wierzchowcom. Jeden ze zbrojnych, przytomniejszy od reszty, zauważył, że dwa konie niosą jeźdźców, i zrobił krok do przodu, aby ich zatrzymać. Uniósł przed sobą halabardę, zasłaniając się jej drzewcem.

Był to odważny czyn, ale niestety głupi. Wyrwij uderzył mężczyznę w bark, wytrącając mu broń i popychając go na ścianę tunelu. Na szczęście strażnik miał na sobie kolczugę i hełm, który ochronił go przed najgorszym, kiedy jego głowa uderzyła o kamienie. Oczy mu się zaszklily i osunął się półprzytomny na ziemię.

Dwa konie wypadły galopem w poranne słońce, a nieliczni ludzie, którzy postanowili przyjść do zamku o świcie, musieli uskakiwać na boki grobli, żeby uniknąć lśniących podków i umięśnionych końskich ciał. Kosze warzyw i porcje mięsa przeznaczone dla zamkowych kuchni poleciały na zakurzoną ziemię, a oba rumaki przebiegły między nimi, kierując się do wsi.

– Uciekają! – krzyknął jeden ze strażników, kiedy zdołał wstać i wybiegł za bramę, żeby spojrzeć za dwójką zbiegów.

– Kto taki ucieka? – zapytał drugi.

Pierwszy zatrzymał się niepewnie.

– Nie wiem – przyznał. Machnął ręką w kierunku dwóch oddalających się szybko koni i ich jeźdźców. – Oni. Kimkolwiek są.

Sierzant podniósł się w końcu z ziemi i przykuśtykał do wartowni, posiniaczony i oszołomiony. Był jednak doświadczonego weteranem i wiedział, że to on musi przywrócić jakiś porządek i dyscyplinę w tym porannym chaosie. Wskazał ciężką metalową kratę, którą można było zagrodzić wejście, kiedy most zwodzony był opuszczony.

– Opuśćcie ją – rozkazał. – A potem postarajcie się uspokoić te konie. – Skierował się do pomieszczenia dla wartowników, żeby wezwać stamtąd tych, którzy mogli jeszcze jakimś cudem spać.

Żołnierze rzucili się wykonać jego rozkazy. Chwycili właśnie ciężki kołowrót, który pozwalał podnosić i opuszczać kratę, kiedy do bramy wpadł kuśtykający staruszek w zielonym płaszczu.

– Chwileczkę! – krzyknął z przerażeniem. – Wypuście mnie stąd!

Strażnicy zatrzymali się, ponieważ go rozpoznali. Nie przyszło im do głowy zastanawiać się nad jego niespodziewaną obecnością.

W ogólnym zamieszaniu założyli, że zdążył wejść do zamku wcześniej, razem z pierwszymi gośćmi.

– Nic ci się nie stało, Tomkinie? – zapytał jeden z nich, wypuszczając uchwyt korby pozwalającej opuścić kratę.

– Nie stało?! Oczywiście, że się stało! – odparł Tomkin, a właściwie Halt, głosem piskliwym z powodu udawanej paniki. – Te przekłete konie omal mnie nie zabiły! Jeden nadepnął mi na nogę! Wypuście mnie stąd!

Żołnierze przepuścili go machnięciem ręki, a potem wrócili do opuszczania ciężkiej kraty, podczas gdy Tomkin pokuśtykał szybko przez most, a potem na groblę. Strażnicy zaczęli się uspokajać i wymienili uśmiechy, obserwując sylwetkę znikającą w oddali.

– Zwiewa, aż się za nim kurzy. Dosłownie – powiedział jeden z nich.

Na nieszczęście dla niego sierżant właśnie w tym momencie pojawił się z powrotem.

– Ty będziesz zwiewać, aż się będzie kurzyło, chłopcze, jeśli ta kratka zaraz nie znajdzie się na dole. I nie wypuszczajcie nikogo z zamku!

Sytuacja wewnątrz twierdzy zaczęła się powoli uspokajać. Grupa żołnierzy uzbrojonych w wiadra z wodą i mokre szmaty pobiegła walczyć z pożarem i przedarła się przez gryzący dym do wnętrza stajni. W środku przekonali się, że ogień nie wyrządził poważnych szkód. Paliła się tylko sterta słomy tuż pod drzwiami, którą udało się łatwo zgasić, wylewając na nią kilka kubłów wody.

Nadzorujący akcję gaśniczą kapral podrapał się po głowie. Dymiący stos był spiętrzony zaraz za drzwiami. Kto zdrowy na umyśle zostawiałby w takim miejscu kupę mokrej słomy? Jeden z jego ludzi, który wszedł w głąb stajni, żeby rozejrzeć się za ewentualnym zagrożeniem, zawołał go nagłym tonem.

– Panie kapralu! Proszę tu podejść i spojrzeć na to!

„Tym” był skrzepowany i zakneblowany stajenny ułożony bezpiecznie w pustym boksie i ubrany tylko w koszulę nocną. Pomogli mu się podnieść i rozcięli jego więzy. Kiedy ściągnęli mu knebel, splunął ze złością starą słomą.

– Kto to zrobił? – zapytał kapral.

Stajenny popatrzył na niego z wściekłością.

– To był ten przeklęty żebrak Tomkin! – oznajmił. – Nie pozwólcie mu uciec!

Kapral odwrócił się do jednego ze swoich ludzi.

– Biegnij do wartowni i powiedz im, żeby zatrzymali żebraka! – rozkazał.

Żołnierz skinął głową i pobiegł, pobrzękując kolczugą i niesioną bronią. Nieco zadyszany dotarł na miejsce i przekazał wiadomość od kaprała. Sierżant dowodzący strażnikami przy bramie odwrócił się i spiorunował wzrokiem dwóch swoich podwładnych.

– Przepuściliście tego starego żebraka, tak? – zapytał oskarżycielsko.

Wartownicy przestąpili niepewnie z nogi na nogę, nie odwzajemniając jego gniewnego spojrzenia.

– Nie wiedzieliśmy, sierżancie... – zaczął jeden z nich.

Drugi dodał:

– Nie było rozkazów, żeby go zatrzymać.

Sierżant pokręcił głową ze złością.

– Nie było także rozkazów, żeby go przepuścić – przypomniał.

Pierwszy ze strażników rozłożył przepraszająco ręce.

– On był przerażony, panie sierżancie – wyjaśnił. – Te konie omal go nie stratowały...

Sierżant przerwał mu w pół słowa.

– To on je wypuścił! – krzyknął, aż obaj wartownicy cofnęli się i lekko skulili. – Nic dziwnego, że był przerażony! To on wszystko zorganizował i bał się, że go złapiemy!

– Czy działał w porozumieniu z tamtą dwójką? – zapytał drugi zbrojny i natychmiast pożałował tego pytania, ponieważ sierżant odwrócił się do niego, świdrując go wzrokiem.

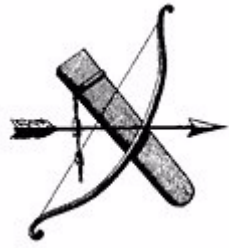
– „Tamtą dwójką”? Jaką tamtą dwójką? – zapytał gwałtownie.

Strażnik odwrócił wzrok.

– Na tych spłoszonych koniach była dwójka jeźdźców. Przegalopowali tędy i skierowali się do wsi – wyjaśnił.

Twarz sierżanta poczerwieniała z gniewu, a potem nagle pobladła, gdy mężczyzna zrozumiał, że ktoś za to zapłaci. Dwójka tajemniczych jeźdźców uciekła z zamku. A to on odpowiadał za bezpieczeństwo i kontrolę przy bramie.

– Powiedz mi o nich coś więcej – zażądał złowieszczo.





23

Osoby stojące na szczycie zamkowej hierarchii potrzebowały aż kilku godzin, żeby poukładać wydarzenia poranne i zauważyć związek pomiędzy pożarem w stajni a ucieczką dwojga więźniów z północno-zachodniej wieży.

Było to w znakomitej większości rezultatem działań dwóch sierżantów zamkowego garnizonu. Dowódca jednostki strzegącej bramy postanowił nie wspominać ani słowem o dwóch tajemniczych jeźdźcach, którzy wygalopowali z zamku i przejechali groblą, a potem skierowali się do wsi. Okazało się, że nie był to najszcześniejszy pomysł, ale początkowo wydawał się najrozsądniejszy.

Drugim sierżantem, o którym mowa, był Ramon, dowódca pododdziału oddelegowanego do pilnowania Willa i Maddie. Tak jak zwykle tuż po wpół do ósmej wszedł na wieżę, żeby sprawdzić, co robią więźniowie, a także strażnicy na korytarzu pod komnatą.

Otworzył zamek w ciężkich drzwiach i wszedł do środka. Poczł ukłucie paniki, ponieważ zobaczył, że pomieszczenie jest puste, okno szeroko otwarte, a przy nim jedno z łóżek zostało przesunięte pod ścianę.

Ramon spojrzał szybko na wartowników, żeby sprawdzić, czy na pewno ze swojego miejsca nie widzą wnętrza komnaty. Potem zamknął za sobą drzwi i zajrzał do łazienki i toalety, ale nikogo tam nie znalazł. Z szybko bijącym sercem stał przez chwilę bez ruchu i zastanawiał się, co należy teraz zrobić. Otwarte okno wydawało się

jedyną wskazówką podpowiadającą, jak więźniowie mogli stąd zniknąć, więc podszedł do niego i wychylił się, żeby popatrzeć na boki, w górę i w dół.

Nic nie zdradzało, którą drogę wybrali. Otynkowana ściana nie pozostawiała uchwyty dla rąk ani punktów podparcia dla stóp w zasięgu dostępnym z okna, ale oni jakimś cudem musieli pokonać tę przeszkodę i zejść. Ramon zauważył dziurę w drewnianej ramie w miejscu, w którym wbiła się w nią strzała Halta. Samej strzały już tu nie było – Will przed opuszczeniem komnaty w nocy wyrwał ją, połamał na kawałeczki i wrzucił do ustępu.

Ramon nie wiedział, czy ta dziura we framudze była nowa, czy znajdowała się tutaj już wcześniej. Tak czy inaczej, nie rozumiał, jaki związek mogłaby mieć ze zniknięciem więźniów. Zaczął oddychać szybciej, poddając się przypływowi paniki. To on był odpowiedzialny za tych dwoje i wiedział, że Lassigny okrutnie się na nim zemści. Chłosta była najłżejszą karą, na jaką mógł liczyć, ale widywał już wcześniej ataki wściekłości barona i wiedział, że bardzo prawdopodobne jest, że zostanie skazany na powieszenie. Na samą myśl o tym zaczął mieć trudności z przełykaniem, jakby pętla już zaciskała się na jego gardle. Przez chwilę stał nieruchomo i zastanawiał się intensywnie. W końcu podjął decyzję. Podszedł do drzwi, a kiedy je otworzył i wyszedł na zewnątrz, odezwał się głośno, jakby zwracał się do kogoś we wnętrzu komnaty.

– Baron chce się z wami znowu zobaczyć. Bądźcie gotowi zaraz po jedzeniu.

Zamknął szybko drzwi, zanim strażnicy zauważyli, że nikt mu nie odpowiedział. Potem odwrócił się do żołnierzy.

– Nie jesteście już tu potrzebni – powiedział. – Możecie sobie dzisiaj zrobić wolne.

Wartownicy przyjęli tę wiadomość z zadowoleniem, zebrali swoje rzeczy i zbiegli po schodach. Ramon słuchał dudnienia ich ciężkich butów na kamieniach, aż w końcu ucichło w oddali. Odetchnął kilka razy głęboko, żeby uspokoić napięte nerwy, a potem, znacznie wolniej niż zbrojni, ruszył ich śladem.

Jego kwatery znajdowała się na drugim piętrze wieży – dzielił komnatę z dwoma innymi sierżantami, ale żadnego z nich nie było, kiedy wszedł do środka. Zdjął plecak wiszący na kołku przy łóżku

i pospiesznie wepchnął do niego ubranie na zmianę i nieliczne rzeczy osobiste. Ściągnął pelerynę z herbem, która zaświadczała, że jest członkiem zamkowego garnizonu, i zawiesił ją na ścianie. Potem założył pospolicie wyglądającą kurtkę, zarzucił na siebie brązowy płaszcz i naciągnął kaptur. W końcu przypiął pochwę z mieczem – zabrał także noszony stale ciężki sztylet – rozejrzał się po komnacie, otworzył drzwi i wyszedł.

Przeszedł przez dziedziniec do wartowni, starając się nie rzucać w oczy. Robił, co mógł, by nikt nie odniósł wrażenia, że się spieszy.

Krata w bramie została już podniesiona – wartownicy otworzyli ją, ponieważ nie było sensu trzymać jej dłużej opuszczonej. Ich dowódca schował się w swoim pokoju przy wartowni, bo doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, nie pokazując się nikomu na oczy tak długo, jak to możliwe. Jeden ze strażników rozpoznał Ramona i przywitał się z nim.

– Nie masz dzisiaj służby? – zapytał.

Ramon zmusił się, żeby się uśmiechnąć.

– Dostałem dzień wolny – powiedział. – Idę do tawerny.

Żołnierz pokręcił głową z zazdrością.

– Masz szczęście.

Ramon potaknął i ruszył mostem zwodzonym na groblę. Na plecach czuł ciarki, a wszystkie mięśnie miał napięte, bo czekał, aż z tyłu rozlegnie się okrzyk nakazujący mu wracać. Minął połowę przeprawy i uznał, że nawet gdyby usłyszał taki rozkaz, rzuciłby się po prostu do ucieczki.

Ale nikt nie wołał za nim z wartowni, więc Ramon po chwili znalazł się na grobli. Przyspieszył kroku, kierując się do wsi, a potem ruszył gościńcem, byle dalej od Falaise. Był doświadczonym żołnierzem i wiedział, że bez trudu zaciągnie się na służbę w innym zamku, w innej baronii. Nie będzie mógł zapewne liczyć na stopień oficerski, a żołd na pewno dostanie niższy. Ale nie będzie musiał już znosić sarkastycznych uwag Lassigny’ego oraz być świadkiem okrucieństwa, z jakim baron traktował tych, którzy go rozgniewali.

Ramon doskonale wiedział, że jednym z nich na pewno byłby człowiek, który pozwolił uciec Aralueńczykom.



Pół godziny później dwóch posługaczy kuchennych, którzy przynieśli Willowi i Maddie śniadanie, zastało pusty korytarz i zaryglowane drzwi do komnaty zwiadowców. Nie było sensu pukać, ponieważ więźniowie i tak nie mogliby im otworzyć. Służący wzruszyli ramionami i narzekając między sobą, zabrali posiłek z powrotem do kuchni.

Kiedy kucharz ich zobaczył, zapytał, co się stało, i wysłuchał wyjaśnień. Zmarszczył czoło, zdjął fartuch i wysoką czapkę, a potem poszedł na górę, żeby poszukać seneszała Lassigny'ego. Zastał go w gabinecie barona omawiającego z Lassignym miesięczne wydatki.

– Proszę o wybaczenie, milordzie – powiedział, kiedy już zapukał i wszedł do środka. – Muszę porozmawiać z seneszalem.

Jako doskonały kucharz nie obawiał się, że baron może być poirytowany tym, że mu się przeszkadza. Wiedział, że jego talenty kulinarne chronią go przed wybuchami irracjonalnej złości, z których władca był znany. Lassigny, nie odrywając wzroku od tabelek z liczbami, machnął obojętnie ręką, dając mu znać, że może mówić.

– Sir Gastonie, chciałbym się dowiedzieć, czy zmieniły się rozkazy dotyczące karmienia więźniów?

To pytanie sprawiło, że Lassigny gwałtownie podniósł głowę. Zakładał, że szef kuchni przyszedł zapytać o coś związanego z zaopatrzeniem spiżarni lub porami posiłków. Teraz nagle zainteresował się tą sprawą.

– Więźniowie? – zapytał ostro. – A o co chodzi?

Kucharz wzruszył ramionami.

– Kiedy moi posługacze zanieśli im śniadanie, nie zastali wartowników na korytarzu, a drzwi były zamknięte na klucz. Czy mamy ich już nie karmić? Jeśli tak, trzeba było mi powiedzieć. Nie mam czasu, żeby...

Lassigny wyskoczył zza biurka, odepchnął kucharza i rzucił się do drzwi, a seneszał deptał mu po piętach. Obaj mężczyźni zbiegli po schodach na parter i wypadli na dziedziniec, gdzie skierowali się w prawo, do wieży północno-zachodniej.

Zgodnie ze słowami kucharza zastali korytarz pusty, a drzwi zaryglowane. Sir Gaston miał do nich klucz, więc od razu je

otworzyli i weszli do środka. Wystarczyło kilka sekund, żeby stwierdzić, że więźniowie zniknęli.

Lassigny zmełł przekleństwo.

– Znajdź mi Ramona – polecił seneszalowi, który pospieszył wykonać rozkaz.

Lassigny zbiegł po schodach i szybkim krokiem pomaszerował do wartowni, żeby przepytać strażników przy bramie. Żołnierze stanęli na baczność, kiedy baron wpadł do krótkiego przejścia łączącego dziedziniec z mostem zwodzonym. Wymienili niespokojne spojrzenia.

– Gdzie wasz sierżant? – zapytał baron gwałtownie.

Jeden z nich wskazał pokój przy wartowni.

– On...

Rozwścieczony baron nie pozwolił mu dokończyć.

– Dawaj go tutaj! Natychmiast! – ryknął, a żołnierz, potykając się w pośpiechu, prawie pobiegł do drzwi pomieszczenia, żeby wezwać swojego dowódcę.

Sierżant stanął przed baronem, nie patrząc mu w oczy. Widać było, że Lassigny jest wściekły, a to nigdy nie wróżyło dobrze jego podwładnym. Sierżant, jękając się nerwowo, zdał raport z pożaru w stajni i ucieczki spłoszonych koni. Podkreślił, że zagrożenie nie było poważne, a ogień został szybko ugaszony.

– To wszystko? – zapytał Lassigny. – Nie widzieliście dwóch więźniów, którzy uciekli?

– Nie, milordzie – skłamał sierżant.

Jednak jeden z jego podwładnych zaprzeczył, ponieważ chciał mu pomóc.

– Nie pamięta pan, sierżancie, jak przez bramę wyjechało dwóch jeźdźców? Znajdowali się na tyłach tego stada galopujących koni.

Gdyby wzrok mógł zabijać, spojrzenie sierżanta spopieliłoby żołnierza na miejscu. Z kolei Lassigny ze zwodniczym spokojem popatrzył na sierżanta, który zaczął teraz się obficie pocić ze zdenerwowania.

– Dwóch jeźdźców wyjechało przez bramę? – powtórzył. – Jak wyglądali?

– Ja... no... Ja nie... Ja ich nie widziałem, milordzie – zdołał wyjąkać sierżant.

W tym momencie pojawił się sir Gaston, lekko zadyszany, ponieważ przed chwilą przeszukiwał pokój sierżanta Ramona w północno-zachodniej wieży, a potem kwatery reszty garnizonu w donżonie.

– Nie ma śladu po Ramonie, milordzie – oznajmił.

Lassigny odwrócił się do niego, znowu gotując się z wściekłości.

– Jak to nie ma śladu?! Musi gdzieś być! Znajdź go! Przeszukaj cały zamek! Natychmiast! – krzyknął.

Sir Gaston nie ruszył się z miejsca. Przeszukanie całego zamku w celu znalezienia jednego człowieka zajęłoby wiele godzin, a baron o tym wiedział. Strażnik, który chciał być pomocny, odezwał się znowu:

– Yyy... sierżant Ramon pół godziny temu opuścił zamek – powiedział drżącym głosem.

To była kropla, która przepełniła czarę goryczy. Lassigny zdał sobie sprawę, że Ramon wymknął się z zamku, ponieważ nie zdołał zapobiec ucieczce więźniów. Baron spojrzał rozsierdzony na sir Gastona i poruszył niemo wargami, tłumiąc pełną furii odpowiedź. Chciał na kimś odreagować swoją złość, ale wiedział, że seneszał jest dla niego zbyt cenny.

– Wyślij za nimi ludzi – nakazał. – Do zamku prowadzi tylko jeden gościniec, więc muszą być gdzieś na nim. Znajdź ich i sprowadź z powrotem.

– Już się tym zajmuję, milordzie.

Sir Gaston odwrócił się, żeby odejść, ale baron podniósł rękę, zatrzymując go. Ktoś mimo wszystko musiał zostać ukarany za tę serię błędów. Wskazał oskarżycielsko sierżanta.

– Każ go wychłostać – powiedział. Potem, gdy sierżant drgnął i spróbował się odsunąć, baron uznał, że to mu nie wystarcza. Machnął ręką, wskazując całą grupkę strażników kulących się z przerażenia. – Ich także – oznajmił. – Wszystkich! I znajdź tych dwoje przeklętych zwiadowców!





24

Ainęło kilka godzin, zanim ich ucieczka została odkryta, bo zamkowa służba była zajęta wyłapywaniem spanikowanych koni. Zwiadowcy minęli galopem groblę i wjechali na drogę prowadzącą do wsi Falaise. Maddie chciała przyspieszyć, ale Will utrzymywał miarowe tempo.

– Jeśli będziemy galopować z pełną prędkością, zwrócimy na siebie uwagę. Ludzie zapamiętają nas lub będą próbowali zatrzymać – powiedział. – Lepiej się nie spieszyć i nie budzić niczych podejrzeń.

Dlatego też jechali spokojnym kłusem, wymijając ludzi idących do zamku. Kiedy zbliżyli się do wsi, zobaczyli na jej obrzeżach wysokiego człowieka na koniu bojowym, czekającego na poboczu. Serce Maddie podskoczyło, gdy dziewczyna rozpoznała w nim swojego ojca, pomimo czerwonego kasaka z czarnym niedźwiedziem po lewej stronie na piersi.

– Guten dzień – powiedział, kiedy się z nim zrównali. – Ich bin szczęśliwy, że widzę wass.

Maddie zmarszczyła brwi, a Horace się uśmiechnął.

– To najgorszy akcent teutoński, jaki w życiu słyszałam – oznajmiła.

Horace uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Meine zdaniem jest zehr gut – odpowiedział, a potem dodał już normalnym głosem: – To nie jest dobre miejsce, żeby siedzieć i rozmawiać. Chodźcie za mną.

Szturchnął piętami konia i pogalopował do wsi, trzymając się prawej strony głównej ulicy. Dwoje zwiadowców ruszyło za nim pojedynczo, żeby nie przeszkadzać ludziom idącym lub jadącym z przeciwka.

Po mniej więcej pięćdziesięciu metrach Horace skręcił z głównej ulicy w boczną ścieżkę po prawej stronie. Wjechali za nim w ciasne przejście, po bokach którego wznosiły się niskie, parterowe domy ze ścianami z wiklinowej plecionki oblepionej gliną i dachami ze strzechy. Było tu zaledwie tyle miejsca, żeby wyminęły się dwa konie. Trzydzieści metrów dalej natrafili na przecznicę nieco szerszą i biegnącą równoległe do głównej ulicy. Horace skręcił w lewo, więc pojechali za nim. Rycerz zatrzymał się przed niewielkim domkiem podobnym do pozostałych i zeskoczył z konia. Otworzył bramę, żeby wpuścić ich na podwórko za chałupą.

Znaleźli tam niedużą otwartą stajnię, a także pomieszczenie służące za łazienkę i ustęp. Kiedy tylko Maddie zsiadła z konia, rzuciła się w ramiona Horace'owi i przytuliła go z całej siły.

– Och, tato! Tak się cieszę, że cię widzę! – zawołała.

Horace odwzajemnił jej uścisk, a ogromna gula w gardle sprawiła, że przez kilka sekund nie był w stanie się odezwać. Will stał z boku i przyglądał się im z uśmiechem.

W końcu Horace odzyskał zdolność mówienia, chociaż jego głos był lekko zduszony.

– Tak bardzo się o ciebie martwiłem – powiedział, uwalniając się z uścisku córki i spoglądając na nią z czułością. – Myślałem, że umrę na miejscu, kiedy patrzyłem, jak walczysz z tym rycerzem.

Maddie machnęła lekceważąco ręką.

– Z nim? Nie sprawił mi żadnego problemu.

Horace z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Uzbrojony rycerz w pełnym rynsztunku z czterometrową lancą? Żadnego problemu? Rzeczywiście, jakże mógłby sprawiać trudności?

– No dobrze – przyznała Maddie. – Może sprawił mi malutką trudność. Ale wiedziałam, że Zderzak o mnie zadba.

Podczas gdy ojciec i córka witali się ze sobą, Will rozsiodłał Zderzaka i Wyrwija, a potem odprowadził je do stajni. Abelard, który już tam czekał, przywitał je rżeniem, a one odpowiedziały. Przesunął się, żeby mogły łatwiej się przedostać do żłobu napełnionego do

połowy sianem. Konie zaczęły chrupać z apetytem. Will poklepał jedzącego Zderzaka po zadzie i uśmiechnął się do swojego przyjaciela oraz uczennicy.

– Rzeczywiście to zrobił – przyznał. – Ostatecznie w waszej parze to on jest mózgiem.

Podszedł bliżej, żeby uścisnąć dłoń Horace'owi, a potem zamknął postawnego mężczyznę w niedźwiedzim uścisku.

– Powiedz prawdę – odezwał się. – Bałeś się, co zrobi z tobą Cassandra, jeśli Maddie coś się stanie. Ja na pewno się tego bałem.

Horace skinął ponuro głową.

– Widziałem całkiem dosłownie otchłań rozpacz, w jaką zmieniłoby się moje życie. W głowie cały czas tłukło mi się: „To wszystko twoja wina”. – Wskazał tylne drzwi prowadzące do wnętrza domu. – Wchodź, mamy tu kawę i założę się, że jesteś chętny na kubek.

– Czy jestem chętny? – zapytał Will. – Przez ostatnie kilka dni dostawaliśmy do picia czystą wodę. Zajmij się tym, a ja rozsiodłam twojego wierzchowca.

Horace objął Maddie ramieniem i poprowadził ją do domu, a Will zajął się zdejmowaniem siodła z konia bojowego. Stamper wydawał się lekko zdumiony tłumem kosmatych gości, z którymi musiał nagle dzielić stajnię, jednak powitał nowo przybyłych bez żadnej niechęci. Był przyzwyczajony do współpracy z końmi zwiadowców i miał dla nich spory szacunek.

W domu Horace podsycił ogień i napełnił osmalony dzbanek do kawy wodą, którą przyniósł rano z pobliskiej studni. Zawiesił go na obracającym się na zawiasie żelaznym ramieniu i przesunął nad płomienie.

Maddie zajęła miejsce przy stole i rozejrzała się po niedużej, niskiej izbie. Pod ścianą zobaczyła dwa wąskie łóżka, a przy kominku dwa fotele. Poza tym w pomieszczeniu znajdował się tylko stół, przy którym siedziała, i dwa krzesła. Więcej mebli tutaj nie było, ale ogień w palenisku sprawiał, że wewnątrz wydawało się ciepłe i przytulne, a dwa duże okna od strony ulicy wpuszczały dużo światła. Nie miały co prawda szyb, ale w razie potrzeby można było je przysłonić okiennicami.

Kiedy woda się zagotowała, a Horace właśnie odmierzył sporą porcję kawy do dzbanka, do izby wszedł Will. Pociągnął z aprobatą nosem, czując aromat naparu, który wypełnił jednoizbowy domek.

– O, doskonale – powiedział. Spojrzał na wąską półkę nad kominkiem, służącą za spiżarnię. – Domyślam się, że macie miód.

Horace się uśmiechnął.

– Oczywiście – odpowiedział.

Zajrzał do dzbanka z kawą, przesunął ramię poza zasięg ognia i zamieszał ostrożnie napój. Potem postawił naczynie na stole, przyniósł dwa kubki i umieścił je obok.

– Częstujcie się – zachęcił. – Mamy tylko dwa kubki, więc ja zaczekam.

Ustawił na blacie słoik z miodem i położył metalową łyżkę, ponieważ wiedział, że za chwilę Will by o to poprosił. Patrzył, jak dwoje zwiadowców słodzi kawę i z zapalem zabiera się do picia.

– O co, na niebiosy, chodziło z tym pojedyńkiem z rycerzem Lassigny’ego? – zapytał.

On i Halt wiedzieli oczywiście o pojedyńku, ale nie mieli pojęcia, skąd wziął się ten pomysł.

Will wzruszył ramionami.

– Uznaliśmy, że lord Anthony miał rację, kiedy wysunął teorię, że Lassigny może mieć jakieś plany związane z Araluenem. Baron był niezwykle zainteresowany informacjami o Korpusie Zwiadowców i możliwościach obronnych Araluenu, więc uznaliśmy, że taki pojedynek może mu pokazać, że atak na nasz kraj nie będzie najlepszym pomysłem.

– Szczególnie gdy jeden z jego rycerzy zostanie pokonany przez zwykłą dziewczynę – wtrąciła Maddie.

Horace spojrzał krytycznie na Willa.

– Nie wydawało ci się, że wystarczyłoby, gdybyś to ty z nim walczył?

Will rzucił Maddie spojrzenie kątem oka.

– Ona była pierwsza – przyznał. Horace parsknął śmiechem, więc zwiadowca dodał: – Chyba wiesz, jak uparte potrafią być kobiety w twojej rodzinie, jeśli coś sobie postanowią.

Horace skinął głową. Pomyślał, że Maddie pod wieloma względami była nieodrodną córką swojej matki.

– Co teraz zrobimy? – zapytał.

– Moim zdaniem powinniśmy zostawić Gallów, żeby kisili się we własnym sosie, i wynosić się stąd do wszystkich diabłów. Wracajmy do Araluenu.

– Zgadzam się z tobą całkowicie – oznajmił Horace. – Jutro wyruszymy w drogę.

Maddie przez chwilę milczała, wpatrując się z namysłem w blat stołu.

– Może powinniśmy zaczekać kilka dni – odezwała się w końcu.

Obaj mężczyźni popatrzyli na nią z głębokim niedowierzaniem.

– Zaczekać kilka dni?! – wykrzyknął Horace. – O czym ty mówisz?

Maddie wydeła wargi i wzruszyła ramionami.

– Oni na pewno się spodziewają, że będziemy uciekać z kraju – powiedziała. – Lassigny wyśle swoich ludzi na wszystkie gościńce, żeby nas szukali. Pomyślałam, że jeśli będziemy się ukrywać przez kilka dni, przeczekamy najgorsze zamieszanie.

Horace skinął powoli głową, ponieważ dostrzegł w tej propozycji pewien sens.

– To może rzeczywiście być niezły pomysł – przyznał.

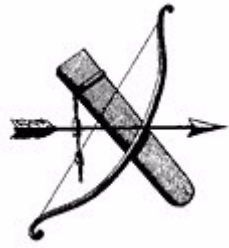
Will obserwował Maddie bardzo uważnie. Wyczuwał, że coś jeszcze chodzi jej po głowie – coś, o czym im nie wspomniała. Znał ją jednak dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że nie ma sensu naciskać, aby to wyjawiała. Tak jak powiedział Horace'owi, kobiety z jej rodziny były znane ze swojego uporu.

W izbie przez chwilę panowała cisza, którą w końcu przerwał tupot biegnących stóp na zewnątrz. Jakiś cień przemknął przed oknem, a potem szcęknęła klamka i drzwi otworzyły się gwałtownie.

Halt wpadł do środka i zatrzasnął je za sobą. Podniósł potężną belkę opartą o ścianę i zablokował zasuwę, żeby uniemożliwić wejście do domu.

Zanim ktokolwiek z zaskoczonych obecnych zdążył się odezwać, starszy zwiadowca wskazał główną ulicę.

– Lassigny w końcu zorganizował swoich żołnierzy – wyjaśnił. – Przeszukują wieś. Mamy może dziesięć minut, zanim tutaj dotrą.





25

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, ale Horace uniósł rękę, żeby ich uciszyć.

– Nie mamy powodów do paniki – powiedział. – Halt twierdzi, że zostało nam dziesięć minut. To mnóstwo czasu, żeby się przygotować. – Naciągnął ponownie czerwony kasak, a potem zapiął na nim pas z mieczem. Nadal miał na sobie kolczugę z kapturem zsuniętym na ramiona. – Zobaczymy, jak ludzie barona poradzą sobie z rozgniewanym teutońskim rycerzem, kiedy zakłócą jego spokój.

Pozostali ucichli, czekając na jego plan. Horace wskazał tylne drzwi domu prowadzące na małe podwórko.

– Wy zaczekacie tam – oznajmił.

Maddie zmarszczyła brwi.

– Tam nie ma dość miejsca, żeby cała nasza trójka zdołała się ukryć – zauważyła. – A do tego są tam jeszcze cztery konie. Choćby udało nam się schować, jeśli ktoś je zobaczy, na pewno wydadzą mu się podejrzane.

Horace pokręcił głową.

– Nikt ich nie zobaczy – zapewnił ją. – Wysłani na poszukiwania żołnierze was nie znajdą. Nie wejdą poza drzwi frontowe. Idźcie już.

Machnął ręką, jakby odganiał muchy. Halt skinął głową, ujął Maddie za ramię i powiodł do tylnego wyjścia. Maddie początkowo się ociągała, ale zobaczyła, że Will idzie w ślady Halta, i uznała, że być może ojciec naprawdę panuje nad sytuacją. Przestała się opierać

i pozwoliła się wyprowadzić na podwórko za domem. Will wyszedł jako ostatni i zamknął za sobą drzwi.

Horace odetchnął głęboko. Wysunął miecz na kilka centymetrów z pochwy, żeby mieć pewność, że porusza się swobodnie, a potem włożył go z powrotem. Podszedł do głównego wejścia, zdjął zasuwę i położył dłoń na klamce.

Z ulicy na zewnątrz dobiegały krzyki i podniesione gniewnie głosy, a także łomot pięści walących w drzwi. Oczami duszy widział, jak ludzie Lassigny'ego dobijają się do kolejnych domów, a potem potracają brutalnie osobę, która im otworzyła, odpychają domowników pod ściany i wdzierają się do środka, żeby szukać zaginionych więźniów. Horace uśmiechnął się ponuro i pomyślał, że żołnierze przeżyją zaskoczenie, kiedy zaczną się dobijać do niego.

Krzyki i walenie w drzwi były coraz bliżej, aż w końcu oddział poszukiwawczy znalazł się w budynku naprzeciwko. Horace wyraźnie słyszał podniesione, pełne złości głosy, kiedy właściciel domu, odepchnięty na bok, protestował przeciwko takiemu traktowaniu. Domy były tak małe, że wystarczyła zaledwie minuta, by mieć pewność, że nikt się w nich nie ukrywa. Drzwi naprzeciwko otworzyły się ponownie z łomotem, a ciężkie kroki zbliżyły się do progu, za którym czekał Horace.

ŁUP! ŁUP! ŁUP!

Pięść w rękawicy kolczej uderzyła o powyginane deski, aż zagrzechotały o framugę.

Ostry głos zawołał:

– Otwierać w imię...

Horace zaczął działać. Otworzył drzwi gwałtownym ruchem i wyskoczył z domu, zaskakując żołnierza, który domagał się wpuszczenia do środka. Zrobił to tak szybko i nagle, że zbrojny, jeden z trzech w tym patrolu, cofnął się instynktownie. Zaraz potem Horace odepchnął go ramieniem na bok i wybiegł na ulicę z twarzą wykrzywioną wściekłością.

– O co chodzi?! – wrzasnął. – Czego tu chcecie?!

Położył dłoń na rękojeści miecza i obnażył kilka centymetrów ostrza, gotów dobyć oręża i zaatakować napastników. Żołnierze z patrolu znaleźli się w trudnej sytuacji, ponieważ trzymali włócznie, a ich miecze były schowane w pochwach. Rozgniewany rycerz

przyparł ich do ściany, tak że nie mieli dość miejsca na użycie długiej broni. Musieli cofnąć się w głąb ulicy, a on zrobił za nimi dwa kroki, nadal krzycząc na nich.

– Kim jesteście? Jak śmiecie zakłócać mój spokój! Odrąbię wam za to uszy!

Nie próbował nawet udawać akcentu teutońskiego. Sytuacja była zbyt poważna, a on musiał zaskoczyć zbrojnych i zmusić ich, żeby się bronili, zamiast atakować. Zabawny akcent by mu w tym nie pomógł, więc Horace zamiast tego krzyczał, złościł się i groził.

Trzej żołnierze struchleli na widok rozjuszonego rycerza w cudzoziemskim stroju. Czym innym było zastraszać zwykłych wieśniaków, a zupełnie czym innym narazić się wielkiemu, uzbrojonemu wojownikowi, który najwyraźniej już był na nich wściekły za to, że zawracali mu głowę.

– Przepraszamy – odezwał się pierwszy żołnierz i dotknął czoła w geście salutu. – Szukamy...

Nie zdołał powiedzieć nic więcej. Horace przysunął twarz na kilka centymetrów do jego twarzy i ryknął na cały głos:

– Jestem sir Wilhelm von Starkhaus! – zagrzemiał. – Rycerz dworu teutońskiego! Jak śmiesz się tak do mnie zwracać?! Masz mnie tytułować sir Wilhelmem! Albo milordem!

– Yyy... no... tak, milordzie – zająknął się żołnierz. Uznał, że najrozsądniej będzie używać najbardziej imponującego tytułu. – Prosimy o wybaczenie, milordzie... sir Wilhelmie... mamy rozkaz, żeby...

– Rozkaz? – przerwał mu Horace. – Czyj rozkaz?

– Rozkaz barona Lassigny’ego, milordzie – odparł wojak, cofając się znowu o krok.

– Nigdy o nim nie słyszałem! – oznajmił wyniośle Horace.

Żołnierz machnął niepewnie ręką w stronę zamku.

– To on jest lordem na Chateau des Falaises, milordzie – wyjaśnił. Zająknął się lekko, powtarzając „lorda” dwa razy. – Wydał nam rozkaz poszukiwania dwójki cudzoziemskich szpiegów...

– Czy ty mnie nazywasz szpiegiem?! – zapytał z furią Horace, głosem wyższym i głośniejszym niż wcześniej.

Dobył miecza z przeraźliwym zgrzytem metalu o metal i uniósł go tak, że ostrze znalazło się tuż poniżej nosa żołnierza. Ten

pospiesznie cofnął się jeszcze dalej, nie odrywając wzroku od lśniącego metalowego ostrza.

– Nie, milordzie! Oczywiście, że nie! Ja...

– Przebywam tutaj całkowicie otwarcie, stoję przed wami w moim kasaku i z moim herbem! A wy oskarżacie mnie o szpiegostwo! Mnie, sir Wilhelma von Starkhausa! Jednego z najświetniejszych rycerzy na dworze teutońskim! Twierdzisz, że jestem szpiegiem?! Mógłbym cię zabić na miejscu za taką zniewagę, a ten twój baron, kimkolwiek jest, z pewnością przyznałby, że miałem do tego pełne prawo!

Żołnierz miał nieprzyjemne przeczucie, że ten potężnie zbudowany, rozsierdzony Teutończyk ma rację. Szlachetnie urodzeni i rycerze wspierali się nawzajem w podobnych sprawach, nawet jeśli pochodzili z różnych krajów. Poza tym rozwścieczony wojownik nie kłamał: nie ukrywał ani swojej obecności, ani tożsamości. Otwarcie nosił swój herb i oznajmiał swoją pozycję całemu światu.

– Proszę, milordzie, błagam o wybaczenie – wyjąkał pospiesznie żołnierz. – Nie ośmieliłbym się nigdy milorda urazić! Szpiegdy to Aralueńczycy, którzy dzisiaj wczesnym rankiem zdołali uciec z zamku. Baron jest rozjuszony. Kazał wychłostać strażników pilnujących bramy, a resztę z nas wysłał na poszukiwanie zbiegów.

Horace opuścił broń, a zbrojny, który zezował, przyglądając się końcówce ostrza, potrząsnął głową, żeby odzyskać jasność widzenia. Po dłuższej chwili Horace z donośnym szczękiem schował miecz do pochwy. Żołnierz odetchnął z ulgą.

– Cóż, tutaj ich nie ma – oznajmił Horace.

Już nie krzyczał, ale mimo wszystko mówił głośniejszym głosem niż podczas zwykłej rozmowy.

Wojak nerwowo wskazał drzwi za jego plecami.

– Może moglibyśmy sprawdzić...

Horace natychmiast położył dłoń na rękojeści miecza i znowu podniósł głos.

– Wątpisz w dane przeze mnie słowo?! – ryknął. – Ty, zwykły żołdak, pospolity sługus tego całego Lasserneya?!

– Lassigny’ego, milordzie – poprawił go żołnierz.

– Nie obchodzi mnie, jak on się nazywa! To obraza dla mojego honoru! Nazwałeś mnie kłamcą i zapłacisz mi za tę zniewagę! Jestem wysokim rangą rycerzem dworu teutońskiego, a ty mnie obraziłeś!

Horace przez chwilę się zastanawiał, czy nie przesadził z tym „wysokim rangą rycerzem dworu teutońskiego”, ale na stojącym przed nim zbrojnym wyraźnie zrobiło to wrażenie.

– Ależ skąd, sir... milordzie! Przysięgam, że nie zamierzałem ubliżyć godności milorda! Oczywiście nie musimy zaglądać do środka. Słowo rycerza... – zawahał się i przypomniał sobie właściwą formułkę – ...wysokiej rangi na dworze teutońskim całkowicie mi wystarczy! A także baronowi!

Horace skrzyżował ramiona na piersi i udał, że jego gniew został ułagodzony.

– Jak się nazywasz? – zapytał wyniośle.

Żołnierz się zawahał. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, była skarga, jaką ten rycerz mógłby złożyć na niego baronowi.

Postanowił skłamać. Nazywał się Gaspard Allende, ale zamiast tego przedstawił się imieniem i nazwiskiem swojego znajomego.

– Jestem Hercule, sir. Hercule Lombard, kapral straży zamkowej. – Odwrócił się bokiem, żeby zaprezentować szewron na rękawie.

Horace udał, że przygląda się mu przez kilka sekund, jakby zapamiętywał sobie jego nazwisko. W końcu odezwał się znowu, głosem spokojniejszym, ale nasyconym sarkazmem:

– W takim razie, kapralu Lombard, mówisz, że ci aralueńscy szpiedzy uciekli dzisiaj rano?

– Tak jest, milordzie. Podłożyli ogień w...

Horace machnął z irytacją ręką, żeby go uciszyć.

– Nie obchodzi mnie, jak udało im się uciec – oznajmił. – Chociaż, jeśli twoje zachowanie jest typowe dla straży zamkowej, nie dziwi mnie, że tego dokonali.

Allende pochylił głowę ze wstydem.

– Nie, milordzie – wymamrotał.

Horace mówił dalej.

– Ale jeśli, tak jak mówisz, uciekli rano, czyli kilka godzin temu, to po co mieliby się zatrzymywać we wsi?

Allende otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zrozumiał, że w słowach Teutończyka jest dużo racji, więc zamknął je z powrotem. W końcu zdołał wykrztusić:

– No... chybaby się nie zatrzymali, milordzie – przyznał.

Horace pokiwał głową kilka razy.

– Właśnie. Skoro uciekli, to z pewnością pojechali dalej, żeby wrócić do siebie, do Araluenu, prawda?

– Prawda, milordzie – zgodził się z nim Allende.

Horace pochylił się, znowu zbliżając twarz do twarzy żołnierza.

– W takim razie proponowałbym, żebyś powiedział to swojemu baronowi... – zawahał się, jakby znowu zapomniał nazwiska – ... Lasserbu.

– Lassigny’emu, sir – poprawił go Allende.

– Czy ja wyglądam, jakby mnie to obchodziło?! – ryknął Horace z nowym przypiływem złości.

Kapral znowu cofnął się pospiesznie o krok i stanął na baczność.

– Nie, sir! Proszę o wybaczenie, sir!

Horace z irytacją odprawił go machnięciem ręki.

– W takim razie precz mi z oczu i daj mi wreszcie święty spokój – rozkazał.

Allende rozejrzał się i zobaczył, że jego dwaj towarzysze kulą się pod ścianą przeciwległego budynku, starając się nie zwracać na siebie uwagi rozżłoszczonego rycerza. Skinął na nich, polecając, żeby szli za nim.

– Tak jest, sir! Natychmiast, sir! Już się oddalamy, sir!

Horace popatrzył, jak żołnierze maszerują pospiesznie uliczką, uśmiechnął się do siebie i otworzył drzwi małego domu, pochylając się, żeby przejść pod niską framugą.

Kiedy zatrzymał się na środku izby, tylne wyjście otworzyło się i do środka weszła trójka jego towarzyszy, którzy zaczęli bić mu entuzjastyczne brawo.

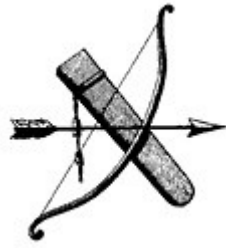
– Doskonała robota, sir Wilhelmie – pochwalił Halt.

Horace stanął na baczność, strzelił głośno obcasami i skłonił się sztywno w pas.

– Słyszeliście to z podwórka? – zapytał.

Maddie się uśmiechnęła.

– Założę się, że słyszano cię nawet na zamku.





26

Halt stał w niewielkim pomieszczeniu służącym jako łazienka i energicznie walczył ze strzechą długich, siwych włosów za pomocą nożyczek. Zwykle krótko przycinał czuprynę i brodę, ale musiał je zapuścić, żeby udawać wędrownego żebraka Tomkina. Teraz Tomkin nie był już potrzebny.

Usłyszał, że drzwi domu się otwierają, więc szybko schował nożyczki pod ręcznikiem i wyciągnął sakwę. Chwył garść włosów, naciągnął je, przeciął ostrzem noża i rzucił na kamienną podłogę.

W Zamku Redmont od dawna krążyły plotki, że Halt przycina sobie czuprynę i brodę sakwą. W rzeczywistości używał do tego nożyczek, ale jego umiejętności fryzjerskie pozostawiały sporo do życzenia, więc mimo jego wysiłków włosy zawsze były ostrzyżone nierówno. Dlatego postanowił wykorzystać mit na temat saksy i dodatkowo go ugruntować. W takim przypadku nikt nie oczekiwał idealnie równej fryzury, a gdyby się rozeszło, że używa jednak nożyczek, ktoś mógłby się wyśmiewać z jego braku zdolności manualnych.

– Czyli to prawda? – odezwał się za nim Horace z nutą zdumienia w głosie.

Halt odwrócił się na pięcie do swojego przyjaciela, nadal trzymając uniesioną sakwę. Spiorunował rycerza wzrokiem.

– Rzeczywiście używasz... – Horace wskazał lśniące ostrze, ale urwał, ponieważ zauważył gniewną minę Halta. – To znaczy, ty...

no... nieważne – dokończył bez przekonania. Szybko zmienił temat.
– Uznaliśmy, że czas omówić nasz następny ruch.

Halt skinął głową.

– Dobry pomysł. Dołączę do was za kilka minut.

Znowu uniósł sakse i napiął kolejne pasmo, aby ściąć je błyszczącym nożem. Horace parę razy skinął głową, odwrócił się i zniknął w domu. Halt uśmiechnął się krzywo, wyciągnął nożyczki i zajął się przycinaniem włosów i brody.

Po kolejnych kilku minutach przyjrzał się osiągniętym efektom. Nie wyglądał lepiej ani gorzej niż zwykle, więc usatysfakcjonowany przeczesał palcami fryzurę, żeby wytrzepać z nich ostatnie przycięte kosmyki. Potem schował nożyczki i wrócił do domu.

– Mówię wam, że to prawda – zapewniał właśnie Horace, kiedy Halt wszedł do środka. – On używa swojej sa... – Usłyszał otwierające się drzwi, więc urwał w pół słowa.

Will się uśmiechnął. Jako uczeń mieszkał przez pięć lat z Haltem i znał sekret powstawania fryzur swojego nauczyciela. Zgodnie z jego życzeniem zachowywał to jednak w tajemnicy. Maddie natomiast z ogromnym zainteresowaniem przyglądała się włosom i brodzie starszego zwiadowcy.

Oderwała wzrok od Halta, kiedy zrobił dwa kroki w głąb izby i spojrzał z ciekawością na Horace'a.

– Kto używa czego do czego? – zapytał Halt.

Horace machnął lekceważąco ręką.

– Nikt. To nic ważnego. Zwykle plotki.

– Jak zawsze marnujecie czas – skonstatował Halt.

Zobaczył, że dzbanek z kawą wisi nad paleniskiem, więc przysunął go do siebie i podniósł, żeby sprawdzić jego ciężar. Z zadowoleniem stwierdził, że w środku pozostała jeszcze połowa napoju, nalał sobie kubek i usiadł przy stole, a potem dołożył łyżeczkę miodu do aromatycznego naparu.

– No to jaki będzie nasz następny ruch? – zapytał.

Will poprawił się na fotelu koło kominka.

– Pomyśleliśmy, że dobrze będzie poczekać tutaj kilka dni. Wysłanie żołnierzy do przeszukania wsi było dla Lassigny'ego działaniem odruchowym. Kiedy się nad tym zastanowi, z pewnością dojdzie do wniosku, że to nie ma sensu i trzeba szerzej zarzucić

sieci. Wyśle swoich ludzi na główne gościńce prowadzące do La Lumiere i na wybrzeże. To najbardziej prawdopodobne drogi, którymi moglibyśmy się udać. Poczekamy, aż jego oddziały wrócą, i wyruszymy, gdy będzie bezpiecznie.

– Przez ten czas Will i Maddie powinni siedzieć tutaj, schowani w tym domu – dodał Horace.

Halt skinął głową.

– To brzmi rozsądnie – przyznał. Rozejrzał się po izbie i zlustrował swoich towarzyszy. – Jak rozumiem, wszyscy się zgadzamy na ten plan?

Will i Horace przytaknęli.

Halt zauważył, że Maddie się zawahała.

– Maddie? – ponaglił ją.

Odczekała jeszcze kilka sekund z wyrażeniem swojej opinii.

– Nie jestem tego taka pewna – odezwała się z powątpiewaniem.

Will popatrzył na nią z ciekawością. Wcześniej zauważył, że nie brała udziału w dyskusji nad kwestią ich ucieczki.

– Uważasz, że powinniśmy ruszyć natychmiast?

Pokręciła głową i podjęła decyzję.

– Uważam, że powinniśmy dokończyć misję, z którą nas tutaj wysłano – oznajmiła.

Halt przytaknął. On także zwrócił uwagę na jej wcześniejsze opory i podejrzewał, że właśnie coś takiego rozważa. Szanował jej umiejętności strategicznego myślenia, oceny sytuacji i wyboru najlepszej metody działania. Uważał, że wprawdzie jest młoda, ale z pewnością ma głowę na karku. Poza tym była nieodrodną córką swojej matki, a Cassandra od zawsze cechowała się przenikliwym i przebiegłym umysłem.

– Mów dalej – zachęcił.

Zanim Maddie zdążyła to zrobić, wtrącił się Horace.

– Uważasz, że powinniśmy podjąć jeszcze jedną próbę uwolnienia księcia Gilesa? – zapytał z niedowierzaniem.

Maddie, teraz już w pełni zdecydowana, zacisnęła usta.

– Tak właśnie uważam.

Horace popatrzył na Halta i Willa z nadzieją, że podzielają jego zaskoczenie i dezaprobatę. Rozczarował się jednak – obaj wydawali się rozważać słowa Maddie.

– Czy tylko ja tutaj nie oszalałem? – zapytał.

Will wyduł wargi i zastanowił się, zanim odpowiedział.

– Sądzę, że ona może mieć rację – stwierdził.

Horace'owi odebrało mowę. Maddie popatrzyła na Willa i skinęła mu z wdzięcznością głową. Gestem ręki zachęcił ją, żeby rozwinęła swój pomysł, więc przez moment rozmyślała, jakie argumenty przytoczyć, aż w końcu zaczęła tłumaczyć:

– Jesteśmy zgodni, że Lassigny założy, iż znajdujemy się już daleko i zmierzamy do La Lumiere lub Araluenu... – Zaczekała chwilę, a pozostali skinęli głowami. – W takim razie w najmniejszym stopniu nie będzie się spodziewał, że wrócimy do zamku, by zabrać Gilesa. Pod pewnymi względami to może być dla nas najbezpieczniejsze miejsce.

Will pokręcił głową.

– Nie sądzą, żebyś w jakimkolwiek momencie mogła zakładać, że zamek jest dla nas bezpiecznym miejscem – powiedział, a Maddie uniosła rękę na znak, że się z nim zgadza.

– No dobrze, może trochę przesadziłam. „Bezpieczne” to nie jest chyba słowo, którego powinnam użyć. Zbyt wiele tam podejrzliwych spojrzeń. Ale faktem pozostaje to, że Lassigny kompletnie nie będzie się nas tam spodziewał. A skoro nie będzie nas tam szukał, to może znajdziemy okazję, żeby uratować Gilesa i odwieźć go do ojca.

Spojrzała na swoich trzech towarzyszy. Widziała, że żaden z nich nie jest przeciwny temu pomysłowi. Halt i Will kiwali głowami i zastanawiali się nad tym, co właśnie powiedziała. Horace był mniej entuzjastyczny, ale przynajmniej nie próbował podważać jej rozumowania. Aby dodatkowo podkreślić swoje zdanie, zwróciła się bezpośrednio do Willa:

– Poza wszystkim innym podjęliśmy się tej misji. Chciałabym, żebyśmy ją dokończyli. Giles wprawdzie nie wydał mi się szczególnie interesującym człowiekiem, ale nie sądzą, aby zasługiwał na dalszą niewolę.

– To prawda – przyznał Will. – Poza tym bardzo chętnie dałbym Lassigny'emu jeszcze jednego prztyczka w nos.

– Muszę przyznać, że taka perspektywa wydaje się kusząca – potwierdziła Maddie. – Traktuje wszystkich z wyjątkową arogancją

i pogardą, więc z przyjemnością zmusiłabym go, żeby trochę spuścił z tonu.

– Jeśli Giles wróci do ojca, umocni to trochę władzę Philippe’a. To z kolei zmniejszy dodatkowo zagrożenie, jakie Lassigny mógłby stanowić dla Araluenu – zauważył Halt.

Troje zwiadowców skinęło głowami i spojrzało na Horace’a, czekając, aż wyrazi swoją opinię. Wysoki rycerz westchnął i także przytaknął, chociaż z wyraźną niechęcią.

– Wszystko, co mówicie, ma dużo sensu – przyznał. – Ale żadne z was nie jest mężem Cassandry. Kiedy w grę wchodzi jej córka, rozsądek przestaje się liczyć.

– Następne pytanie brzmi: jak zamierzacie się przedostać z powrotem do zamku? – wtrącił Halt. – Skoro Lassigny kazał wychłostać wartowników, to ci, którzy będą na służbie, okażą się na pewno wyjątkowo czujni. Dawniej mogli dość swobodnie wpuszczać i wypuszczać ludzi, ale teraz już tak nie będzie.

– Musimy znaleźć jakąś inną drogę – zgodziła się Maddie.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, którą przerwał w końcu Will.

– Mury są zbyt wysokie i zbyt eksponowane, żeby dało się na nie wspiąć. Ktoś by nas z pewnością zauważył.

– Poza tym, nawet gdyby nam się to udało, nie zdołalibyśmy zabrać tą drogą Gilesa – dodała Maddie, która pamiętała przerażenie na twarzy księcia, kiedy musieli wypchnąć go przez okno w wieży i wciągnąć piętro wyżej.

– Na pewno istnieje jakiś inny sposób, żeby dostać się do środka – powiedział Will.

Halt rzucił mu spojrzenie z ukosa.

– To bardzo stanowcze stwierdzenie na temat niezdołanego zamku – zauważył. – Ostatecznie nikomu od wielu lat najwyraźniej się to nie udało. A jeśli nie ma innej drogi?

Will wypił jeszcze łyk kawy i spojrzał prosto na swojego dawnego nauczyciela.

– Istnieje rozwiązanie – powtórzył. – Musimy je tylko znaleźć.



27

Tzworo przyjaciół stało na poboczu drogi prowadzącej na groblę, przyglądając się zamkowi i skalistemu urwisku, na którym się wznosił. Byli ubrani w nierzucające się w oczy stroje parobków, które Halt kupił na miejscowym targowisku – niebieskie bawełniane tuniki, spodnie z szorstkiej wełny i słomkowe kapelusze z szerokim rondem opuszczone tak, żeby zasłaniały ich twarze.

Daleko w dole fale smagane ostrym wiatrem uderzały o skały, spiętrzając się w wąskim kanale dzielącym brzeg jeziora od małej kamiennej wysepki, na której wybudowano zamek. W miejscu, gdzie woda wpadała z impetem na głazy u podnóża grobli, wzbijały się wysokie fontanny kropelek i piany.

Po przeciwnej stronie kanału, mniej więcej w połowie długości wysepki, krążyły mewy, skrzeczając na siebie ze złością i od czasu do czasu spadając na stertę nieapetycznych w kolorze śmieci, które leżały na brzegu i stopniowo były zmywane do jeziora przez fale.

Akurat teraz kolejna porcja odpadków wypadła przez niewielką dziurę na wysokości pięciu metrów, tocząc się i ześlizgując na już istniejący stos.

Kilka sekund później w ślad za nimi spłynęła fala płynu, gdy zamkowa służba wylała do zsypu na śmieci beczułkę wody, żeby spłukać resztki, które mogły się zatrzymać po drodze.

– Oto twoja droga do zamku – powiedział Will. – Zauważyłem ją, kiedy tu przybyliśmy.

Maddie zmarszczyła nos, chociaż stos odpadów był o wiele za daleko, żeby mogli wyczuć jego zapach.

– To zsyp na śmieci – powiedziała.

Will skinął głową.

– Zapewne. Na szczęście nie łączy się z ujściem ścieków, one wypływają kawałek dalej.

Rzeczywiście, gdy Maddie spojrzała we wskazanym przez niego kierunku, zobaczyła w skale drugi otwór, pobrudzony i odbarwiony od resztek tego, co nim spływało i nie zostało do końca zmyte.

– Rozumiem, co masz na myśli – powiedziała.

Will wskazał zsyp na śmieci.

– Na pewno prowadzi do zamkowych piwnic – stwierdził. – Sądzę, że pod donżonem, ponieważ tam znajduje się kuchnia. Można się tamtędy wspiać i ominąć zamkowe straże.

– No to dlaczego żadne atakujące wojsko tego nie wykorzystało? – zapytała Maddie.

Will wzruszył ramionami.

– To miejsce jest dobrze widoczne. Gdybyś spróbowała przeprowadzić tamtędy większą liczbę ludzi albo nawet niewielką grupkę, zostaliby zauważeni, a żołnierze z zamkowego garnizonu po prostu czekali, żeby ich wyłapać jednego po drugim, gdy będą wychodzić ze zsypu. – Umilkł na chwilę. – Ale jednej osobie prawdopodobnie uda się przemknąć niepostrzeżenie, szczególnie w nocy.

– A która to miałaby być osoba? – zapytała Maddie, przyglądając się pozostałym.

– Nie ja. Jestem za stary, żeby czołgać się przez zsypy na śmieci – oznajmił Halt.

– Ja jestem za duży – dodał Horace. – Prawdopodobnie utknąłbym w połowie drogi i na nic bym się wam nie przydał.

Pytające spojrzenie Maddie zatrzymało się na Willu.

– Zostajemy ty i ja – powiedziała.

Will wzruszył ramionami z uśmiechem.

– Jaka jest pierwsza zasada dotycząca nauczyciela i ucznia? – zapytał.

Maddie westchnęła ciężko.

– Jeśli robota jest brudna, nieprzyjemna albo niewygodna, zajmuje się nią uczeń – odpowiedziała.

Will pokiwał z przekonaniem głową.

– Tak właśnie to zapamiętałem – potwierdził. – Czyli wystarczy, że przepłyniesz przez ten kanał, który ma najwyżej dziesięć metrów, wejdiesz do środka przez zsyp, znajdziesz Gilesa i wyprowadzisz go tą samą drogą.

– Przez zsyp na śmieci? – upewniła się Maddie.

– Tak, chyba że masz jakiś inny pomysł.

– To będzie świetna zabawa – oznajmiła, ponieważ pamiętała, jak Giles protestował na samą myśl o tym, że miałby zostać wciągnięty na linie jedno piętro wyżej. – O ile pamiętam, książę nie jest szczególnym miłośnikiem przygód.

Will zastanawiał się nad tym przez chwilę, ale zrozumiał, że Maddie ma rację.

– Może po prostu ustawisz go nad zsysem i mocno popchniesz? – zaproponował.

– To ma szansę się udać – zgodziła się Maddie, ale nie wyglądała na przekonaną.

Will rozłożył bezradnie ręce.

– Nie można ode mnie wymagać, żebym myślał o wszystkim – powiedział. – Wymyśliłem ogólny plan, ty możesz zająć się detalami.

– Też mi detale! – Hałt prychnął pogardliwie. – Chodzi tylko o taki drobiazg, jak wyciągnięcie księcia z zamku, czyli o główny cel całego tego przedsięwzięcia.

Maddie przygryzła kciuk i zastanowiła się przez chwilę.

– Myślę, że sobie poradzę – rzekła w końcu. – Nawet gdybym miała go prowadzić pod groźbą użycia noża.

Horace przysłuchiwał się ich dotychczasowej dyskusji, ale teraz postanowił się wtrącić:

– A jeśli się okaże, że wylot zsypu nie znajduje się wcale w piwnicy? – zapytał. – Może być na dziedzińcu, w widocznym miejscu. Albo może być zakratowany.

– W takim przypadku Maddie zawróci, opuści zamek i pojedziemy do domu. Ale będziemy mogli powiedzieć, że przynajmniej próbowaliśmy wykonać misję – odparł Will. Po chwili dodał: – Masz jakiś lepszy pomysł?

Horace ponuro przyznał, że nie ma, więc Will rozłożył ręce w geście „no to sam widzisz”. Popatrzył na Halta.

– A ty?

Starszy zwiadowca pokręcił głową.

– Nie. Mnie także się wydaje, że to najlepszy plan.

– Jeszcze jedno – zaprotestował Horace. – Jesteście całkowicie zdecydowani narazić moją córkę na kolejne niebezpieczeństwo, wysyłając ją z powrotem do tego zamku?

Will patrzył na niego spokojnie przez kilka sekund, aż w końcu odpowiedział:

– Ona jest zwiadowczynią – odparł po prostu.

Horace opuścił wzrok i westchnął ciężko.

– Masz rację – przyznał. – Ale to nie musi mi się podobać.

Maddie przyglądała się swojemu ojcu. Rozumiała jego opory na myśl o tym, że jego córka będzie nadstawiała karku, ale miała wrażenie, że Horace stosuje podwójne standardy. Ostatecznie sam przez całe życie ryzykował i nie przychodziło mu do głowy, że Maddie lub jej matka mogą się o niego martwić.

– Nic mi nie będzie, tato – oznajmiła, kładąc mu dłoń na rękę. – Tak jak powiedział Will, jestem zwiadowczynią, a to moje zadanie.

Horace otrząsnął się z przygnębienia, które go ogarnęło, i się wyprostował.

– Niech będzie – odezwał się z większą energią. – Kiedy zaczynamy?

Will popatrzył na słońce. Było wczesne popołudnie.

– Dziś w nocy będzie tak samo dobry moment jak każdy inny – stwierdził. – Patrole Lassigny’ego nadal szukają nas na gościńcach, więc garnizon zamkowy będzie osłabiony.

Maddie skinęła głową. Teraz, kiedy podjęli już decyzję dotyczącą dalszych działań, chciała mieć to jak najszybciej za sobą.

– Niech będzie dzisiaj w nocy – zgodziła się.



Maddie i Will ostrożnie wędrowali po nierównych skałach u podnóża grobli. Will miał na sobie pelerynę z kapuzą naciągniętą

tak, aby zasłonić twarz. Maddie włożyła ciemną bluzę z kapturem służącym do tego samego celu.

Will przewiesił przez ramię łuk, a kołczan przypiął do pasa pod płaszczem. Maddie podobnie zamocowała saksę i nóż do rzucania, a oprócz tego zabrała woreczek z kamieniami oraz procę owiniętą bezpiecznie wokół jej lewego przedramienia.

Horace chciał im towarzyszyć, ale Halt i Will sprzeciwili się temu pomysłowi.

– Will i Maddie potrafią się poruszać niezauważeni – wyjaśnił Halt wysokiemu rycerzowi. – Ty zazwyczaj tłuczesz się jak rozdrażniony niedźwiedź. – Uśmiechnął się. – Bez urazy – dodał.

– Zauważyłem, że kiedy ludzie dodają coś takiego, to oznacza, że bardzo chcą cię urazić. – Horace rzucił mu przeciągłe, nieżyczliwe spojrzenie.

Halt wzruszył ramionami.

Will spróbował załagodzić sytuację.

– Tak czy inaczej, im mniej osób będzie się kręciło u podnóża urwiska, tym większe szanse, że nikt nas nie wypatrzy – powiedział.

Horace niechętnym pomrukiem wyraził zgodę. Zdawał sobie sprawę, że Will ma rację. W gruncie rzeczy rozumiał także, że i Halt ma słuszość. Zwiadowcy byli szkoleni w sztuce skradania się bezszelestnie i niezwracania na siebie uwagi. Rycerzom nie wpajano takich umiejętności. Horace wiedział, że słowa starszego zwiadowcy mają dużo sensu, ale nie musiało mu się to podobać. Przypomniawszy sobie jednak, że Halt nigdy nie słyszał ze szczególnego taktu.

Skąła, na której wznosił się Chateau des Falaises, była pierwotnie wysepką oddzieloną od brzegu jeziora wąskim kanałem, który częściowo zasypano w miejscu, gdzie została zbudowana grobla prowadząca do mostu zwodzonego i bramy zamkowej. Wezbrane fale wdzierały się do przesmyku, wznosząc się i opadając. Will podejrzewał, że pod wałem są przepusty umożliwiające przynajmniej częściowo przepływ wody. To by oznaczało, że w głębi mogą być silne prądy.

Przeszli kawałek od grobli do miejsca naprzeciwko zsypu na śmieci, gdzie kanał się zwężył, tak że Maddie miała do pokonania zaledwie dziesięć metrów. Odległość była niewielka, ale zarówno

Maddie, jak i Will wiedzieli, że jeśli były tu jakieś prądy przydenne, ich siła znacząco rosła w miejscu zwięzienia.

– Pamiętaj o prądach – powiedział szeptem. Już wcześniej, kiedy szykowali się do wyprawy, ostrzegął przed tym Maddie, ale za nic nie chciał, żeby nurt zniósł jego uczennicę do tunelu pod skałami. Maddie skinęła głową. – To jest dobre miejsce – zdecydował Will, więc się zatrzymali.

Maddie zrzuciła wierzchnie ubranie i została tylko w cienkiej koszuli i bawełnianych spodenkach. Will złożył jej bluzę i spodnie, a potem zawinął je w wodoodporną natłuszczoną tkaninę razem z butami, pasem, woreczkiem z kamieniami i rącznikiem. Przywiązał do tego pakunku cienki sznurek.

– Rzuć ci go, kiedy będziesz po drugiej stronie – oznajmił.

Maddie skinęła głową i ostrożnie zeszła po niewidocznych w ciemności skałach na brzeg. Przykucnęła i zanurzyła się w jeziorze – odruchowo wstrzymała oddech, ale szybko zdała sobie sprawę, że temperatura w kanale jest o kilka stopni wyższa niż powietrza. Wystarczyły dwa kroki, żeby woda zaczęła jej sięgać do podbródka, a prąd i napór fal sprawiały, że z trudem utrzymywała równowagę. Spojrzała na Willa, którego ciemna sylwetka odcinała się jak cień na tle nocnego nieba. Uniósł rękę w geście, który był czymś pomiędzy machnięciem a błogosławieństwem.

Maddie odwróciła się do zamku, odepchnęła obiema stopami, wykorzystując siłę mięśni nóg, żeby nabrać rozpędu, i popłynęła szybko na drugą stronę.



28

Maddie wyszła z jeziora i wspięła się na skały. Zadrżała, gdy nocne powietrze owionęło jej mokre ciało. Pomyślała, że Will miał rację. Rzeczywiście natrafiła na silny prąd pod powierzchnią wody, próbujący ściągnąć ją w stronę grobli. Na szczęście miała do przepłynięcia krótki dystans, więc zdołała pokonać nurt, który zniósł ją tylko kilka metrów w prawo.

– Rzucam linę – zawołał cicho Will.

Maddie usłyszała plaśnięcie sznura o skały za sobą, więc zaczęła go szukać po omacku, a potem przeciągnęła zabezpieczony przed wodą pakunek przez wąski kanał i wciągnęła go na kamienie. Pospiesznie rozwiązała oplątujący go sznurek i rozwinęła tkaninę. Wyjęła ze środka ręcznik i szybko się nim wytarła, a potem naciągnęła wierzchnie ubranie na mokrą koszulę i spodenki. Kiedy już się ubrała, zapięła pas z podwójną pochwą na sakse i nóż do rzucania, przewiesiła przez ramię woreczek z kamieniami i owinęła procę wokół lewego nadgarstka.

W paczce było coś jeszcze: osłona z metalowej siatki z kawałkiem świecy mogąca służyć za latarnię, a także krzesiwo, pudełeczko z hubką i kilka zapasowych świec. Maddie schowała podpałkę do kieszeni bluzy i wspięła się po nierównym zboczu do ujścia zsyłu na śmieci, krzywiąc się, kiedy deptała po stosie odpadków, zgromadzonym na skałach. Smród był okropny, ponieważ poruszała w ten sposób gnijące resztki, a do tego poślizgnęła się raz czy dwa, zanim dotarła do ciemnego otworu w skale. Kiedy się pod nim

znalazła, odwróciła się i spojrzała na drugą stronę kanału. Ledwie widziała ciemny zarys sylwetki Willa przykucniętego wśród kamieni. Machnęła ręką, a potem wdrapała się do tunelu.

Gryzący odór był jeszcze bardziej nieznosny w ciasnej przestrzeni. Maddie zatrzymała się, żeby obwiązać sobie chustką nos i usta, a potem zaczęła oddychać przez otwartą buzię. Kiedy zniknęła z oczu ewentualnym obserwatorom na murach zamkowych, wyjęła hubkę i krzesiwo. Jasny błysk uderzanego krzesiwa byłby doskonale widoczny nawet z dużej odległości. Teraz potarła je ręką noża i skierowała iskry na małą garstkę hubki. Pojawił się płomyczek, który Maddie zbliżyła do knota świecy, a potem zamknęła przednią szybą latarni.

Żółtawe światło rozjaśniło wnętrze zsypu na odległość kilku metrów. Okazało się, że miał w przekroju kształt nierównego koła – widać było występy i nierówności na skałach ukształtowanych kilofami i młotkami, chociaż wszystkie ostre zadziory zostały dawno wygładzone przez całe dekady użytkowania i spłukiwania wodą. Tunel wznosił się i skręcał w prawo, co oznaczało, że kieruje się rzeczywiście w stronę donżonu, czyli zgodnie z ich wcześniejszymi przewidywaniami. Umieszczenie zsypu na śmieci w pobliżu kuchni wydawało się naturalnym pomysłem, a pomieszczenie to znajdowało się w podziemnej części donżonu. Tunel był wąski, Maddie miała zaledwie kilka centymetrów luzu wokół ramion. Trzymając przed sobą latarnię, czołgała się na łokciach i kolanach, a blask małego, żółtego płomyka rozjaśniał drogę przed nią na trzy czy cztery metry, zanim pochłonęła go ciemność. Świat wokół Maddie skurczył się do ciasnego przejścia w grubo ciosanej skale. Tu i ówdzie mijała stare, gnijące kawałki warzyw, kości z mięsa oraz inne resztki, którym wolała się nie przyglądać zbyt dokładnie.

– Tata miał rację. Nie dałby rady tędy przejść – mruknęła do siebie, kiedy wspinała się pod górę.

Im dalej szła, tym zapach stawał się coraz bardziej nieznosny, tak że chwilami musiała walczyć z odruchem wymiotnym. Zastanowiła się przez moment, jak zdoła przekonać Gilesa, żeby zgodził się wcisnąć do śmierdzącego i wąskiego zsypu. Z nieprzyjemnym uśmiechem przypomniawszy sobie komentarz Willa. Pomyślała, że zawsze może ogłuszyć księcia i zepchnąć go w dół przed sobą.

Po kilku minutach wspinaczki usłyszała gdzieś daleko nad sobą hałas. Był to zgrzyt metalu uderzającego i ocierającego się o skałę, a potem narastający na sile chrobot. Zamarła na kilka sekund, zastanawiając się, co może być jego źródłem.

Nagle wszystko zrozumiała. Ktoś właśnie wyrzucił kubel śmieci do zsypu i to one sypały się teraz w jej kierunku. Sekundę potem usłyszała chlust wody wylanej do tunelu z beczuki lub wiadra, aby spłukać nowe śmieci na sam dół.

Zdażyła tylko podnieść latarnię i przycisnąć ją do sklepienia. Spodziewała się, że spływający w dół strumień wypełni tylko dolną połowę szybu. Zaraz potem spadła na nią fala wody i kotłujących się kuchennych odpadków.

Jej ciało okazało się skuteczną barierą, która zatrzymała na ramionach i głowie większość resztek. Także woda nie mogła przepłynąć swobodnie dalej, więc Maddie w końcu musiała podeprzeć się na rękach i kolanach, żeby pozwolić odpadkom spłynąć. Miała nadzieję, że to było jedyne wiadro do wyrzucenia. Kasłała i pluła, otrzepując się ze śmieci, które się jej uczepliły.

Na szczęście szybka decyzja, żeby podnieść wysoko latarnię, okazała się słuszna, a mały żółty płomyk nadal się palił, rzucając odblaski na mokre skały nad głową i po bokach Maddie. Zapalenie zgaszonej świecy w tak ciasnej i dusznej przestrzeni byłoby niezwykle trudne, o ile w ogóle możliwe.

Maddie odczekała trzydzieści sekund, ale najwyraźniej nie zamierzano wyrzucać więcej śmieci. Jeszcze raz otrząsnęła się z resztek i rozpaczliwie powoli ruszyła tunelem, znowu oświetlając sobie drogę migoczącym płomykiem latarni.

Na wilgotnej twarzy poczuła słaby prąd powietrza płynący z góry – był to świeży i czysty powiew, a nie zalegający odór, do którego już przywykła. Zdała sobie sprawę, że musi się zbliżyć do końca drogi. Postawiła latarnię na dnie szybu i przesunęła się do przodu, tak że źródło światła znalazło się za nią. Teraz, gdy płomyk nie raził jej już w oczy, dostrzegła nad sobą delikatną poświatę. Nie była to jeszcze jasność, ale ciemności stawały się odrobinę mniej gęste.

Sięgnęła po latarnię i ruszyła dalej, trzymając ją za sobą, żeby nie utrudniała jej widzenia w ciemności. Jaśniejsza plama przed nią stopniowo stawała się coraz większa, a tunel wspinał się coraz

bardziej stromo pod górę. Nie mogła już po prostu iść na czworakach, musiała się zapierać ramionami i stopami o ściany, żeby podciągać się wyżej.

Po kilku minutach pojawił się przed nią wlot zsypu na śmieci. Maddie przyspieszyła: opierała się tyłem o mur, odpychała zgiętymi nogami, a potem rozluźniała mięśnie pleców, żeby przesunąć się kawałek w górę, a potem powtarzała całą sekwencję.

Teraz przyszedł czas na najbardziej ryzykowny moment. Gdyby ktoś postanowił wrzucić wiadro śmieci do zsypu, niemal na pewno by ją zobaczył. Maddie zwiększyła tempo, chociaż czuła, że na jej ramionach i plecach robią się bolesne otarcia. Zakładała, że jest już prawie północ, więc ryzyko, że ktoś będzie wyrzucał odpadki, wydawało się minimalne. Mimo to jej serce waliło jak młotem i oddychała nieco szybciej.

Wreszcie znalazła się na końcu tunelu, u wlotu do zsypu śmieci. Zatrzymała się tuż poniżej i zaczęła nasłuchiwać, czy ktoś porusza się w pobliżu. Słyszała tylko szum krwi w swoich uszach. Odczekała jeszcze kilka sekund, wysunęła ręce z szybu i chwyciła za krawędź, żeby się podciągnąć. Jednym ruchem wyskoczyła na zewnątrz i znalazła się w kuchni. Przykucnęła z dłonią opartą na rękonożki saksy.

Wzdłuż ściany ciągnęły się ogromne piekarniki przygaszone na noc, tak że spod ich krat widać było tylko przyćmiony, czerwony blask. Rano służba kuchenna otwierała szybry w kominach, żeby zwiększyć ciąg powietrza, i dorzucała polana na żar, aby na nowo rozpalić ogień. W tej chwili pomieszczenie było puste, nic się w nim nie poruszało. Maddie wiedziała, że w niektórych zamkach – na przykład w Redmont – posługacze mogli spać w kuchni i korzystać z jej ciepła, ale tutaj nie zastała nikogo.

Pośrodku stały ogromne stoły, na których przygotowywano posiłki, czyste i posprzątane, a nad nimi wisiały rzędy miedzianych patelni i garnków.

Maddie wyjęła sakwę i zrobiła krok naprzód, trzymając ją w gotowości. Zatrzymała się, ponieważ poczuła pod podeszwą coś lepkiego – kiedy spojrzała w dół, przekonała się, że to jakiś odpadek, który przyczepił się do niej podczas długiej wędrówki z dołu. Potarła

butem o nogę ławy, żeby odczepić śmieć, i skrzywiła się z obrzydzeniem.

Na końcu długiego, pogrążonego w półmroku pomieszczenia zobaczyła szerokie kamienne stopnie i zrozumiała, że znajduje się na niższym poziomie kuchni. Podeszła bezszelestnie do schodów i ruszyła w górę.

Górna część, w której potrawy krojono, dekorowano i przygotowywano do podania, także świeciła pustkami.

– Miejmy nadzieję, że nikt nie zażyczy sobie nocnej przekąski – mruknęła Maddie pod nosem.

Trzymając się w cieniu pod ścianą, przemknęła przez kuchnię do ogromnych podwójnych drzwi prowadzących do sali jadalnej.

Stoły i ławki stały puste, a połowa zasłon oddzielających nisze do spania od reszty pomieszczenia została zaciągnięta. Zza tych odsłoniętych widać było przygotowane posłania. Sądząc po późnej godzinie i ciszy panującej w donżonie, Maddie założyła, że te miejsca są obecnie niezajęte.

Kiedy się im przyjrzała uważniej, zobaczyła, że na wieszakach w środku nie ma żadnych osobistych rzeczy, więc doszła do wniosku, że miała rację. Przypomniała sobie wcześniejszy komentarz Willa o tym, że wysłanie patroli na poszukiwania zbiegów musiało uszczuplić załogę twierdzy. Ci, którzy zazwyczaj zajmowali te posłania, byli prawdopodobnie daleko od zamku, bezskutecznie szukając trojga uciekinierów.

Tu i ówdzie ktoś zakasłał przez sen albo przewrócił się z boku na bok. Maddie uznała to za dobry znak. Całkowita cisza oznaczałaby, że osoby znajdujące się w niszach nie śpią, tylko nasłuchują, a jej obecność została odkryta. Po drugiej stronie sali ktoś kichnął gwałtownie, zamamrotał coś i obrócił się na swoim posłaniu.

– Na zdrowie – szepnęła do siebie Maddie.

Podeszła do drzwi prowadzących do ogromnego holu na parterze donżonu.

Podobnie jak w kuchni, tutaj także było pusto. Rozjaśniał go słaby blask pochodni rozmieszczonych w uchwytych na ścianach. Maddie dostosowała swoją szybkość i rytm kroków do migotania płomieni, wykorzystując nierówne światło i wtapiając się w otoczenie tak, że była niemal całkowicie niezauważalna.

Will nazywał to „chowaniem się na widoku”. Wszyscy zwiadowcy ćwiczyli tę umiejętność, aż przychodziła im całkowicie naturalnie. Maddie stanęła pod głównymi wrotami prowadzącymi na dziedziniec. Ostrożnie podniosła antabę z żelaznych uchwytów i postawiła ją obok drzwi. Potem otworzyła je i wymknęła się na zewnątrz.





29

Maddie trzymała się blisko ściany donżonu i ostrożnie skradała wzdłuż niej tak długo, aż dotarła do narożnika naprzeciwko południowo-zachodniej wieży. Podczas gdy ona i Will byli uwięzieni, Halt ustalił, że Giles ponownie został umieszczony w tej samej komnacie co poprzednio.

Teraz jednak w miejscu, gdzie mur stykał się z basztą, stało przez cały czas dwóch wartowników, co skutecznie uniemożliwiało wspinaczkę po zewnętrznej ścianie i dotarcie do znajdującej się wyżej komnaty Gilesa. Gdyby Maddie tego spróbowała, na pewno zostałaby zauważona, a żołnierze podnieśliby alarm.

To pozostawiało tylko jedną możliwość. Musiała wejść do wieży na parterze i prześlizgnąć się obok wartowni i przejścia na mury. Poprzednio sprawdzili, że schody są widoczne z wartowni, więc każda wchodząca po nich osoba zostałaby zauważona przez pół tuzina strażników odpoczywających tam po służbie. Podczas poprzedniej próby uwolnienia Gilesa Maddie i Will uznali to za zbyt ryzykowne.

Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Ponieważ połowa garnizonu została wysłana na poszukiwania zbiegłych zwiadowców, obsada zamku była mocno uszczuplona. Poza tym po obu stronach wieży ustawiono dodatkowych wartowników wypatrujących, czy ktoś się na nią nie wspina, co oznaczało, że w wartowni przebywało najwyżej dwóch lub trzech żołnierzy po służbie. Istniała spora szansa, że będą spać. Troje zwiadowców przedyskutowało to wcześniej i zgodziło się,

że najlepszym pomysłem dla Maddie będzie wejście po wewnętrznych schodach i wykorzystanie wpojonej umiejętności skradania się, aby uniknąć wykrycia.

Czym innym będzie powrót na dół z Gilesem, ale Maddie uznała, że pomartwi się o to, kiedy przyjdzie czas. Będą schodzić z wieży długo po północy, gdy czujność strażników stanie się najmniejsza.

Maddie przyjrzała się blankom murów oraz spacerującym po nich żołnierzom. Jak zawsze patrolowali je regularnie i jak zawsze ich uwaga była zwrócona na zewnątrz zamku. Dwaj wartownicy przydzieleni do pilnowania wieży stali plecami do dziedzińca i nie odrywali wzroku od półokrągłej ściany przed sobą. Maddie rozejrzała się szybko i upewniła się, że również na dziedzińcu nie ma nikogo. Odetchnęła głęboko i przebiegła lekko po kamiennych płytach do wrót prowadzących do wieży.

Dotarła do jej podnóża niezauważona przez nikogo i przycisnęła plecy do nierównych kamieni przy drzwiach. Słyszała nad sobą miarowe kroki żołnierzy patrolujących mury w jedną i w drugą stronę. Wpatrywali się w ciemności rozciągające się na zewnątrz zamku, wyczuleni na wszystko, co mogłoby świadczyć o ataku nieprzyjaciela. Ponieważ robili to każdej nocy i nie pojawiała się żadne zagrożenie, ich czujność słabła. Noc po nocy, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, nie widzieli niczego niepokojącego. A skoro nigdy niczego nie dostrzegali, to nie spodziewali się niczego zobaczyć. Gdyby nieprzyjaciel regularnie przeprowadzał ataki rozpoznawcze, aby sprawdzać zamkowe systemy obronne, byłiby uważni i czujni. W obecnej sytuacji zmysły mieli przytępione, a w ich postępowanie wkradła się czysta rutyna.

Wszystko to działało na korzyść Maddie. Znudzeni wartownicy, którzy tylko częściowo zwracali uwagę na otoczenie, zwykle lekceważyli okazjonalne odgłosy, które mogliby słyszeć, albo poruszenia, które mogliby spostrzec. Nic się nigdy nie stało, więc zakładali, że nic się nigdy nie stanie.

Maddie usłyszała przytłumione głosy, kiedy dwóch strażników zatrzymało się na końcu patrolowanego odcinka i zaczęło rozmawiać. Wykorzystała to, że ich słowa zagłuszyłyby w razie potrzeby jej cichy ruch, ujęła żelazny pierścień zastępujący klamkę i ostrożnie go obróciła. Obręcz poruszyła się, unosząc zapadkę

wewnątrz. Maddie naparła na wrota, które uchyliły się do środka, poruszając się bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Zapamiętała na przyszłość, że taka staranność utrzymania mogła się wydawać pożądana, ale w rzeczywistości stanowiła zagrożenie dla bezpieczeństwa. Hałaśliwe, skrzypiące drzwi na zardzewiałych zawiasach pomagały obrońcom usłyszeć każdego intruza, który próbowałby się zakraść do wnętrza.

Wzruszyła ramionami – to był problem Lassigny’ego, a nie jej. Uchyliła szerzej wrota i wślizgnęła się do środka, zamknęła je za sobą i oparła się o nie, nasłuchując, czy w pobliżu nic się nie porusza. Zaczekała, aż jej serce zwolni rytm, a oczy przywykną do półmroku.

Kiedy już miała pewność, że nikt jej nie zauważył ani nie usłyszał, podeszła bezszelestnie do biegnących spiralnie w górę schodów, których zarys widziała teraz w słabym świetle. Czubkiem buta wypróbowała pierwszy z nich. Schody były drewniane, co oznaczało, że niektóre stopnie mogły być celowo zrobione tak, by skrzypieć. Trzymając się z boku, aby w razie czego jak najmniej poruszyć obluzowane deski, wspięła się szybko na pierwsze piętro. Zatrzymała się znowu, nasłuchując. Ponieważ nic nie usłyszała, minęła jak duch kolejną kondygnację. Nadal nie słyszała ani nie widziała nikogo, więc ruszyła dalej. Pokonanie następnego piętra było trudniejsze, ponieważ znajdowało się ono na wysokości murów i było widoczne z wartowni. Maddie zatrzymała się, kiedy jej głowa wynurzyła się kawałek spod podłogi. Wodziła wzrokiem w lewo i w prawo i nastawiała uszu na wszystko, co mogłoby świadczyć o zaniepokojeniu żołnierzy.

Usłyszała stłumioną rozmowę, więc przysłuchiwała się jej uważnie przez jakąś minutę. Uznała, że to najwyżej dwa głosy, nie więcej. Kiedy spojrzała pomiędzy prętami poręczy, zobaczyła naprzeciwko słabo oświetlone wnętrze wartowni. Dwóch ludzi siedziało pochylonych nad prostym drewnianym stołem stojącym na środku pomieszczenia. Na blacie pomiędzy nimi znajdowała się latarnia z pojedynczą świecą, a chociaż dawała niewiele światła, to wystarczyło, żeby oślepić żołnierzy i uniemożliwić im widzenie w ciemnościach, nawet gdyby nagle spojrzeli w stronę ciemnego prostokąta drzwi i znajdujących się za nim schodów.

Maddie bezgłośnie obeszła poręcz i znalazła się na schodach prowadzących na wyższe piętro. Ponieważ biegły w przeciwną stronę niż poprzednie, ukryła się przed wzrokiem strażników, gdy tylko na nie weszła. Odetchnęła leciutko z ulgą i ruszyła dalej w górę, zatrzymując się na każdym poziomie, żeby nasłuchiwać i wypatrywać niebezpieczeństwa.

Książę był przetrzymywany na siódmym, przedostatnim piętrze. Tym razem zwiadowczyni zatrzymała się, zanim na nie weszła, i znów zaczęła nadstawiać uszu, wyęzając wszystkie zmysły. Komnata Gilesa znajdowała się po lewej, więc Maddie odwróciła głowę w jej stronę. Przez kilka sekund nic nie słyszała i już miała wejść wyżej, gdy nagle dobiegło ją skrzypnięcie krzesła – ktoś siedzący na nim zmieniał pozycję – a także czyjś głos zadający pytanie. Mówił po galijsku, więc nie zrozumiała, o co chodzi.

Podkraśla się na czworakach do góry, aż mogła wyrzeć na podest piętra. Oczywiście zobaczyła dwóch uzbrojonych wartowników siedzących na siedziskach zrobionych z drewna i płótna, pod drzwiami znajdującymi się około siedmiu metrów od niej.

Maddie cofnęła się o kilka stopni, żeby zniknąć im z oczu, i odwinęła procę z przedramienia. Obaj żołnierze mieli założone filcowe czapki, a nie hełmy, więc z satysfakcją się uśmiechnęła i wyjęła dwa otoczaki ze swojego woreczka. Nakrycia głowy ochronią właścicieli, dzięki czemu pociski z procy ogłuszają ich tylko, a nie zabijają. Wsunęła kamień w miseczkę, a potem nisko pochyłona wyszła na siódme piętro, trzymając za plecami obciążoną broń. W lewej ręce miała przygotowany drugi otoczak.

Zdecydowała już, że jej pierwszym celem będzie strażnik znajdujący się dalej od niej. Był częściowo zwrócony w jej stronę, podczas gdy jego towarzysz siedział plecami do schodów. Maddie zrobiła pół kroku naprzód, zakręciła procą i wyrzuciła z niej pocisk w momencie, gdy osiągnął największą prędkość.

Gładki, zaokrąglony kamień trafił wartownika prosto w czoło, tuż nad brzegiem filcowej czapki. Żołnierz jęknął z zaskoczenia, zamachał rękami i razem z krzesłem przewrócił się nieprzytomny na podłogę.

Tak jak się spodziewała, drugi strażnik zerwał się natychmiast z miejsca i podszedł do rozciągniętego na podłodze towarzysza, aby

sprawdzić, co mu się stało. Ten moment niepewności dał Maddie czas potrzebny na przeładowanie procy. Kiedy zaskoczony zbrojny odwrócił się w jej stronę, wypuściła kolejny pocisk.

ŁUP!

Odgłos kamienia uderzającego w głowę mężczyzny – ponownie ponad krawędzią filcowej czapki – rozbrzmiał wyjątkowo nieprzyjemnie. Żołnierz, podobnie jak wcześniej jego kolega, machnął ramionami i runął bezwładnie na ziemię, upadając w poprzek na nieruchome ciało swojego partnera.

Maddie wepchnęła procę do kieszeni, wyciągnęła sakse i szybkim krokiem podeszła do nieprzytomnych strażników. Z ulgą stwierdziła, że obaj nadal oddychają – nie chciała zabijać niewinnych ludzi wykonujących tylko swoje obowiązki, bez względu na to, dla kogo pracowali. Przykłęka przy drugim wartowniku i ostrożnie odchyliła mu powiekę. Zobaczyła zaszklone, nieprzytomne oko. Mężczyzna był solidnie ogłuszony i prawdopodobnie obudzi się dopiero po dłuższym czasie. Szybkie sprawdzenie upewniło ją, że jego towarzysz znajduje się w identycznym stanie. Maddie odpięła ogromny pęk kluczy od pasa drugiego żołnierza. Schowała sakse do pochwy, wstała, podeszła do drzwi i przejrzała klucze, szukając takiego, który by pasował.

Był to drugi, którego spróbowała. Zamek szczęknął, a wrota otworzyły się na kilka centymetrów, więc popchnęła je ramieniem i wsunęła się do wnętrza komnaty.

Giles siedział skulony na łóżku, z dala od wejścia, z kolanami podciągniętymi pod brodę.

– Czego chcesz? – zapytał drżącym głosem. – Kim jesteś? – Kiedy Maddie podeszła bliżej, rozpoznał ją i jęknął z zaskoczenia. – To ty! Skąd się tu wzięłaś? Mówili, że uciekliście z powrotem do Araluenu.

– Jak widzisz, byliśmy niedaleko – odparła Maddie.

Zrobiła jeszcze krok w stronę łóżka, a Giles spróbował się cofnąć, podciągając koc pod brodę absurdalnie dziecinnym gestem. Maddie przewróciła oczami i spojrzała na niego z bezbrzeżną pogardą.

– Może spróbuj naciągnąć go sobie na głowę? – zaproponowała ironicznie. – Może to sprawi, że zniknę.

– Czego chcesz? – powtórzył pytanie Giles i dodał z nutą hysterii w głosie: – Idź sobie! Zostaw mnie w spokoju!

– Przykro mi, ale to niemożliwe – oznajmiła szorstko Maddie. – Uciekniemy stąd i wrócisz do swojego ojca.

Jej słowa sprawiły, że oczy Gilesa otworzyły się szeroko z przerażenia.

– Nie! – krzyknął piskliwie. – Zrobią mi krzywdę, jeśli jeszcze raz spróbuję ucieczki. On tak powiedział.

– Znowu? – zapytała Maddie. – O ile pamiętam, poprzednio niezbyt się wysiliłeś. Kto powiedział, że robi ci krzywdę?

– Baron – odparł Giles, rozglądając się, jakby sama wzmianka o nim mogła sprawić, że Lassigny pojawi się jak zły duch.

Maddie zrozumiała, że księżę jest sparaliżowany strachem. Aby zmusić go do ruszenia się z miejsca, musiała zaszczepić w nim jeszcze większy lęk. Nie miała czasu, żeby z nim rozmawiać ani go przekonywać. Im dłużej zwlekali, w tym większym byli niebezpieczeństwie. Powoli wyciągnęła sakwę. Światło pojedynczej świecy na stole odbiło się w ostrzu, rzucając na ścianę chybotliwy odblask.

– Ty bezużyteczny mięczaku – odezwała się twardo. – Wstawaj z tego łóżka i zakładaj buty, albo pozbawię cię uszu.

To w końcu podziałało. Giles, pociągając rozpaczliwie nosem, ściągnął z siebie koc i zsunął nogi z łóżka, na oślep poszukując butów bosymi stopami. Wreszcie je znalazł i włożył.

Maddie westchnęła z irytacją.

– Założyłeś na odwrót – powiedziała.

Nie mogła pozwolić, żeby potykał się podczas schodzenia po schodach z powodu źle założonych butów. Mógłby się wtedy przewrócić i zaalarmować strażników na dole. Giles pospiesznie, nie odrywając wzroku od lśniącej saksy, wsunął obuwie prawidłowo i wstał. Nadal starał się trzymać z dala od Maddie.

– Ruszaj! – poleciła, popierając to ruchem saksy.

Giles niechętnie podszedł do wyjścia, pojękując cichutko.

Maddie pomyślała, że jeśli on kiedykolwiek zostanie królem, kraj czekają ciężkie czasy. Otworzyła drzwi i wypchnęła go na zewnątrz. Giles zatrzymał się z niemym okrzykiem przerażenia na widok leżących na podłodze żołnierzy.

– Czy oni nie żyją? – zapytał.

– Zimne trupy – skłamała Maddie. Doszła do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli Giles uzna ją za bezlitosną zabójczynię. – A ty do nich dołączysz, jeśli nie będziesz się ruszać.

Giles z lękiem skierował się do zejścia, oglądając się na idącą tuż za nim Maddie. Cały czas wyrywały mu się cichutkie jęki, więc na szczycie schodów Maddie zatrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu i pochylając się tak, że musiał na nią patrzeć.

– Posłuchaj mnie – powiedziała. – Tam na dole są strażnicy i jeśli nie przestaniesz tak stękać, mogą cię usłyszeć. Bądź cicho albo wykończę cię i tutaj zostawię. Twój ojciec wolałby cię odzyskać żywego, ale jeśli będziesz martwy, Lassigny nie będzie mógł cię używać jako karty przetargowej. Czy to jasne?

Oczywiście nie zamierzała go zabijać i porzucać jego ciała, ale Giles o tym nie wiedział. Gdyby Maddie była starsza i bardziej doświadczona, być może zdołałaby przekonać go, żeby jej zaufał, dzięki spokojnym, rozsądnym argumentom i pokrzepiającym słowom. Ale była młoda i także zdenerwowana, ponieważ sama musiała walczyć z przyływem paniki, gdy Giles marnował czas i opóźniał ich ucieczkę. Co więcej, wyczuwała, że książę jest mniej skłonny jej zaufać, bo Maddie jest dziewczyną, a jego wychowanie i przyzwyczajenia działały na jej niekorzyść. Jedynym wyjściem, jakie widziała, było zaszczepienie w nim odpowiedniego strachu.

Giles zobaczył malującą się na jej twarzy ponurą determinację, spojrzał jeszcze raz na ostrą jak brzytwa saksę i z przekonaniem pokiwał głową. Maddie popchnęła go w stronę schodów.

– Doskonale. No to ruszaj dalej i bądź cicho – nakazała.

Oboje zaczęli zmierzać na dół.



30

Wszystko szło gładko, dopóki nie znaleźli się na piętrze ponad wartownią. Kiedy obchodzili zakręt schodów, Maddie usłyszała dobiegający z dołu szmer głosów. Uniosła dłoń, aby zatrzymać Gilesa, który był o dwa stopnie za nią. Odwróciła się teraz do niego, powiedziała bezgłośnie: „Zaczekaj” i zeszła jeszcze kilka stopni.

Z rozpaczą zobaczyła dwa ciemne kształty na schodach przed otwartymi drzwiami wartowni. Dwóch strażników postanowiło przenieść się na schody i siedzieli teraz, podając sobie na przemian butelkę wina.

Maddie syknęła niecierpliwie. Nie mogła sprawdzić, ilu żołnierzy jest obecnie w wartowni i czy śpią, czy też czuwają. Gdyby spróbowała ogłuszyć zbrojnych na schodach, tak jak zrobiła wcześniej z wartownikami przed komnatą Gilesa, ryzykowała, że ktoś w wartowni zobaczy, jak upadają, i podniesie alarm. Uznała, że musi ich po prostu przetrzymać – poczekać, aż się znudzą lub też dopiją wino i wrócą do środka. Kucała na stopniach i obserwowała ich, kiedy jej uwagę zwróciło ciche zawodzenie dochodzące z góry, z miejsca, gdzie zostawiła Gilesa. Na razie było ledwie słyszalne, ale stawało się głośniejsze i było tylko kwestią czasu, gdy usłyszą je strażnicy na dole. Maddie pospiesznie wycofała się wzwyż.

Giles siedział na stopniu, ukryty przed wzrokiem strażników za zakrętem schodów, kiwał się do przodu i do tyłu z twarzą ukrytą w dłoniach i jęczał z przerażenia. Kołysanie stawało się coraz

gwałtowniejsze, a kwilenie coraz głośniejsze. Maddie przykucnęła przy nim i przysunęła usta na kilka centymetrów do jego ucha. Giles nadal chwiał się i zawodził, nie zauważając jej obecności. Ponieważ wiedziała, że jeśli go zaskoczy, książkę może krzyknąć z przerażenia, dotknęła lekko jego ramienia.

– Gilesie – szepnęła. – Wszystko będzie dobrze. Uspokój się.

Jednak kołysanie nie ustało, a jęki znowu przybrały na sile. Maddie uznała, że nie ma innego wyboru, jak zaryzykować i wyrwać go z tego odrętwienia. Zamachnęła się i go spoliczkowała.

Giles błyskawicznie usiadł prosto i rozejrzał się szeroko otwartymi oczami. Przestał jęczeć, ale patrzył na nią, jakby nie rozumiał, co się właśnie stało. Maddie pochyliła się do niego.

– Bądź cicho – szepnęła. – Bądź cicho, bo inaczej cię usłyszą.

Otworzył usta, żeby jej odpowiedzieć, ale ona natychmiast zacisnęła na nich dłoń, uciszając go. Z obawą spojrzała w dół. Nie widziała w tym momencie strażników, ale słyszała, że przerwali rozmowę. Z pewnością usłyszeli ostry trzask wymierzanego policzka. Czekwała, wstrzymując oddech. Spojrzała Gilesowi w oczy i energicznie pokręciła głową, żeby uprzedzić jakikolwiek dźwięk, który mógłby wydać.

W końcu jeden z żołnierzy na dole się odezwał. Mówił po gallijsku, więc Maddie go nie rozumiała, ale ton głosu jasno wskazywał, o co mu chodzi. Zastanawiał się nad dziwnym dźwiękiem, który usłyszał. Drugi odpowiedział mu, ale znacznie spokojniejszym, wręcz lekceważącym tonem. Najwyraźniej nie uważał tego odgłosu za istotny i namawiał towarzysza, żeby go zignorował. W końcu pierwszy zbrojny burknął coś, co zapewne oznaczało wyrażenie zgody, a zaraz potem Maddie usłyszała chlupot niemal opróżnionej butelki, która została przechylona, aby jeden ze strażników mógł pociągnąć kolejny długi łyk.

„Kończcie to wino i idźcie spać!”, poganiała ich w myślach Maddie. Urywana dyskusja toczyła się dalej. Najwyraźniej wątpliwości pierwszego strażnika zostały rozwiane, ale obaj żołnierze nadal siedzieli na schodach, odpoczywając i rozmawiając. Maddie zaczęła się niecierpliwić. Ile jeszcze zamierzają tam zostać? Czas biegł nieubłaganie. Jeśli Maddie i Giles pozostaną tutaj zbyt długo, zamkowa służba zacznie się budzić i podejmie codzienne obowiązki.

To oznaczało, że w kuchni będzie mnóstwo ludzi, a ucieczka przez zsyp na śmieci stanie się niemożliwa. Zresztą, nawet gdyby udało im się wślizgnąć do tunelu, wyłoniliby się z niego w świetle dnia, na widoku każdego obserwatora, który mógłby się znajdować na murach.

Giles zaczął się wiercić, a Maddie zdała sobie sprawę, że nadal zaciska dłoń na jego ustach. Powoli uwolniła go, ale jej ostrzegawczy wzrok podpowiadał, że książkę ma nie pisać ani słowa. Jego szeroko otwarte oczy były pełne strachu, ale skinął kilka razy głową. Siedzieli obok siebie w milczeniu i czekali, aż dwóch pijaków w końcu się ruszy.

Maddie przypuszczała, że minęło jakieś trzydzieści minut, kiedy wreszcie usłyszała szuranie butów na schodach. Obaj żołnierze wstali, przeciągnęli się i powoli wrócili do wartowni. Maddie spojrzała na Gilesa, rzuciła bezgłośnie: „Zaczekaj tutaj”, a potem podniosła się i zeszła bezszelestnie kawałek w dół, aż do miejsca, z którego mogła zobaczyć, że strażnicy naprawdę poszli. Drzwi do wartowni były przymknięte i powinny osłonić ją i Gilesa, kiedy będą je mijać. Maddie podbiegła w górę do czekającego księcia i wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu wstać. Potem poprowadziła go w dół, poruszając się powoli, aby uniknąć hałasu. Nie mogła wykluczyć, że dwaj żołnierze jeszcze nie śpią.

Nie rozległ się jednak żaden ostrzegawczy okrzyk, gdy mijali drzwi i przemykali dalej, ukryci w ciemności na schodach. Słaba latarnia, nadal paląca się we wnętrzu wartowni, pomogła ukryć ich obecność, ponieważ ciemne zejście wydawało się w porównaniu z blaskiem świecy jeszcze ciemniejsze.

Przynajmniej Giles przestał już stawiać opór i protestować. Najwyraźniej pogodził się z sytuacją i kiedy pokonywali ostatnie piętra dzielące ich od parteru, szedł posłusznie za Maddie.

Gdy znaleźli się pod wrotami prowadzącymi na dziedziniec, Maddie uniosła dłoń i dała znak Gilesowi, żeby się zatrzymał. Podeszła do drzwi, podniosła zapadkę i ostrożnie uchyliła je na kilka centymetrów, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

W zasięgu wzroku nie dostrzegła nikogo, więc odetchnęła z ulgą. Mimo to zaczęła czekać chwilę. Wiedziała, że jeden z patroli nocnych przechodzi tędy w regularnych odstępach czasu. Gdyby żołnierze

wyszli z za donżonu w momencie, gdy ona i Giles będą przebiegać przez dziedziniec, na pewno podnieśliby alarm. Nie знаła rozkładu obchodów i nie wiedziała, czy zbrojni krążą po swojej trasie nieustannie, czy też robią przerwy. Kusiło ją, żeby poczekać kilka minut i przekonać się, czy się pojawią, ale odrzuciła ten pomysł. Wiedziała, że świt nadejdzie już niedługo, a ona musiała nadrobić czas stracony na schodach. Podjęła decyzję, cofnęła się, ujęła stanowczym ruchem księcia za ramię, wyprowadziła go na otwartą przestrzeń i zamknęła za nimi drzwi.

Przez sekundę albo dwie Giles stawiał opór, ale Maddie spiorunowała go wzrokiem i przytrzymała za rękę, niemal siłą ciągnąc go przez dziedziniec pod ścianę donżonu. Czuła się okropnie bezbronna. Ciarki chodziły jej po plecach na myśl o strażnikach, którzy zauważą z murów dwie poruszające się sylwetki, wycelują w nich z kuszy i uderzą na alarm w dzwon. Giles opierał się i próbował jej się wyrwać, więc pociągnęła go jeszcze mocniej i zmusiła swojego niechętnego towarzysza, żeby ruszał się szybciej.

Przemknęli wzdłuż ściany donżonu do głównego wejścia, które Maddie otworzyła, a potem gestem kazała Gilesowi wejść do środka.

Poświęciła kilka sekund na wsunięcie na miejsce antaby w drzwiach. Nie było sensu zostawiać ich otwartych – to wzbudziłoby podejrzenia i mogłoby sprawić, że ktoś w zamku podniósłby alarm. Kiedy wrota były zamknięte zasuwą, Maddie ruszyła jako pierwsza przez parter, kierując się do kuchni.

Ostrożnie zajrzała do środka, ale ogromne wnętrze było nadal puste, oświetlone tylko przez kilka latarni na ścianach. Długie stoły ciągnęły się w głąb pomieszczenia i znikały w półmroku. Maddie usłyszała niedaleko trzaśnięcie drzwi i zbliżające się szybkie kroki. Nie mieli czasu. Pociągnęła nieszczęsnego księcia prawie biegiem przez kuchnię do schodów prowadzących na niższy poziom. Giles potknął się, ale Maddie nie pozwoliła mu upaść ani przystanąć. Kiedy znaleźli się przy zejściu, ruszyła w dół bez zatrzymywania się. Czuła dreszcze na skórze, a nerwy miała napięte jak struny, ponieważ cały czas się spodziewała, że z tyłu dobiegnie ostrzegawczy okrzyk.

Nie rozległ się jednak żaden głos, nic nie świadczyło o tym, że zostali zauważeni, więc Maddie zwolniła trochę tempo schodzenia

po szerokich kamiennych schodach.

– Tylko tego mi teraz trzeba, żebyś się przewrócił i złamał nogę – powiedziała półgłosem.

Giles zareagował na to kolejnym stłumionym jękiem przerażenia.

Kiedy znaleźli się u wlotu zsypu na śmieci, Maddie zatrzymała się, wyjęła latarnię, krzesiwo i hubkę, i ponownie zapaliła świecę. Słyszała teraz głosy i kroki w górnej kuchni, więc musiała się zmuszać, żeby zachować spokój w ruchach. Płomyk zalśnił wewnątrz latarni i pojaśniał, kiedy wyszlifowana płytka spotęgowała i skoncentrowała jego blask. Maddie wskazała szyb.

– Wskakuj – powiedziała.

Giles przez chwilę wpatrywał się w nią z zaskoczeniem malującym się na twarzy. W końcu zrozumiał, o co jej chodzi, i gwałtownie potrząsnął głową, cofając się jak najdalej od ciemnej dziury prowadzącej do tunelu zsykowego.

– No już! – ponagliła go Maddie.

Głosy na górze stały się wyraźniejsze i tylko kwestią czasu było, aż ktoś zejdzie i ich zauważy. Jednak Giles odmówił współpracy. Pokręcił głową i zaskomlał, otwierając oczy tak szeroko, że nawet w półmroku widać było ich białka.

– Pospiesz się, ty mięczaku! – rzuciła Maddie, ale Giles nadal odmawiał, odsuwając się wzdłuż ściany od zsypu.

Sięgnęła do kieszeni i zacisnęła palce na zimnym, zrobionym z brązu cylindrze, w którym trzymała hubkę. Postawiła latarnię na stole i wyciągnęła przedmiot ukryty w pięści. Lewą ręką pokazała sufit.

– Cóż, tamtędy nie uciekniemy – powiedziała, a Giles, tak jak miała nadzieję, podniósł głowę, żeby spojrzeć w stronę, którą wskazywała, i odsłonił przy tym szczękę. – Przepraszam za to – mruknęła Maddie pod nosem, zamachnęła się obciążoną pięścią i trafiła go w żuchwę krótkim i szybkim prawym hakiem.

Oczy Gilesa zaszklily się, a kolana pod nim ugięły. Maddie złapała go, zanim upadł na podłogę, i pociągnęła chwiejącego się na nogach i oszołomionego chłopaka do zsypu. Wsunęła ramię pod jego uda i z siłą biorącą się ze skrajnej desperacji podniosła go, żeby wepchnąć stopami naprzód w otwór. Opuściła go na plecach w ciemną dziurę i chwyciła za ręce, tak żeby miał je wyciągnięte nad głową. To

pozwalalo ograniczyć ryzyko, że zdoła rozłożyć ramiona i przestanie się ześlizgiwać, a przez to zablokuje tunel. Maddie pochyliła się nad wlotem zsypu i opuściła księcia jeszcze niżej, trzymając go za nadgarstki. Kiedy nie mogła już wychylić się dalej, wypuściła go i popchnęła dodatkowo. Usłyszała, że Giles zsuwa się kamiennym tunelem wygładzonym przez wrzucane do niego latami odpadki i liczne kubły wody wlewane do środka, żeby splukać śmieci. To podsunęło jej pewien pomysł, a kiedy się rozejrzała, jej oczy rozjaśniły się na widok stojącego obok wielkiego wiadra. Było pełne wody, przygotowane, żeby zmyć kolejną porcję wyrzucanych resztek.

Maddie uznała, że to może ułatwić zejście tunelem, więc przyciągnęła ciężkie wiadro do zsypu. Napięła mięśnie kolan i ud, żeby podnieść kubek do otworu i go przechyliła. Woda wlała się do środka, a z dołu dobiegł ją cichy okrzyk przerażenia. Maddie sięgnęła po latarnię i przysiadła na chwilę na krawędzi szybu. Szybko przerzuciła nogi do dziury, wsunęła się w tunel i zaczęła zjeżdżać na plecach, trzymając ramiona skrzyżowane na piersi.

Gładka skała, nawilżona wylaną przed chwilą wodą, nie stawiała oporu, więc Maddie zjeżdżała, cały czas przyspieszając. Na moment się zaniepokoiła tym, co będzie, jeśli Giles zdołał się zatrzymać i zablokować zsyp, ale szybko odsunęła tę myśl.

– Wtedy po prostu popchnę go dalej – powiedziała do siebie.

Mijała ściany tunelu, oświetlone słabym blaskiem migoczącej latarni.

W dół poruszała się błyskawicznie w porównaniu do powolnej i męczącej wspinaczki pod górę kilka godzin temu. Ponieważ leżała na plecach, nie mogła spojrzeć w głąb szybu i ocenić, jak daleko się znajduje, ale poczuła, że nachylenie staje się mniejsze, co oznaczało, że jest już w dolnej części. Nadal się ześlizgiwała, trochę wolniej niż wcześniej, ale wciąż dość szybko, co sprawiło, że gdy nagle wypadła na światło dzienne na końcu tunelu, uderzyła boleśnie o skały, przetoczyła się po miękkich resztkach wyrzuconych wcześniej śmieci i ostatecznie wywołała jęk bólu Gilesa, bo kopnęła go niechcący w żebra. Książę leżał, nadal oszołomiony, nieco poniżej wylotu szybu.

Maddie ostrożnie podniosła głowę i stęknęła, kiedy poczuła siniaki powstałe przy uderzeniu o kamienie. Słońce już wstało, a światło po

ciemności tunelu wydawało się jej oślepiające.

– Chyba nam się udało. – Odetchnęła.

Giles nie odpowiedział.



31

Maddie! – rozległo się nagłące wołanie Willa. Maddie podniosła się z trudem na nogi i spojrzała na drugą stronę wąskiego kanału, gdzie zwiadowca kuczał za skałami. Podniósł w jednej ręce zwiniętą linę, gotów ją rzucić, więc machnęła do niego, dając znak, że może to zrobić.

Sznur śmignął nad wodą i wylądował na kamieniach obok Maddie. Chwyciła jego koniec i podbiegła do Gilesa, który zaczął się właśnie poruszać. Podpierał się na dłoniach i kolanach, pojękując cicho.

– Nic więcej nie musisz robić – mruknęła Maddie i obwiązała go liną pod pachami.

Giles spojrzał na nią bezmyślnie, więc wsunęła mu ręce pod ramiona i postawiła go brutalnie na nogi. Nie miała czasu zdejmować wierzchniego ubrania tak jak wcześniej. Lada moment ktoś na murach mógł ich zauważyć, co spowodowałoby podniesienie alarmu w zamku. Zmusiła Gilesa, żeby przeszedł po skałach nad wodę, i spojrzała na Willa, który czekał w gotowości, aby przeciągnąć ich na drugą stronę.

– Szybciej! – zawołał Will, starając się być słyszalny dla Maddie, ale jednocześnie nie podnosić głosu.

W rezultacie zabrzmiało to jak dziwny, zduszony skrzek. Maddie machnęła ręką.

– Spieszę się, jak mogę – mruknęła, chociaż wiedziała, że Will jej nie usłyszy.

Giles potknął się kilka razy na kamiennym nabrzeżu, więc w końcu złapała go za kołnierz, żeby pomóc mu utrzymać się w pionie. Na krawędzi wody księżę zatrzymał się, zaparł nogami i nie pozwolił ruszyć dalej.

– No już! – syknęła do niego Maddie, ale on nadal się zapierał i nie chciał zrobić nawet kroku. – Zaczynam się zastanawiać, po co w ogóle zawracam sobie tobą głowę – oznajmiła.

Objęła go ramionami i skoczyła w falującą wodę, pociągając za sobą stawiającego opór księcia. Will natychmiast zaczął zwijać sznur. Maddie i Giles na moment zanurzyli się w pełni, ale lina szarpnęła i wyciągnęła ich zaraz na powierzchnię. Maddie uczepliła się kurczowo księcia, a Will ciągnął ich przez wzburzone fale w bezpieczne miejsce. W niecałą minutę byli po drugiej stronie. Giles, kaszląc i plując, rozciągnął się na samym brzegu, więc Will pospiesznie złapał go za kołnierz i wtargał za skały. Maddie poszła w ich ślady, przemoczona i ociekająca wodą. Will podał jej pelerynę.

– Masz – powiedział.

Maddie owinęła się płaszczem, żeby trochę się ogrzać. Will zawahał się, patrząc na równie przemoczonego Gilesa.

– Nie mam nic dla niego – stwierdził.

Chciał rozpiąć swoją pelerynę, ale Maddie go powstrzymała.

– W takim razie ma pecha – oznajmiła brutalnie. – Będzie musiał marznąć.

Myśl o Willu oddającym własne okrycie rozpieszczonemu, samolubnemu galijskiemu księciu wydała jej się zupełnie nieznośna. Giles nie okazał do tej pory żadnej wdzięczności ani nie współpracował przy swojej ucieczce. Zdaniem Maddie mógł sobie marznąć do woli. Wskazała kciukiem drogę nad nimi.

– Chodźmy – powiedziała.

Will rzucił jej zaskoczone spojrzenie – taki brak współczucia był dla niej nietypowy – ale skinął głową. Wziął Gilesa pod ramię i zaczął go ciągnąć pod górę. Maddie szła za nimi i popychała księcia od czasu do czasu, jeśli się zawahał lub próbował zatrzymać.

Z trudem wspinali się po skalistym zboczu, lawirując między wielkimi głazami i potykając się na luźnych kamieniach. Nie dałoby się pokonać tej odległości szybko, nawet gdyby Giles nie zachowywał się, jakby celowo chciał im to utrudnić. Był prawdziwą kulą u nogi,

wymagał poganiania i zachęcania przy każdym kroku, co sprawiało, że poruszali się w ślimaczym tempie.

Znajdowali się mniej więcej w połowie drogi na górę, kiedy usłyszeli okrzyk z murów zamkowych. Maddie odwróciła się i popatrzyła na drugą stronę kanału. Na blankach stali żołnierze, którzy wskazywali ich palcami i coś krzyczeli. Na jej oczach jeden z nich pobiegł do wartowni, żeby podnieść alarm. Dwaj strażnicy wycelowali do nich z kusz, a zaraz potem Maddie usłyszała szczęk, kiedy wypuścili bełty. Jeden z pocisków uderzył o skały kilka metrów od niej. Nie zauważyła, gdzie poleciał drugi, ponieważ zaraz potem jeden z kuszników zamachał rękami, upuścił broń i upadł do tyłu, na platformę od wewnętrznej strony murów, znikając jej z oczu.

– To na pewno Halt – wyjaśnił Will, kiedy Maddie rzuciła mu pytające spojrzenie. – On i Horace czekają na nas na górze. Nie pozwoli im się za bardzo wychylać.

Zanim skończył mówić, Maddie zobaczyła, że jeszcze jeden żołnierz spadł z murów. Kilka sekund później w wartowni zaczął bić dzwon na alarm.

– Chodźmy! – popędził ją Will. – Lada chwila wyślą za nami patrol.

Nawet Giles zorientował się chyba w powadze sytuacji i także zaczął się żwawiej wspinać po stromym, skalistym zboczu w kierunku drogi. Kiedy Maddie popatrzyła w górę, zobaczyła Horace'a wychylającego się znad krawędzi, spoglądającego na nich z wysokości i poganiającego ich, żeby przyspieszyli. Łatwiej jednak było powiedzieć, niż zrobić. Brzeg był usłany luźnymi kamieniami i żwirem, więc im szybciej próbowali się poruszać, tym bardziej tracili równowagę na nierównym podłożu. Wiele razy się potykali i zjeżdżali kilka metrów, bardziej cofając się, niż posuwając do przodu.

Maddie słyszała niski dźwięk, przypominający szarpanie struny, kiedy Halt raz za razem napinał łuk i wypuszczał strzały, żeby zmusić żołnierzy na murach do pozostawania w ukryciu. Zadyszana ze zmęczenia, popychała przed sobą Gilesa coraz wyżej na stromym zboczu.

– No dalej! – Horace pochylił się i wyciągnął rękę, żeby pomóc im na ostatnim odcinku.

Chwycił Gilesa za nadgarstek i po prostu go podniósł, żeby postawić obok siebie na drodze. Will zdołał sam wejść na górę, a po chwili dołączyła do niego Maddie, która oddychała ciężko z wysiłku. Przez moment stała bez ruchu, żeby opanować oddech i zorientować się w sytuacji.

Halt obserwował mury zamku, trzymając strzałę nałożoną na cięciwę. Wartownicy odebrali jednak bolesną nauczkę i nikt nie ośmielał się wychylić ponad blanki. W lukach pomiędzy nimi Maddie widziała przemykające sylwetki, kiedy żołnierze przekradali się z jednego miejsca w inne.

Horace miał na sobie pełną kolczugę, okrągły puklerz zawieszony na plecach i miecz w pochwie na biodrze. Podał Maddie jej łuk i kołczan ze strzałami, który przypięła sobie do pasa. Skinęła głową w podziękowaniu. Zobaczyła, że Will jest już podobnie uzbrojony. Kilka metrów dalej Wyrwij i Zderzak zarżały na powitanie. Abelard i Stamper także czekały w gotowości, a obok nich stał przywiązany piąty koń, prawdopodobnie przeznaczony dla Gilesa.

– Co was zatrzymało? – zapytał Horace. – Spodziewałem się, że o wiele wcześniej wyjdziecie z zamku.

Maddie skrzywiła się i wskazała kciukiem Gilesa.

– To jego wina – stwierdziła. – Musiałam z nim walczyć przez całą drogę.

W rzeczywistości główną przyczynę opóźnienia stanowiło dwóch strażników siedzących na schodach, ale Maddie była zbyt nieżyczliwie nastawiona do Gilesa, żeby o tym wspomnieć. Horace popatrzył na księcia, który stał nieszczęśliwy i ociekający wodą. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwał mu sygnał rogu, który rozległ się od strony zamku.

Strażnicy pilnujący bramy odsunęli się na boki, żeby przepuścić oddział, który wyjechał na most zwodzony i zatrzymał się na początku grobli. Było to dziesięciu uzbrojonych żołnierzy pod wodzą samego Lassigny'ego. Baron uniósł rękę, żeby zatrzymać swoich podkomendnych, i przyjrzał się niewielkiej grupce na drugim końcu wału.

– Uciekamy czy walczymy? – zapytał Horace i zrobił krok w stronę Stampera.

– Walczymy – odparł Will. – Jeśli spróbujemy uciekać, Giles nie zdoła utrzymać się w siodle.

Horace spojrział na księcia, któremu brakowało zarówno wyrobionych mięśni, jak i pewności siebie. Skinął głową, a potem jednym szybkim ruchem wskoczył na siodło. Troje zwiadowców rozstawiło się za nim na wąskiej drodze, trzymając łuki w pogotowiu i strzały nałożone na cięciwy. Giles instynktownie cofnął się za nich, żeby go osłaniali.



Po drugiej stronie grobli Lassigny przyglądał się uważnie przeciwnikom. Widział jednego rycerza na koniu oraz troje łuczników bez zbroi. Ponieważ był Gallem, nie miał okazji poznać siły i celności aralueńskich łuków bojowych. Nigdy nie miał do czynienia z taką bronią. Nawet pojedynkę Maddie z Armandem nie powiększył jego wiedzy w tym zakresie ani nie sprawił, że baron nabrał respektu do długich łuków. Jego zdaniem Maddie zawdzięczała zwycięstwo podstępowi i przebiegłym sztuczkom, a jej strzały nie zdołały ani razu przebić zbroi Armanda. W oczach Lassigny’ego łuk był bronią do polowań, niebezpieczną tylko dla zwierząt i ludzi bez zbroi.

Takie uzbrojenie nie stanowiło zagrożenia dla rycerza w zbroi, takiego jak on i dziesięciu towarzyszącym mu żołnierzom. Uniósł lancę nad głowę.

– Do ataku! – rozkazał, opuścił pikę poziomo i spiął ostrogami swojego konia bojowego.



Horace czekał z niezmaconym spokojem. Stamper przestąpił z nogi na nogę i potrząsnął grzywą na widok zbliżających się jeźdźców, więc Horace dotknął lekko jego szyi, żeby uspokoić konia. Potem odwrócił się do trojga zwiadowców stojących za nim w gotowości.

– Chcemy Lassigny’ego żywego – powiedział.

Halt skinął głową i spojrzał na dwoje swoich towarzyszy.

– Bierzemy na wprost – rozkazał. Will i Maddie zrozumieli to polecenie. Oznaczało, że mają celować w jeźdźców znajdujących się bezpośrednio naprzeciwko nich, żeby nie wypuścić dwóch strzał w jednego przeciwnika. – Gotowi – rzucił Halt.

Wszyscy troje unieśli łuki i je naciągnęli.

– Strzelać – powiedział Halt spokojnie.

Trzy strzały śmignęły w kierunku szarżujących zbrojnych.





32

Fekty były piorunujące.

Trzej żołnierze w pierwszym szeregu za Lassignym zostali wysadzeni z siodła. Dwóch po upadku na ziemię już się nie poruszyło. Trzeci rozpaczliwie próbował się odczołgać na bok, żeby nie wpaść pod kopyta galopujących zwierząt.

Równie wstrząsające rezultaty wywarło to na następnym szeregu. Konie stanęły dęba i zaczęły się rzucać, próbując ominąć leżących ludzi i wierzgające rumaki przed nimi. Jeden z wierzchowców odbił zbyt gwałtownie i stracił równowagę na kamieniach na skraju grobli, co sprawiło, że zsunął się po stromym, skalistym zboczu i zrzucił przy tym jeźdźca, który poranił się przy upadku i leżał, jęcząc cicho. Koń jakimś cudem zdołał odzyskać stabilność i wspiąć się z powrotem na drogę. Pogalopował w panice drogą do wsi, unosząc wysoko ogon i potrząsając łbem.

Lassigny usłyszał za sobą zderzające się zwierzęta i odgłosy upadających ciał, więc ściągnął wodze i zatrzymał się, podobnie jak pozostali żołnierze, którzy z trudem próbowali zapanować nad niepewnymi i wystraszonymi wierzchowcami. W kilka sekund ich szarża zamieniła się w całkowity chaos, a niemal połowa zbrojnych stała się niezdolna do walki.

Trzy niewzruszone sylwetki trwały nieruchomo i nieustępliwie, ze strzałami nałożonymi na cięciwy, gotowe znowu zaatakować. Ludzie Lassigny'ego zrozumieli, że jeszcze jedna podobna seria, a cały oddział zostanie wybity. Baron także to wiedział. Obrócił

wierzchowca, żeby spojrzeć za siebie, i zobaczył ciała rozciągnięte na grobli, przerażone konie bez jeźdźców oraz resztę swoich ludzi, którzy zatrzymali się i nie chcieli jechać dalej. Poczł przyplłw gniewu i zaczął na nich krzyczeć.

– Tchórze! – ryknął. – Pozwolicie, żeby pokonało was troje piechurów?!

Niestety okazało się, że żołnierze jak najbardziej zamierzają na to pozwolić. Żaden z nich nie ruszył do przodu, a dwóch zamykających oddział zaczęło wycofywać swoje konie. Zatrzymali się, kiedy Lassigny na nich spojrział, ale widać było aż za dobrze, że kompletnie stracili chęć do walki. Baron wiedział, że musi działać szybko – szybko i zdecydowanie – zanim całkowicie odmówią mu posłuszeństwa. Odwrócił wierzchowca jeszcze raz i spojrział na wysokiego rycerza w czarno-czerwonym kasaku. Na jego tarczy widniał nieznany Lassigny’emu herb – czarny niedźwiedź. Najwyraźniej był to jakiś pomniejszy rycerz teutoński. Baron nigdy wcześniej nie widział tego herbu, co oznaczało, że ten mężczyzna nie jest szczególnie znanym wojownikiem. Lassigny uniósł lancę i wskazał nią przeciwnika.

– Ty tam! – krzyknął. – Załatwmy to jak prawdziwi mężczyźni. Walcz ze mną, zamiast chować się za tymi zdradzieckimi mordercami! Zmierz się ze mną w uczciwej walce! Rozstrzygnijmy to między sobą! – Kiedy już rzucił to wyzwanie, odwrócił się do swoich ludzi, którzy obserwowali to wszystko bez ruchu. – Pokażę wam, wy tchórze! – wrzasnął. – Zajmę się tym za was!

Znowu skierował konia do swoich przeciwników. Rycerz wyjechał kilka kroków naprzód i zaczął ściągać lnianą osłonę tarczy, tę z czarnym niedźwiedziem. Na oczach Lassigny’ego odsłonił herb wymalowany bezpośrednio na tarczy, który do tej pory pozostawał ukryty – zielony liść dębu.

Na ten widok Lassigny poczuł, że robi mu się zimno. Rycerz Liścia Dębu był legendą, od wielu lat budził w Gallii podziw i szacunek. Podziw i szacunek, a także lęk tych, którzy zmierzyli się z nim w walce.

– Zaraz... – zawołał niepewnie baron. – Kim ty jesteś? Jak się nazywasz?

Wysoki rycerz podjechał kilka kroków do przodu i z metalicznym szcękaniem dobył miecza.

– Jestem sir Horace z Redmont! – zawołał głośno. – Jestem Rycerzem Liścia Dębu z Araluenu.

– Zaczekaj! – zawołał znowu Lassigny, ponieważ ziściły się jego najgorsze przeczucia. – To pomyłka! Nie wiedziałem... – Zawahał się.

Za plecami słyszał gniewne pomruki swoich żołnierzy, ponieważ próbował wycofać się z wyzwania, które sam rzucił. Umilkł w pół zdania. Jeśli teraz zmieni zdanie, straci wszelki autorytet. Jeżeli cała historia się rozejdzie, może nawet utracić kontrolę nad garnizonem. Jego władza w dużej mierze opierała się na reputacji i umiejętnościach wojownika. Rządził dzięki strachowi, a nie miłości poddanych. Zdał sobie sprawę, że nie ma innego wyjścia. Musiał stanąć do pojedynku, który sam zaproponował. Zaszło mu w ustach, więc przełknął kilka razy ślinę i uważniej przyjrzał się przeciwnikowi.

Rycerz Liścia Dębu był wysoki i barczysty, a na koniu siedział z lekkością, całkowicie wyprostowany. Długi miecz, który trzymał swobodnie ostrzem w dół, lśnił w blasku porannego słońca. Światło podkreślało niebieskawy odcień klingi i faliste wzory widoczne na całej jej długości. Tarcza, z odsłoniętym teraz liściem dębu, była prostym, okrągłym puklerzem, a nie tarczą migdałowatą, jaką nosiło większość rycerzy. Co za tym idzie, słabiej chroniła ciało i nogi wojownika niż jej dłuższy odpowiednik. Hełm rycerza miał kształt stożkowy i był pozbawiony zasłony, nosiła czy osłony policzków. Całe uzbrojenie wyglądało na bardzo proste, niemal prymitywne. Co najważniejsze, przeciwnik nie miał ze sobą lancy. Jego główną bronią był miecz, który stanowiłby zagrożenie tylko wówczas, gdy baron znalazłby się zbyt blisko.

Sam Lassigny miał natomiast wydłużoną tarczę migdałowatą sięgającą mu aż do kolan, czterometrową lancę oraz przyłbicę z zasłoną zakrywającą całą twarz.

To wszystko sprawiło, że baronowi zaczęła powracać śmiałość. Stwierdził, że ma szansę pokonać takiego przeciwnika. Legendy były często mocno przesadzone, a Rycerz Liścia Dębu wyrobił sobie reputację, kiedy był młodszy i bez wątpienia silniejszy. Z narastającą

pewnością Lassigny krawędzią tarczy zamknął zasłonę przyłbicy, ścisnął lancę pod ramieniem i popędził swojego konia bojowego do szarży. Stopniowo zwiększał prędkość, galopując z łoskotem kopyt po ubitej nawierzchni grobli.

Horace wyjechał mu naprzeciw. Stamper przeszedł w galop, a później w cwał. Jego podkowy wyrywały bryły ziemi i gliny i wyrzucały je w powietrze. Horace z łatwością dopasowywał się do rytmu wierzchowca, trzymając tarczę w poprzek ciała i opierając miecz wygodnie na ramieniu.

Oba konie cwałowały teraz na siebie z uszami położonymi płasko. Lassigny opuścił lancę, celując w stopy Horace'a. Pamiętał taktykę zastosowaną przez Maddie podczas pojedynku z Armandem i był przygotowany na to, że Horace mógłby odbić jego broń w górę. W tej pozycji taki manewr był niemożliwy, a Lassigny mógł unieść lancę w ostatniej chwili, aby wycelować nią w przeciwnika.

W rzeczywistości Horace planował coś przeciwnego. Kiedy konie znalazły się bliżej, zdjął miecz z ramienia, a gdy Lassigny zaczął unosić lancę, Horace uderzył ją z góry mieczem, zanim baron zdążył zadać śmiertelny cios.

Lassigny, przygotowany na to, aby nie pozwolić na podbicie broni, kompletnie nie spodziewał się skierowanej w dół siły uderzenia Horace'a. Koniec lancy opadł tak gwałtownie, że wbił się w podłoże z całym impetem szarżującego konia bojowego.

Lanca utkwiała w ziemi, zanim Lassigny zdołał ją wyrwać, a jej drzewce wygięło się niebezpiecznie, ponieważ koń się nie zatrzymywał, a czubek broni był uwięziony w ubitym gruncie. Lassigny został wysadzony z siodła, a koń po prostu pogalopował przed niego. Baron miał dość przytomności umysłu, aby uwolnić stopy ze strzemion, więc poleciał łukiem do tyłu.

Przez kilka sekund miał wrażenie, że nic nie waży, ale zaraz potem lanca wygięła się do granic swoich możliwości i roztrzaskała się w drzazgi. Lassigny upadł z łoskotem na plecy na twardą nawierzchnię grobli. Okrzyk bólu wyrwał się mu wraz z powietrzem wyciśniętym z płuc. Przez chwilę leżał bezradnie, rozciągnięty na wznak, poruszając słabo rękami i nogami. Jak przez mgłę dotarło do niego, że Horace zatrzymał konia jakieś dziesięć metrów dalej i zeskoczył z siodła.

Lassigny był jednak doświadczonym wojownikiem. Upadek pozbawił go tchu, ale baron uniknął połamania kości czy cięższych obrażeń. Przetoczył się na brzuch i podparł kolanami i dłońmi, a potem wstał, wykorzystując tarczę do złapania równowagi. Jego pierś unosiła się i opadała, kiedy chwycił hausty powietrza.

Horace czekał z mieczem i puklerzem w gotowości.

Baron zaczerpnął jeszcze kilka głębokich oddechów i powoli dobył swojego oręża. Dwaj wojownicy zbliżyli się do siebie. Kiedy dzieliło ich tylko kilka metrów, Horace zatrzymał się z uniesionymi mieczem i tarczą, żeby zaczekać na pierwszy ruch Lassigny'ego. To była jego zwykła taktyka: pozwolić, aby przeciwnik wyczerpał siły w serii bezskutecznych, kosztujących wiele energii ataków.

Lassigny zaczął okrążyć Horace'a, który obracał się powoli, aby stać cały czas twarzą do niego. Nagle baron zrobił długi krok naprzód i zamachnął się mieczem, którego lśniące ostrze wycelował w głowę i ramiona Horace'a.

Horace, wydawałoby się bez pośpiechu, zablokował cios własnym orężem. Metal zgrzytnął ogłuszająco o metal, a siła uderzenia sprawiła, że ramię atakującego zostało odepchnięte w tył. Miecz Horace'a nie drgnął i nie przesunął się nawet o centymetr. Zatrzymał cięcie, tak jak skała zatrzymuje falę, przełamując jego impet.

Lassigny cofnął się o krok, czując bolesne pulsowanie prawej ręki po tym uderzeniu. Potem znowu zaatakował serią szybkich ciosów – znad głowy, z boku, po skosie w obie strony. Opadały jeden po drugim z niewiarygodną prędkością, ale każdy był pewnie blokowany lub odbijany przez lśniące ostrze w dłoni Horace'a. Nieważne, gdzie celował Lassigny, błękitnawy w odcieniu miecz zawsze czekał na niego, chociaż wydawało się, że porusza się bez pośpiechu. Ta obrona była nie do przełamania.

Lassigny zatrzymał się, oddychając ciężko z wysiłku. Ręka bolała go od powtarzających się uderzeń w to niewzruszone ostrze. Spojrzał w dół i zobaczył, że na klindze jego broni widnieje co najmniej pół tuzina szczerb. Oręż jego przeciwnika został najwyraźniej wykuty z niezwykle twardej stali. Cofnął się o pół kroku i przyjrzał Horace'owi. Rycerz oddychał spokojnie, stał pewnie, rozkładając ciężar na obie nogi, a jego miecz i tarcza czekały, aby podjąć nieustępliwą obronę.

Baron poczuł, że serce ściska mu się w lodowatym przerażeniu. Był niezwykle utalentowanym wojownikiem, który triumfował w tuzinach pojedynków. Jednak Horace okazał się prawdziwym mistrzem, a przepaść pomiędzy nimi wydawała się nie do pokonania.

Wtedy Horace zaatakował.

Jego ostrze lśniło jak błękitna błyskawica, kiedy wyprowadzał cięcie za cięciem, łączące się w migotliwą serię ciosów, które spadały na barona ze wszystkich stron. Lassigny zdołał się zasłonić mieczem przed pierwszym trafieniem i zachwiał się z powodu jego miażdżącego impetu. Nigdy nie mierzył się z wojownikiem dysponującym taką siłą i szybkością. Uderzenie sprawiło, że ramię mu zdrętwiało, a kolana ugięły się pod nim, zmuszając go, żeby się cofnął. Następny cios przyjął na tarczę i poczuł, że miecz Horace'a przebija drewno i skórę, odłupując kawałek. Potem baron znowu zasłonił się orężem, ale zdążył tylko ustawić go w pozycji pozwalającej odparować atak. Cofał się krok za krokiem po ubitej ziemi, Horace zaś bezlitośnie nacierał na niego, zadając cios za ciosem w miecz i tarczę barona i nie dając mu ani chwili na złapanie oddechu.

Wyprowadzone z szerokiego zamachu poziome cięcie prześlizgnęło się po ostrzu Lassigny'ego i trafiło go w czubek hełmu, zrywając przytrzymujące go skórzane paski i sprawiając, że całe nakrycie głowy poleciało na ziemię.

Sześciu zbrojnych jednocześnie uniosło się w strzemionach i przyglądało się ze zgrozą hełmowi, który toczył się po grobli, podskakując. Przez chwilę wydawało się, że Horace odciął swojemu przeciwnikowi głowę. Zaraz potem Lassigny zachwiał się i cofnął jeszcze o dwa kroki. Teraz już nie myślał o atakowaniu, jego celem było jedynie przetrwanie, a to z każdą sekundą wydawało się coraz bardziej wątpliwe.

Kiedy Horace zadał kolejny cios, osłabiona tarcza Lassigny'ego poddała się i pękła na dwie części, wylatując mu z ręki. Baron próbował słabo odeprzeć następne cięcie, ale jego miecz został odtrącony na bok, a jeszcze jedno miażdżące uderzenie wyrwało go z dłoni właściciela. Ostrze zawirowało i poleciało w bok, a Lassigny, bezbronny i bezradny, upadł na kolana i uniósł ręce w błagalnym geście.

– Poddaję się! – krzyknął ochryple. – Poddaję się. Okaż mi łaskę, na litość boską!

Horace wycelował czubek miecza w gardło Lassigny'ego i spojrzał mu w oczy. Zrozumiał, że ten człowiek jest skończony. Baron był wykończony fizycznie, a jego duch został złamany. Poniósł całkowitą porażkę, stracił wolę walki. Zaryzykował wszystko i przegrał.

Horace odwrócił się i spojrzał na sześciu zbrojnych, którzy siedzieli na koniach w połowie grobli.

– Czy któryś z was chce także rzucić mi wyzwanie? – zapytał zimno.

Żołnierze starali się nie patrzeć mu w oczy. Odwracali głowy, wiercąc się niespokojnie w siodłach. Wiedzieli, że Lassigny był wyśmienitym i niebezpiecznym wojownikiem, najlepszym w Chateau des Falaises. Mimo to ten wysoki rycerz potraktował go obcesowo, odparł wszystkie ataki, jakich tylko Lassigny mógł spróbować, i błyskawicznie pokonał go w walce.

Horace odczekał chwilę, ale ponieważ rycerze byli wyraźnie zastraszeni, mówił dalej:

– W takim razie radzę, abyście wrócili do zamku i poczekali na nowego dowódcę. Zabieramy...

Horace stał odwrócony plecami do Lassigny'ego, więc nie zobaczył, że baron podniósł się chwiejnie na nogi i wyciągnął zza pasa sztylet o szerokim ostrzu. Z twarzą wykrzywioną wściekłością zrobił krok w stronę odsłoniętych pleców rycerza, unosząc broń, aby zadać zdradziecki, śmiertelny cios.

Troje zwiadowców wystrzeliło jednocześnie. Trzy strzały wbiły się w Lassigny'ego, a ich potrójny impet sprawił, że baron poleciał w bok.

Sztylet wypadł mu z ręki i uderzył z brzękiem o kamienie, a sam Lassigny osunął się bez życia na ziemię.





33

Horace odwrócił się i z niesmakiem popatrzył na leżące za nim nieruchomo ciało. Skinął w podzięcie trojgu zwiadowców, którzy znowu stali w gotowości ze strzałami nałożonymi na cięciwy. Ponownie spojrzął na żołnierzy na koniach i zaczął mówić dalej:

– Chciałem powiedzieć, że zabieramy barona do La Lumiere, żeby postawić go przed sądem, ale to już chyba nie będzie konieczne. Wy dwaj, przewieście jego zwłoki przez konia i zabierzcie z powrotem do zamku.

Patrzył, jak dwaj zbrojni zeskoczyli na ziemię, podnieśli zwłoki barona, wciągnęli je w poprzek siodła i dosiedli swoich wierzchowców.

– Porozmawiam z baronową i senezalem o tym, co tutaj zaszło. Król powoła nowego barona na tym zamku. Możecie zostać i poprosić go o przyjęcie na służbę lub też odjechać. Wybór należy do was. A teraz ruszajcie.

Żołnierze, oglądając się nerwowo na troje milczących zwiadowców, zawrócili wierzchowce i poprowadzili konia Lassigny'ego do zamku. Kopyta zadudniły na moście zwodzonym, a strażnicy przy bramie patrzyli szeroko otwartymi oczami na ciało barona.

Horace zwrócił się teraz do swoich towarzyszy:

– Poczekajcie na mnie. To nie potrwa długo.

Maddie skierowała się w jego stronę, a na jej twarzy odmalował się nieukrywany niepokój.

– Chcesz tam pojechać? – zapytała z niedowierzaniem.

Horace uśmiechnął się do niej uspokajająco.

– Nic mi nie będzie. Nie ma nikogo, kto zechciałby stanąć do walki w imieniu Lassigny’ego. Jestem pewien, że nie był lubiany przez podwładnych.

Will położył dłoń na ramieniu Maddie.

– Twój ojciec ma rację – powiedział. – Wąż nie może nikogo skrzywdzić, kiedy już odetniesz mu głowę.

– Ja mimo wszystko z tobą pojadę – oznajmił Halt i dosiadł Abelarda. – Nigdy nie zaszkodzi zabrać kogoś, kto będzie miał oko na całokształt.

– Jeśli sprawi ci to przyjemność – odparł lekko Horace.

Maddie spojrzała z wdzięcznością na Halta.

– Mnie to sprawi ogromną przyjemność – zapewniła, a Halt skinął jej głową, a potem podjechał do Horace’a, który skierował Stamera na groblę prowadzącą do zamku.

Will i Maddie patrzyli za nimi. W końcu Will podprowadził uczennicę na bok i usiadł na wielkim głazie.

– Równie dobrze możemy chwilę odpocząć – stwierdził.

Maddie po namyśle dołączyła do niego, ale zerknęła jeszcze na Gilesa, który wydawał się oszołomiony.

– A co z nim? – zapytała.

Will rzucił spojrzenie w kierunku księcia.

– Nie wydaje mi się, żeby się gdzieś wybierał. I nie obejdzie mnie szczególnie, jeśli to zrobi.



Horace i Halt przejechali razem przez bramę. Nikt nie próbował ich zatrzymać. Nikt nie kwestionował ich obecności. Żołnierze z zamkowego garnizonu patrzyli na nich z pełnym podziwu niedowierzaniem. Baron od lat był apodyktycznym dowódcą, którego podwładni raczej się bali, niż szanowali. Teraz został pokonany w kilka minut, a człowiek, który tego dokonał z taką szybkością i łatwością, wjeżdżał właśnie do zamku. Strażnicy potrzebowali

czasu, aby dostosować się do nowej sytuacji, chociaż w gruncie rzeczy nikt z nich nie wiedział, na czym właściwie stoją. Część z nich spodziewała się, że Horace zajmie twierdzę i przejmie stacjonujący w niej garnizon. Tak właśnie wyglądała historia Chateau des Falaises, odkąd pamiętali jego mieszkańcy. Najsilniejszy zdobywał nagrodę. Świadcówce walki byli przekonani o przytłaczającej sile i umiejętnościach Horace'a i szybko opowiedzieli o nich swoim towarzyszom.

Nie było tutaj przywódcy zdolnego rzucić wyzwanie Horace'owi, a nikt z żołnierzy dowolnego stopnia nie miał na to ochoty. Dlatego założono, że nowo przybyły po prostu zajmie miejsce Lassigny'ego.

Wieści o śmierci barona rozeszły się błyskawicznie po całym zamku. Dlatego też seneszał, sir Gaston, oczekiwał na przybyszy na dziedzińcu, przed wejściem do donżonu. Zmarszczył czoło na widok dwóch jeźdźców. Nie rozpoznawał wyższego z nich, ale było jasne, że to właśnie ten rycerz tutaj dowodzi.

Horace zatrzymał konia i spojrzał z góry na seneszała. Trzeba było przyznać sir Gastonowi, że nie okazywał strachu, chociaż dało się w nim dostrzec wyraźną ostrożność.

– Ty jesteś seneszalem? – zapytał Horace.

Pęk kluczy u pasa zaświadczał o pozycji sir Gastona.

Mężczyzna skinął głową.

– Jestem sir Gaston – odpowiedział. – Z kim mam przyjemność?

– Jestem sir Horace z Redmont, Rycerz Liścia Dębu z Araluenu – odparł Horace.

Został pasowany na rycerza w szkole wojskowej w Redmont, więc preferował ten tytuł, chociaż mieszkał teraz na zamku Araluen i dowodził całą armią araluenską.

– Czy zamierzasz zająć ten zamek, sir? – zapytał sir Gaston.

Nie wydawał się nadmiernie zaniepokojony. Był doskonałym zarządcą, a co za tym idzie, cennym członkiem zamkowej służby. Znał swoją wartość i wiedział, że jest mało prawdopodobne, żeby nowy pan pozbawił go posady.

Jednak Horace pokręcił głową.

– Tę decyzję podejmie wasz król – odpowiedział. Rozejrzał się wokół. Na dziedzińcu było teraz około tuzina przyglądających się mu ludzi. Na ich twarzach malowały się mieszane uczucia, wśród

których przeważały ciekawość, ostrożność i lęk. – Chciałbym porozmawiać z baronową. Czy została powiadomiona o śmierci męża?

Sir Gaston skinął głową.

– Tak, została. Jest obecnie w swoich komnatach. Czy zechcesz wejść do środka, aby się z nią spotkać, sir?

Horace pokręcił głową.

– Nie. Wyślij kogoś, żeby ją tutaj przyprowadził.

Sir Gaston odwrócił się, przyjrzał tłumkowi gapiów i skinął na jednego ze służących, któremu polecił poinformować baronową, że Horace czeka na nią na dziedzińcu. Służący pobiegł pospiesznie do donżonu.

Horace czekał cierpliwie. Miał pewność, że baronowa nie uzna takiego wezwania za coś naglącego, dlatego był przygotowany na dłuższe oczekiwanie. Stamper odganiał ogonem nieliczne muchy i od czasu do czasu przestępował z nogi na nogę. Sir Gaston czekał razem z nimi, nie odrywając wzroku od wejścia do donżonu, w którym miała się pojawić baronowa.

Potrzeba było nieco ponad dziesięciu minut, aby drzwi się otworzyły i stanęła w nich pani Lassigny. Bez cienia pośpiechu zeszła po stopniach i przeszła przez dziedziniec do czekającego Horace'a. Sir Gaston zrobił krok naprzód, aby ich przedstawić, ale Horace uniósł rękę, powstrzymując go. Zobaczył przed sobą ciemnowłosą, elegancką i niezwykle piękną kobietę w kosztownej, długiej sukni z niebieskiego aksamitu. Spoglądała na niego chłodno i lekceważąco, czekając, aż odezwie się jako pierwszy. Horace milczał. Nie zamierzał dać się wciągnąć w takie gierki mające pokazać jej dominację. Przez prawie pół minuty patrzyli na siebie bez słowa. W końcu baronowa musiała przerwać ciszę.

– Chciałeś ze mną rozmawiać? – zapytała wyniośle.

– Posłałem po ciebie – odparł Horace, aby jej przypomnieć, kto jest ważniejszy w tym momencie.

– A kimże ty jesteś? – zapytała baronowa.

– Jestem sir Horace z Redmont, znany także jako Rycerz Liścia Dębu – odparł Horace spokojnie. – Zakładam, że mam do czynienia z lady Lassigny, baronową na tym zamku?

Kobieta skinęła głową bez słowa.

– Powiedziano ci o śmierci twojego męża?

Baronowa uniosła brew i przytaknęła.

– Chciałbym ci złożyć kondolencje z powodu tej straty – powiedział Horace.

– A jednak to ty go zabiłeś – oznajmiła baronowa.

W jej głosie nie było oskarżycielskiego tonu, stwierdzała tylko fakt i wskazywała niespójność pomiędzy jego kondolencjami a tym, że ponosił odpowiedzialność za śmierć jej męża.

Horace wzruszył ramionami.

– To był jego wybór. To on rzucił mi wyzwanie.

– Jak widzę, zachował się nieroztropnie – stwierdziła chłodno baronowa.

Tym razem to Horace uniósł brew. Najwyraźniej nie łączyła jej ze zmarłym mężem głęboka miłość. Uznał, że najwyższa pora przejść do rzeczy.

– Twoje panowanie tutaj się zakończyło – oznajmił. – Król wyznaczy nowego zwierzchnika zamku. Myślę, że byłoby najlepiej, gdyby cię już tu nie zastał.

– Mogłabym pozostać jako kasztelanka – zauważyła.

Horace pokręcił głową.

– Król na to nie pozwoli.

Baronowa wyduła wargi.

– To może zależeć nie tylko od króla – stwierdziła. – Ten zamek ma potężne mury.

Horace spojrzał na nią z leciutkim uśmiechem podziwu. Ta kobieta była silna i najprawdopodobniej zaradna.

– Twój garnizon został osłabiony – przypomniał. – Czy myślisz, że ci, którzy pozostali, będą wobec ciebie lojalni? Będą słuchać twoich rozkazów?

Baronowa zastanowiła się i rozejrzała po dziedzińcu, żeby przyjrzeć się twarzom tych, którzy przysłuchiwali się tej rozmowie. W końcu westchnęła z żalem.

– Raczej nie – przyznała.

Horace pomyślał, że jest realistką i może nie być tutaj bezpieczna, jeśli w garnizonie są żołnierze, którzy żywią urazę do niej lub jej męża.

– W takim razie najbezpieczniej będzie, jeśli wyjedziesz – powiedział. – Dam ci czas potrzebny na przygotowania do pogrzebu twojego męża.

Baronowa wzruszyła ramionami.

– Gaston może się tym zająć.

Rzeczywiście, trudno było mówić o głębokiej miłości w tym małżeństwie. Horace milczał przez kilka sekund, a potem zapytał:

– Masz dokąd jechać? Potrzebujesz eskorty?

Baronowa pokręciła głową.

– Ziemie mojego ojca leżą na północy, a ja mam osobistą eskortę czterech zbrojnych. Oni mi wystarczą jako ochrona po drodze.

– Doskonale – odparł Horace. Poczul ulgę na myśl o tym, że nie będzie musiał organizować jeszcze obstawy. Nie mógł się doczekać, aż uwolni się od tego kraju i jego intryg. – W takim razie proponuję, żebyś wyjechała jak najszybciej. Ja odwiozę księcia Gilesa do ojca, a król może uznać, że należy ukarać wszystkie osoby mające bliskie powiązania z baronem.

– Wyjadę z samego rana – oświadczyła baronowa. Przyjrzała się Horace'owi z ciekawością. – Nie chcesz sam zająć tego zamku? – zapytała. – Ostatecznie pokonałeś Lassigny'ego. Większość jego żołnierzy zgodziłaby się służyć tobie. Mógłbyś zostać kimś naprawdę ważnym w Gallii.

– Nie jestem zainteresowany – odparł wprost Horace i wzruszył ramionami.

– Takie właśnie mamy tutaj obyczaje. Ci, którzy są dostatecznie silni, mogą brać, cokolwiek zechcą.

– Właśnie dlatego nie jestem zainteresowany – odpowiedział.





34

Kupili zapasy na drogę we wsi Falaise i wyruszyli tuż przed południem. Pojechali górską drogą – Will chciał zabrać wóz, a poza tym doszli do wniosku, że podmyty przez powódź most na rzece Cygnes, którym trzeba było przejechać, aby trafić najkrótszą trasą do zamku królewskiego, raczej nie został jeszcze naprawiony. Przeprawa znajdowała się na ziemiach podlegających Chateau des Falaises, a Lassigny nie wydawał się osobą, która szczególnie odpowiedzialnie podchodziłaby do obowiązków wobec poddanych.

O zachodzie słońca znajdowali się nadal kilka godzin jazdy od wsi Entente, w której Maddie i Will wystąpili w drodze do Falaise. Znaleźli odpowiednie miejsce na obóz i rozłożyli się na noc. Will zaproponował, że przygotuje posiłek, więc pozostali zajęli się zbieraniem drewna, przynoszeniem wody z pobliskiego strumienia, układaniem ogniska i rozbijaniem namiotów.

Wszyscy z wyjątkiem Gilesa, który siedział na uboczu, patrzył, jak pracują, i czekał, aż podadzą mu wieczerzę. Maddie spojrzała na Willa i uniosła brew na tak samolubne zachowanie. Will wzruszył ramionami. Kiedy przyszła pora na sprzątanie i mycie naczyń, Giles ponownie nie pomagał. Chętnie przyjął jednak kubek kawy, chociaż skrzywił się pogardliwie na widok trojga zwiadowców i Horace'a, którzy osłodzili napój obficie miodem.



Następnego dnia rano gotowaniem zajął się Halt. Po krótkiej naradzie z Horace'em przygotował posiłek – bekon i smażone ziemniaki z kromkami długiego, chrupiącego chleba, który kupili w Falaise. Giles ponownie oczekiwał na podanie śniadania i zaprotestował z oburzeniem, kiedy Halt podał talerze pozostałym, ale nie jemu. Maddie uśmiechnęła się do siebie, gdy arogancki książę z twarzą zaczerwienioną z gniewu zwrócił się do Halta:

– Gdzie moje śniadanie? – zapytał ostro. – Jestem głodny.

Halt wskazał ognisko i patelnię, której przed chwilą używał.

– Bekon i chleb są w tamtej paczce. Jeśli jesteś głodny, lepiej coś sobie przygotuj.

Giles najeżył się z oburzeniem.

– Jestem księciem! – oznajmił. – Ja nie gotuję!

– W takim razie nie będziesz jadł – odpowiedział Horace i nalał sobie kawy.

– Ale... jestem szlachetnie urodzony! Nie będę się zniżać do plebejskiej pracy! – wykrztusił Giles.

– Posłuchaj, Wasza Wysokość. – Horace oparł się o pień drzewa przy ognisku i wypił łyk kawy. – Jesteśmy w podróży. Obozujemy po drodze. Wszyscy na zmianę wykonują „plebejską pracę”, jak to nazywasz. Jeśli się nie włączysz, nie będziesz jadł.

Giles popatrzył na zwiadowców, którzy przyglądali mu się z zainteresowaniem, ale wyraźnie bez cienia współczucia.

– Powiem o wszystkim mojemu ojcu, królowi – oznajmił, dodając ostatnie słowo, jakby był to nieodparty argument.

Horace machnął lekko ręką.

– Proszę bardzo, możesz mu powiedzieć – stwierdził. – Ale jeśli zamierzasz nas straszyć królewską niełaską, możemy cię po prostu zostawić samemu sobie i jechać prosto do Araluenu. A ty będziesz mógł wrócić do zamku samodzielnie.

Giles, kompletnie zdumiony, spojrzął na pozostałych, szukając jakiegoś zrozumienia. Niczego takiego nie znalazł.

Maddie dorzuciła swoje trzy grosze:

– Wątpię, żebyś zjechał daleko w pojedynkę.

Giles drgnął lekko, ponieważ wiedział, że mówiła prawdę. Przez kilka sekund wahał się, a potem podszedł niepewnie do ogniska i zaczął przygotowywać sobie śniadanie.

Brakowało mu wprawy, więc przypalił bekon i nie dosmażył ziemniaków, ale był tak głodny, że zjadł wszystko. Przynajmniej chleba nie udało mu się popsuć.

Kiedy skończył jeść, Horace nalał mu do kubka kawę. Książę popatrzył na niego z zaskoczeniem, ale wysoki rycerz zachęcił go tylko gestem do przyjęcia gorącego napoju.

– Tak właśnie postępujemy – powiedział Gilesowi. – Dzielimy się pracą i dzielimy się jedzeniem. Nie mamy ze sobą służby. Kiedy wypijesz kawę, umyjesz talerze i naczynia, a reszta przez ten czas zwinie obóz.

Tak więc Giles niechętnie się nauczył, że chociaż w Chateau La Lumiere mógł być rozpieszczonym księciem, tutaj był tylko jednym z podróżników. Przekonał się także, ku niejakemu swojemu zaskoczeniu, że odrobina cięższej pracy może sprawić, iż pobrudzi sobie ręce, ale z pewnością go nie zabije.

Zabrali wóz z miejsca, w którym go wcześniej ukryli. Will i Maddie ściągnęli z niego kolorowe dekoracje i flagi, a potem pojechali dalej, mijając po południu Entente.

Karczmarz Michel siedział właśnie przed swoją gospodą. Podniósł się i podszedł na skraj drogi, żeby zamachać na wóz, którym w tym momencie powoził Will.

– Dzień dobry! – zawołał. – Prawie cię nie poznałem.

Will oczywiście miał teraz na sobie nierzucające się w oczy ubranie zwiadowcy, a nie kolorowy strój rybaka. Michel zauważył Maddie jadącą kilka metrów za wozem i skłonił się przed nią.

– Witam, panienko. Zamierzasz zaszczycić nas przedstawieniem?

Maddie się uśmiechnęła.

– Już tego nie robię – powiedziała. – Ostatnio wpakowałam się przez to w duże kłopoty.

Kiedy poprzednio przejeżdżali przez Entente w drodze do Chateau des Falaises, zostali obrabowani przez bandę rabusiów nazywających się Czarnymi Sępami.

– O ile wiem, odzyskałeś pieniądze? – zapytał Will, a karczmarz pokiwał z entuzjazmem głową.

– Tak, odzyskałem! Przywiózł je pewien tajemniczy łucznik. – Michel zastanowił się i zmarszczył brwi. – Miał na sobie pelerynę

bardzo podobną do twojej. I jechał na koniu, który wyglądał zupełnie jak ten. – Wskazał Wyrwija zaprzęgniętego teraz do wozu.

– Naprawdę? – zapytał Will z kamienną twarzą. – Rzadko się je tutaj widuje.

– Czy potrzebujecie pokoi na noc? – spytał Michel.

Obliczył szybko wolne miejsca i doszedł do wniosku, że zdoła rozlokować pięć osób. Jego goście zazwyczaj przyjeżdżali pojedynczo lub parami. Pięcioro dodatkowych klientów, plus pięć obiadów i śniadań, przyniosłoby mu okrągłą sumkę, do tego niespodziewaną. Jednak stracił nadzieję, kiedy Will spojrzał na słońce i potrząsnął głową.

– Dziękuję, ale pojedziemy dalej. Chcemy jak najszybciej dotrzeć do La Lumiere.

Michel uniósł dłoń w geście pożegnania.

– Ogromna szkoda – powiedział, a potem dodał, również z kamienną twarzą: – Gdybyś kiedyś spotkał tego łucznika, podziękuj mu ode mnie.

Will się uśmiechnął.

– Tak zrobię. Powodzenia, Michelu.

– Bezpiecznej podróży – odparł Michel.

Stał i patrzył, jak niewielka kawalkada przejeżdża gościńcem przez wieś, witana zaciekawionymi spojrzeniami jej mieszkańców, którzy zajmowali się swoimi sprawami przy domach.



W miarę jak Giles przyzwyczajał się do wykonywania swojej pracy w małym obozie, zaczął być także swobodniejszy i stracił część tej sztywności i pompatyczności, z jaką zachowywał się pierwszego dnia. Przekonał się, że odpowiada mu przyjazna, bezpośrednia atmosfera panująca wieczorem przy ognisku, kiedy jego towarzysze podróży przekomarzali się między sobą i przierzucali żartami. Gdy stwierdzili, że Giles przestał się migać od ciężkiej pracy, zaczęli go wciągać w rozmowy. Nie okazywali mu unżonego szacunku, ale nie traktowali go także z pogardą czy niechęcią. Nawet Maddie, która nadal pamiętała jego doprowadzające do furii zachowanie podczas ucieczki z zamku, wyraźnie nie żywiła do niego urazy.

Z punktu widzenia Aralueńczyków pozostawała jeszcze jedna zagadka, a Will poruszył ten temat pewnego wieczoru, kiedy siedzieli wokół ogniska.

– Ciągłe się zastanawiam, kto nas zdradził – stwierdził.

Już wcześniej powiedział Haltowi i Horace'owi o słowach barona sugerujących, że o obecności i zamiarach Aralueńczyków dowiedział się od osoby, która towarzyszyła Philippe'owi w podróży do Araluenu.

Halt zadał uświęcone tradycją pytanie pozwalające zawęzić krąg podejrzanych.

– Kto mógłby na tym skorzystać? – zapytał. Zastanowił się i sam odpowiedział: – Prawdopodobnie nikt, może poza księciem Louisem.

Maddie zmarszczyła brwi.

– A jaką by mu to przyniosło korzyść?

– Gdyby udało się pozbyć Gilesa, Louis byłby pierwszy w kolejce do tronu – stwierdził Will. – Poza tym to właśnie on wysłał swojego człowieka, żeby nas śledził w drodze do Chateau des Falaises.

Giles drzemał przy ogniu z przymkniętymi oczami, aż kołysała się mu głowa. Spędził tego dnia wiele godzin w siodle, więc teraz przysłuchiwał się dyskusji jednym uchem. Jednak imię wuja zwróciło jego uwagę. Ziewnął i spojrzał na pozostałych.

– On przyjechał do Chateau des Falaises – oznajmił.

Jego towarzysze popatrzyli na niego w milczeniu. W końcu Will zadał pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta.

– Kto taki? Księżę Louis? Twój wuj?

Giles skinął głową, nadal zaszpany. Nie zdawał sobie sprawy z wagi tego, co mówi.

– To było niedługo po waszym przyjeździe. Zakładałem, że przybył, aby negocjować warunki mojego uwolnienia.

– Widziałeś go? Rozmawiałeś z nim? – zapytał Halt.

Giles pokręcił głową.

– Pewnego dnia, późno wieczorem, przyjechała niewielka grupka jeźdźców. Usłyszałem konie na dziedzińcu, więc wyjrzałem przez okno. Zdawało mi się, że rozpoznaję dowódcę, ale nie byłem pewny.

– Popatrzył na nich z lekkim przepraszającym uśmiechem. – Było już po zmroku, więc nie widziałem wyraźnie. Ale wydawał mi się

znajomy. – Znowu ziewnął, nie zauważając wyraźnego zainteresowania swoich słuchaczy. – Potem, następnego dnia rano, pozwolono mi wyjść i zażyć świeżego powietrza na dziedzińcu. Minąłem wtedy komnatę, w której ktoś śpiewał tę jego ulubioną piosenkę... – Urwał, próbując sobie przypomnieć tytuł piosenki.

– *La Lune, elle est Mon Amour?* – zapytała powoli Maddie.

Giles podziękował jej uśmiechem.

– Tak, właśnie tę. Jest okropnie niemądra. Jak księżyc może być czyjąkolwiek kochanką? Jest przecież nieożywiony.



35

Dwa dni później znaleźli się w Chateau La Lumiere. Nie czekał na nich ogromny orszak powitalny – nie uprzedzili o swoim przyjeździe, a wóz, pozbawiony ozdób i flag, nie przyciągał niczyjej uwagi. Dopiero kiedy Giles zeskoczył z konia, oznajmił, kim jest, i zażądał, aby służba przyniosła mu coś do jedzenia oraz traktowała go z ceremoniałem i uniżonością należną osobie jego rangi, wokół nowo przybyłych zgromadził się tłum. Powiadomiono także króla, że jego syn powrócił.

Maddie patrzyła, jak księżę maszeruje dumnie przez zamkowy dziedziniec. Wzruszyła niechętnie ramionami.

– Nie potrzebował wiele czasu, żeby wrócić do swoich przyzwyczajień – zauważyła.

Will uśmiechnął się do niej ze znużeniem.

– Tacy jak on nigdy się nie zmieniają.

Nie uszło uwagi zwiadowców, że król nie uznał za konieczne zejść pospiesznie na dziedziniec i powitać syna. Przysłał tylko jednego z dworzan, który poprosił Gilesa do sali tronowej. Księżę oddalił się, nie poświęcając nawet jednego spojrzenia swoim wiernym towarzyszom podróży, którzy stali przy wozie i nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Po jakiejś minucie czy dwóch dworzanin zauważył ich nieobecność i pospiesznie zawrócił.

– Jak sądzę, także powinniście z nami pójść – powiedział, więc czworo Aralueńczyków powędrowało za nim do wnętrza donżonu.

Podwójnych drzwi do sali tronowej pilnowała para zbrojnych. Dworzanin skinął na nich, nakazując im się odsunąć, żeby Aralueńczycy mogli wejść do środka i zatrzymać się przed tronem, obok którego na obitym aksamitem taborecie siedział już Giles. Sala tronowa była ogromna, a jej ściany zdobiły liczne gobeliny i obrazy. Po stronie południowej wielkie okno witrażowe wpuszczało do wnętrza słońce, rzucając wielobarwne promienie i wzory na podłogę z polerowanego drewna.

Tron Philippe'a znajdował się na podwyższeniu na końcu sali. Poza rzędem niewyściełanych krzesel na wygiętych nogach, ustawionych pod przeciwległą ścianą, pomieszczenie nie zawierało żadnych mebli. Wzdłuż murów stało na baczność pół tuzina zbrojnych ubranych w kolczugi i uzbrojonych w długie halabardy. Pomiędzy nimi rozstawiono kilka zbroi, a na dłuższych ścianach wisały tuziny tarcz z ozdobnymi herbami.

Horace skłonił się symbolicznie, skłaniając tylko lekko głowę. Król, rozparty na wielkim, inkrustowanym złotem tronie, zmarszczył brwi na ten brak szacunku, ale uznał, że pozostawi go bez komentarza. Horace promieniował pewnością siebie i siłą, a długi miecz u jego boku stanowił niewyrażoną na głos groźbę. Aralueński rycerz odmówił oddania broni, kiedy wchodził do sali tronowej.

– Nie znam cię – odezwał się król Philippe.

Horace zwrócił uwagę na jego głos, wysoki i dość nosowy.

– Jestem sir Horace z Redmont, Rycerz Liścia Dębu – odparł. Zaczęło go już nudzić to formalne powtarzanie swojego tytułu. – Byłem obecny podczas waszego spotkania z królem Duncanem kilka tygodni temu.

Pomyślał, że Philippe najwyraźniej nie zwracał uwagi na tych, których uważał za gorszych od siebie.

– A co takiego robisz w moim kraju? – zapytał Philippe.

– Król Duncan polecił mi tu przyjechać na wypadek, gdyby jego wysłannicy potrzebowali pomocy. – Wskazał Maddie i Willa, którzy stali kilka kroków za nim. – Rzeczywiście jej potrzebowali – dodał z naciskiem.

Giles, który odwrócił się częściowo na swoim taborecie, żeby widzieć Horace'a, spojrzał znowu na swojego ojca.

– To właśnie sir Horace zabił Lassigny'ego, ojciec – odezwał się.

Philippe uniósł wysoko brwi.

– Lassigny nie żyje? – zapytał.

Wieść o tym jeszcze do niego nie dotarła. Giles pokiwał energicznie głową i uśmiechnął się z taką dumą, jakby to on pokonał zdradzieckiego barona.

– Potrzebował na to zaledwie kilka minut – oznajmił z wyższością, znowu zachowując się, jakby był w jakimś stopniu odpowiedzialny za działania Horace’a. – Wygnał także z zamku baronową i kazał jej wracać do ojca.

Philippe ściągnął uniesione brwi w grymasie niezadowolenia.

– Wolałbym, żeby została sprowadzona przed moje oblicze – oznajmił. – Była współwinna zdrady swojego męża, a moi kaci chętnie by się z nią rozprawili.

Horace nie zgodził się z tym.

– Nie ma żadnych dowodów na to, że brała udział w tej zdradzie stanu, sir – zauważył.

Philippe znowu spojrział na niego.

– Jestem królem. Nie potrzebuję dowodów.

Te słowa sprawiły, że Horace pogratulował sobie swojej decyzji i umożliwienia baronowej ucieczki. Philippe mówił dalej:

– Należy się także zwracać do mnie „Wasza Wysokość”.

Horace spoglądał na niego chłodno przez kilka sekund, a potem odparł:

– Rozumiem, sir.

Policzki Philippe’a poczerwieniały, ale nic nie powiedział. W myślach przeklął tych Aralueńczyków wraz z ich arogancją i uporem, ale wiedział, że gdyby spróbował naciskać, spotkałby się z odmową, a jego godność doznałaby uszczerbku. Uznał, że najlepiej będzie zignorować tę kwestię i zamaskować gniew ostentacyjną wspaniałomyślnością.

– Chcielibyśmy podziękować wam za to, że zwróciliście nam syna – oznajmił, spoglądając także na pozostałych Aralueńczyków. – Zasiadziecie z nami wieczorem do stołu, abyśmy mogli w pełni wyrazić swoją wdzięczność.

Skinął na mężczyznę, który przyprowadził ich z dziedzińca.

– Znajdź komnaty dla sir Horace’a i jego towarzyszy – rozkazał i odprawił go machnięciem ręki.

Dworzanin skłonił się nisko.

– Tak jest, Wasza Wysokość – powiedział, chociaż zastanawiał się, gdzie ma umieścić tych gości. Nie poczyniono żadnych przygotowań i nikt nie wiedział o ich przybyciu. Nie miał także pojęcia, jakie noszą tytuły i na ile są ważni – ta wiedza pomogłaby mu określić, jakiego rodzaju komnaty należy dla nich wybrać. Uznał, że takie szczegóły nie zasługują na królewską uwagę, i skinął na Horace’a. – Proszę za mną.

Horace ponownie schylił głowę przed królem, a troje zwiadowców zrobiło to samo. Potem odwrócili się i wyszli z sali tronowej. Maddie zauważyła, że dworzanin wycofywał się z pomieszczenia, pozostając przodem do króla, i uśmiechnęła się do siebie. Bez wątpienia po raz kolejny w rażący sposób złamali zasady dworskiej etykiety.



Obiad został podany wieczorem w prywatnej jadalni króla. Zaproszono wąskie grono osób: oprócz czworga Aralueńczyków i Philippe’a byli obecni tylko żona króla, Angelique, Giles oraz książę Louis, brat króla. Jak zawsze w Chateau La Lumiere pod ścianami stało sześciu milczących żołnierzy.

Maddie przyjrzała się ich ponurym twarzom, kiedy zajmowała krzesło przy stole. Pomyślała, że zamek musi być okropnym miejscem do życia. Jej dziadek nie uważał za konieczne wzywać zbrojnej obstawy, kiedy jadł obiad z rodziną.

Sam posiłek był wyborny, chociaż Maddie stwierdziła, że sosy, którymi obficie polewano potrawy, są trochę za intensywne jak na jej gust. U jej dziadka jadano znacznie prościej, dbano tylko o świeżość produktów i wykorzystywano to, na co akurat był sezon, dzięki czemu dania bez trudu broniły się smakiem.

Rozmowy podczas posiłku były zdawkowe, kiedy jednak służba zabrała talerze i dołała wina królowi i jego rodzinie, Philippe rozparł się wygodnie w fotelu i zwrócił do Willa:

– No i co, rybałcie, Lassigny przejrzał wasze przebrania, nieprawdaż?

Wydawało się, że z niejaką przyjemnością wytyka, jak szybko wykryto prawdziwy cel misji Willa i Maddie. Will spojrzał na swoich

towarzyszy. Halt i Horace skinęli lekko głowami. Już wcześniej omówili tę sprawę.

– Zostaliśmy zdradzeni, sir – odparł spokojnie.

Kątem oka zerknął na księcia Louisa, który drgnął gwałtownie i szybko zasłonił twarz kielichem wina.

Król wyprostował się na swoim fotelu, a jego swoboda i protekcjonalność zniknęły w obliczu tego niespodziewanego stwierdzenia.

– Zdradzeni? Przez kogo? Skąd to wiecie?

– Wiemy to, ponieważ powiedział nam o tym sam Lassigny, sir. Oznajmił, że członek waszego dworu, jeden z tych, którzy towarzyszyli wam w podróży do Araluenu, zdradził mu naszą tożsamość i naszą misję.

Philippe pochylił się do przodu i lekko uniósł z miejsca z twarzą pociemniałą z wściekłości.

– Jeden z moich ludzi? – zapytał gniewnie. – Kto taki? Powiedz, jak się nazywa, a ja powieszę tego zdrajcę!

Will powoli pokręcił głową.

– Baron nie powiedział nam tego, sir – oznajmił.

Nadal ukradkiem obserwował Louisa, który odstawił puchar z wyrazem ulgi na twarzy. Will pomyślał ponuro, że księżę niedługo nacieszy się spokojem.

Philippe usiadł z powrotem w fotelu. Mrużył oczy, a jego wściekłość była doskonale widoczna.

– Dowiem się tego. Każę wychłostać ich wszystkich, aż znajdziemy zdrajcę! Jak śmiał mnie zdradzić?!

Will i Maddie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Najwyraźniej Philippe bardziej przejmował się tym, że został zdradzony, niż tym, że ich życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

– Nie ma potrzeby, sir – stwierdził Will. – Wiemy, kto jest zdrajcą.

– W takim razie mów, jak się nazywa! – krzyknął Philippe. – Powiedz mi, kto to, a ja pošlę go na szubienicę.

– Uważamy, że to księżę Louis, sir – oznajmił Will.

Louis gwałtownie zareagował na te słowa. Wzdrygnął się na krześle, wybałuszając pełne paniki oczy. Otworzył i zamknął usta, ale przez chwilę nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. W końcu zdołał wymamrotać:

– Nie... nie... to kłamstwo... ja nigdy...

Philippe zapłonął furią. Zerwał się z miejsca, aż ciężki fotel przewrócił się do tyłu. Król podszedł szybko do brata, który nadal siedział, potrząsając głową i łapiąc gwałtownie powietrze jak ryba wyciągnięta na brzeg. Jeśli coś mogło przekonać obecnych o jego odpowiedzialności, to właśnie ta reakcja – popłoch, strach i przede wszystkim widoczne poczucie winy.

Philippe chwycił go za klapy jedwabnego dubletu i szarpnął nim gwałtownie. Louis, którego głowa chwiała się w przód i w tył, próbował się cofnąć.

– Jak mogłeś mnie zdradzić?! Ty zdrajco! Ty wężu! Jak śmiałeś?! Dlaczego coś takiego zrobiłeś?! – wściekał się król.

Louis bezskutecznie próbował strząsnąć dłonie brata i uwolnić się od niego.

– Gdyby nasza misja się nie powiodła, a Giles zginął, Louis zostałyby następcą tronu – mówił dalej Will. – Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął Louis, było uwolnienie Gilesa.

– Jego człowiek jechał za nami w drodze do Chateau des Falaises – podjęła wątek Maddie. – Szpiegował nas i bez wątpienia zdradziłby Lassigny’emu naszą tożsamość. My jednak zdołaliśmy go złapać i odesłać z powrotem.

Philippe spojrział na nią szybko, a potem znowu przeniósł wzrok na zdruzgotanego, pociągającego nosem brata. Wypuścił z garści jego dublet i cisnął nim z powrotem na krzesło.

Will kontynuował swoje oskarżenia:

– Sam Giles powiedział nam, że Louis spotkał się potajemnie z Lassignym. Pewnego dnia przyjechał późnym wieczorem do Chateau des Falaises. Wtedy Giles pomyślał, że wuj przybył, aby negocjować warunki jego uwolnienia.

Will pilnował się, żeby nie powiedzieć, że Giles w gruncie rzeczy nie widział swojego wuja. Jednak wnioski były oczywiste, a Louis sam je potwierdził.

– Tak! Tak! Właśnie tak! – zabełkotał rozpaczliwie. – Pojechałem tam, żeby przekonać Lassigny’ego do uwolnienia Gilesa! To wszystko! Ja nigdy... – Urwał, ponieważ zrozumiał, że właśnie sam się pogrążył.

Philippe stał nad nim, a wściekłość na jego twarzy została zastąpiona przez nienawiść.

– Czyli przyznajesz, że kontaktowałeś się z Lassignym? – zapytał ponuro.

Jego brat spojrzał desperacko na otaczających go ludzi, szukając kogoś – kogokolwiek – kto mógłby się za nim wstawić. Napotkał tylko kamienne twarze i oskarżycielskie spojrzenia.

– To nie było tak... – jęknął.

Philippe odwrócił się od niego z odrazą i skinął na dowódcę strażników.

– Zabierzcie stąd tego zdradzieckiego łajdaka!





36

Horace zapiął ostatni pasek przy torbie i rozejrzał się po komnacie, żeby sprawdzić, czy niczego nie zostawił.

Jak łatwo zgadnąć, obiad poprzedniego wieczoru skończył się szybko tuż po tym, jak zbrojni wywlekli z sali jadalnej szlochającego i jęczącego Louisa. Król Philippe wyszedł zaraz potem, nie zaszczycając czworga Aralueńczyków nawet słowem, z twarzą nadal ściągniętą gniewem. Królowa Angelique podziękowała im za oddaną przysługę i życzyła im dobrej nocy.

– Jestem pewna, że mój mąż będzie chciał z wami porozmawiać rano – powiedziała z przeproszającą nutą w głosie.

Maddie pomyślała, że królowa nie wydawała się zaskoczona wybuchem złości swojego męża. Najprawdopodobniej przywykła do podobnych eksplozji.

Wrócili do obszernego apartamentu, w którym zostali zakwaterowani. Dworzanin uznał najwyraźniej, że skoro towarzyszyli księciu Gilesowi i jedli obiad z królem, zasługują na najlepsze warunki.

Rano służący podali im śniadanie do komnat, ale Philippe nie przysłał po nich.

Horace wypił ostatni łyk kawy i spojrzał na swoich przyjaciół.

– Pakujmy się i wynośmy stąd – zaproponował. – Mam już kompletnie dosyć tego przekłętą kraju.

Maddie z zainteresowaniem obserwowowała, jak jej ojciec przejął dowodzenie w grupie, a Halt i Will mimo swojego statusu zgadzali

się z jego zdaniem. Horace powiedział jednemu ze służących, którzy przynieśli tace ze śniadaniem, żeby pobiegł do stajni i polecił osiodłać ich wierzchowce oraz przygotować wóz do odjazdu. Jeszcze wcześniej nakazał zakupić wytrzymałego konia roboczego do zaprzęgu. Stwierdził, że Wyrwij i Zderzak dostatecznie długo ciągnęły wóz po całej Gallii.

– Wszyscy gotowi? – zapytał.

Pozostali skinęli głowami. W gruncie rzeczy nie mieli wiele do spakowania. Wyszli z apartamentu i skierowali się po schodach na parter. Kiedy wyłonili się na zalany słońcem dziedziniec, zobaczyli, że Stamper oraz trzy mniejsze wierzchowce już na nich czekają. Kilka metrów dalej stał wóz z zaprzęgniętym do niego nowym koniem.

Horace zarzucił torbę na zad Stamera i umocował ją za siodłem, do którego został przywiązany także jego okrągły puklerz.

– Sir Horace! Proszę poczekać! – zawołał go ktoś z drugiej strony dziedzińca.

Sir Guillaume, zamkowy kasztelan, który kilka tygodni temu przyjął w zamku Willa i Maddie, biegł przez plac od strony bramy, machając ręką, aby zwrócić na siebie uwagę rycerza.

Horace miał właśnie wsunąć stopę w strzemię i wskoczyć na siodło, ale się zatrzymał. Ujął wodze Stamera w lewą rękę i, przytrzymując konia przy pysku, zrobił krok naprzód, aby powitać kasztelana.

– Jestem sir Guillaume – przedstawił się mężczyzna, odrobinę zadyszany. Wyciągnął rękę, którą Horace lekko potrząsnął. – Nie pracowałem wczoraj, kiedy przyjechaliście, sir – wyjaśnił.

Horace nic nie powiedział. Domyślał się, dlaczego sir Guillaume ich zatrzymał.

Po wyczekującej pauzie sir Guillaume zapytał:

– Dokąd się wybieracie, sir? – Popatrzył na zwiadowców stojących obok koni i wozu, wyraźnie gotowych do odjazdu. – Chyba nie zamierzacie wyjechać?

– Wyjeżdżam – odpowiedział Horace. – Wszyscy wyjeżdżamy. Wracamy do Araluenu. Zrobiliśmy to, po co tu przybyliśmy. Książę Giles wrócił bezpiecznie do domu.

– Ale król będzie chciał z wami rozmawiać... – zaczął niepewnie sir Guillaume.

Stojący przed nim wysoki rycerz był ponury i niewzruszony.

Horace machnął lekceważąco ręką na wzmiankę o królu.

– Z całym szacunkiem, sir Guillaume... – zaczął, ale zaraz poprawił to zdanie. – Właściwie raczej bez żadnego szacunku stwierdzam, że nie interesuje mnie nic, co król może mieć do powiedzenia.

– Ale Jego Wysokość zakładał, że zostaniecie, aby być świadkami egzekucji – powiedział niespokojnie Guillaume.

Wiedział, że Philippe będzie wściekły, jeśli Araluenńcy tak po prostu wyjadą, i domyślał się także, na kim król wyładuje tę wściekłość.

– Egzekucji? – powtórzył Horace. – Kto ma zostać stracony?

Guillaume zmarszczył brwi, zaskoczony.

– Ależ oczywiście księżę Louis. Za zdradę.

Horace udał zdumienie.

– Stracony? Czyli proces już się odbył, a on został skazany wyrokiem sądu? Muszę powiedzieć, że sądy w waszym kraju działają wyjątkowo szybko.

Kasztelan przestąpił z nogi na nogę i wzruszył ramionami. Pomyślał, że to przecież jest oczywiste.

– Nie było żadnego sądu ani procesu. Król stwierdził jego winę. Dowody były jednoznaczne.

Horace pokręcił głową z niedowierzaniem. Wszystkie podejrzenia świadczące o winie Louisa były poszlakami. Oczywiście Horace był pewien, że Louis rzeczywiście dopuścił się zdrady wobec swojego brata, a także wobec Willa i Maddie, skoro już o tym mowa. Jednak wiedział, że w Araluenie takie oskarżenia na pewno nie wystarczyłyby do wydania wyroku skazującego, szczególnie w przypadku przestępstwa zagrożonego karą śmierci.

Ktoś taki zostałby najprawdopodobniej wygnany, a także pozbawiony swoich tytułów i majątku. Ale nie stracony.

Przypomniał sobie słowa Philippe'a, kiedy rozmawiali o losie baronowej Lassigny. „Jestem królem. Nie potrzebuję dowodów”. Nagle poczuł, że niedobrze mu na myśl o Gallii oplątanej

niekończącą się siecią intryg i przepelnionej zazdrością, małostkowością, zdradą i okrucieństwem.

Wskoczył na siodło i spojrzał na swoich towarzyszy.

– Wsiadajcie na konie! – zawołał. – Wynośmy się z tego przeklętego kraju. Wracamy do domu.

